



---

TIM PARKS

IGRAJĄC Z LOSEM

---

Tytuł oryginału: Cara Massimina



*Królestwa myśli, filozofii i ducha chwieją się i upadają w zetknięciu z tym, co nienazwane, ze mną samym.*

Max Stirner, *Jedyny i jego własność*

---

## 1

---

Morris pospiesznie szedł przez plac, choć najchętniej zwolniłby kroku. Zapadający zmierzch miał w sobie tę odurzającą miękkość, nadaną mu świeżością po padającym wcześniej deszczu i światłami latarń mieszającymi się z dogasającym blaskiem dnia. Nie, stanowczo nie była to chwila sprzyjająca pośpiechowi. O takiej porze człowiek powinien siedzieć w barze nad kieliszkiem białego wina, chłonąc przestrzeń między otaczającymi go przedmiotami, czując obecność i ciężar każdej rzeczy z osobna. Była to chwila na obserwowanie, jak cienie wyostrzają się z wolna, w miarę przybywania świateł lamp i ubywania światła słonecznego, jak kolory na murach umierają jeden po drugim, przeszywane ostrymi błyskami neonów. Magiczna chwila.

Mimo to Morris pędził dalej, najpierw przez plac, potem przez plataninę wąskich uliczek na jego tyłach. Z pośpiechu niemal brakło mu tchu. W przeciągu kilku zaledwie godzin gnał przez miasto już czwarty raz. Źle to dzisiaj rozplanował. W dodatku fatalnie przemókł między lekcjami z Paolą a Patrizią. Prawą sto-

pę w nasiąkniętym wodą bucie miał zziębniętą na kość, a mokre, ubłocone spodnie kleiły mu się do pośladków. Wreszcie zatrzymał się, wyrównał oddech, po czym nacisnął dzwonek, długo i zdecydowanie. Jego wargi wolno i wyraźnie ułożyły się w słowo „harówka”. Powtórzył je, tym razem głośno, starając się, by „r” wibrowało jak najdźwięczniej, choć nie było to wcale łatwe. Spróbował po raz kolejny, po czym przerzucił się na „ nudziarstwo”, gdzie wreszcie udało mu się rozwibrować „r” do perfekcji. Ponownie nacisnął przycisk dzwonka. Co się dzieje, do cholery!

Znajdował się na wprost ogromnych, zamkniętych łukiem drzwi z ciemnego drewna. Wreszcie w niewielkim głośniczku, umieszczonym pod rzędem przycisków na kamiennej ścianie, coś zachrobotało.

- *Chi e?*

- Morris. Pauza.

- *Chi?*

- Morris. - Głęboko zaczerpnął powietrza, niczym ktoś przygotowujący się do uczynienia trudnego wyznania. - Nauczyciel angielskiego. - W jego ustach te dwa słowa miały posmak popiołu.

- Zaraz sprawdzę, czy Gregorio jest w domu.

A gdzie niby miałby się podziewać? Przecież to była pora jego lekcji. W przeciwnym razie nauczyciel angielskiego nie musiałby się fatygować. Mogła po prostu otworzyć od razu, ale nie! Co za podejrzliwy naród, ci Włosi! Morris niecierpliwie popatrzył na zegarek. Za dziesięć szósta. Po skończeniu lekcji znowu będzie musiał gnać jak szalony.

Zabrział brzęczyk i drzwi otworzyły się nareszcie. Morris ruszył przed siebie, nie tracąc czasu na rozglądanie się po dziedzińcu, gdzie ukryta w głębokim cieniu fontanna rozpryskiwała wodę wokół marmurowego fauna. Po marmurowych schodach też pędził na złamanie karku, choć najchętniej zwolniłby kroku. Zawsze ten przekłety pośpiech. Oczywiście kiedy Signora Ferroni otworzyła mu drzwi, jego włoski brzmiał mniej idealnie, niż mógłby zabrzmieć, gdyby nie był taki zdyszany. Signora Ferroni uśmiechnęła się z pobłażaniem, a on poczuł się osobiście dotknięty. Jak zwykle prezentowała się bez zarzutu - nieskazitelna figura opięta elegancką suknią z miękkiej, szarej wełny, staranny makijaż, wytworne maniery. Czy mogłaby zaproponować mu coś do picia? Może herbatę albo sok pomarańczowy? Nie, nie mogłaby. Odmówił, zdając sobie sprawę ze swojego niechlujnego wyglądu. Dręczyła go świadomość, że włosy ma w straszliwym nieładzie.

Pojawił się Gregorio, najwyraźniej po młodzieńczej randce z wodą po goleniu i z wypomadowanymi włosami. Zaprowadził Morrisa do salonu. Usiedli naprzeciw siebie przy szklanym stoliku, mając nad głowami sufit bogato zdobiony sztukaterią. Morris sięgnął po skórzaną teczkę, żeby wyjąć podręcznik. Aktówka również była mokra. Będzie musiał się postarać o jakiś impregnat do skóry. Teczka była jedyną naprawdę elegancką rzeczą, jaką posiadał. Kartki podręcznika także okazały się wilgotne.

- Co robiłeś podczas weekendu, Gregorio? - Gambit otwierający każdą poniedziałkową lekcję; tylko dzisiaj posłużył się nim chyba z pięćset razy. Poczuli się stary i wyzuty z pomysłów.

- Pojechałem do góry.

- W góry. Pojechać „do góry” oznacza jazdę w górę.

- Pojechałem w góry.
- Czym się tam dostałeś?
- Z kim się wybrałeś?
- Po co?
- Gdzie dokładnie byłeś?
- Co jadłeś?
- Jaka była pogoda?
- Ile cię to wszystko kosztowało?
- Czy dobrze się bawiłeś?
- Kiedy wróciłeś?

Gregorio wybrał się na narty. Pojechał alfa romeo ojca do Val Gardena, gdzie rodzina miała drugi, trzeci, a może nawet i czwarty dom, i spędził tam weekend z przyjacielem.

- Ja i mój przyjaciel - powtórzył Gregorio z uśmiechem. Jak każdego Włocha bawiło go, że angielskie określenie *friend* nie wskazuje płci owego przyjaciela. Zupełnie jakby Morrisowi mogło choć trochę zależeć na informacji, czy z weekendowym wyjazdem jego ucznia łączyły się jakieś przeżycia natury seksualnej! Mimo to odpowiedział chłopcu szerokim uśmiechem. Sobotnio-niedzielna rutyna oznaczała dziesięć ulgowych minut, czyli (w zaokrągleniu) 16,6 procenta z całej lekcji albo, jeszcze inaczej, dwa tysiące pięćset z piętnastu tysięcy lirów, płaco-

nych mu za godzinę. Dla dobrze sytuowanych uczniów miał zawsze wyższe stawki.

Zabrali się za podręcznik. Końcowe egzaminy zbliżały się wielkimi krokami, a ich rezultaty miały zaważyć na przyszłości Gregoria. Już raz zaważył rok i tym razem musiał zdać. Morris starał się wlać w swojego ucznia trochę wiary. Z pewnością dadzą sobie radę, powiedział. Na czym to stanęli ostatnio? Ach tak, rzeczywiście. Kątem oka zerknął na fresk za barem, na którym jakaś boginka wdzięcznie owijała swą postać wokół pnia drzewa. Po swojej prawej miał niewielką driadę z brązu, stojącą na niewysokim postumencie, z uniesionymi ramionami i triumfalnie wypiętą piersią. Samo mieszkanie musi być warte miliony, co tam, miliardy lirów, pomyślał, tymczasem szczeniak oblewa się potem na myśl o egzaminach, zupełnie jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Gdyby miał choć połowę inteligencji potrzebnej do ich zdania, pojąłby od razu, że szkolne wyniki kompletnie się nie liczą w porównaniu z otaczającym go bogactwem.

Zaczął się czytanie *Magazynu osobliwości* Dickensa, tego fragmentu, kiedy starzec i Neli, oboje głodni i bezdomni, chronią się na noc w fabrycznej hali wypełnionej monstrualnymi maszynami i układają się do snu w ciepłym jeszcze popiele, jaki pozostał po ogniu z poprzedniego dnia. Zamożny, różowy język Gregoria potykał się co chwila na trudniejszych wyrazach.

Musztardowa koszula, jaką chłopiec miał dzisiaj na sobie, pochodziła od Standy, włoskiego odpowiednika Marksa & Spencera, co Morris odnotował nie bez zdziwienia. Czy ci bogacze nie znają miary w oszczędzaniu? Nie krępując się zupełnie, zerknął na zegarek. Jeszcze pięć minut. Ze wszystkich sił starał się, żeby głośno nie pierdnąć.

Koniec. Morris zamknął podręcznik i schował go do teczki. Koniecznie będzie musiał zająć się tą skórą. Kiedy przemierzał miasto z jednego krańca na drugi, aktówka stanowiła jedyny rekwizyt, dzięki któremu wyglądał naprawdę profesjonalnie. Usiadł nieruchomo, sztywno wyprostowany, dłonie położył na stole, jedną na drugiej, i uśmiechnął się lekko, unosząc w górę brwi w niemym zapytaniu. Gładko wygolona twarz ucznia odpowiedziała mu idealną pustką i obojętnością. Na ciemnym płótnie za plecami Gregoria wisiał Chrystus, dość niezdarnie ukrzyżowany przez jakiegoś czternastowiecznego malarza. Jedyny przykład złego gustu w tym domu, pomyślał Morris przelotnie. Pewnie rodowe dziedzictwo. Zaczął odliczać bezgłośnie, chcąc się przekonać, ile czasu zajmie chłopcu, zanim się połapie. „Dziesięć, jedenaście, dwanaście...”. Z każdą sekundą gazy w jego jelitach napierały coraz mocniej, a oddech przyspieszał. Znowu przyjdzie mu pędzić na drugi koniec miasta w przemoczonych butach, ale przecież nie może być mowy o wcześniejszym wyjściu, nawet jeśli będzie musiał ustąpić i zapytać chłopaka, którego dzisiaj mamy. „Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy...”. Czyżby „trzydzieści jeden” miał wykrzyknąć na głos?

- Ach tak, muszę panu zapłacić, przecież to koniec miesiąca - zreflektował się wreszcie Gregorio, po czym zerwał się, żeby pomówić z matką.

W salonie pojawiła się obładowana pękiem mioteł pokojówka, rzucając Morrisowi podejrzliwe spojrzenie. Widocznie musiała usłyszeć coś o płaceniu. Odpowiedział jej najszczerzym ze szczerych uśmiechów, pozdrowieniem *buona sera, Signora* i nawet lekkim pochyleniem jasnowłosej głowy. W końcu znajdowali się po tej samej stronie barykady. Ale kobieta tylko mocno zacisnęła wargi i wycofała się do kuchni, stukając obcasami. Pewnie obsikuje teraz kąty, żeby zaznaczyć swoje terytorium, pomyślał Morris. Stara, głupia krowa. Udało im się wmówić jej, że należy do rodziny albo coś w tym rodzaju.

Gregorio pojawił się na powrót. Po zakończeniu lekcji życie wyraźnie nabrało dla niego uroku. Spieszył się jak zwykle, pewnie na spotkanie z „przyjacielem”. W ręku trzymał czek. No jasne, jeszcze i to! Sześćdziesiąt tysięcy lirów, a oni płacą człowiekowi czekiem. Czego się spodziewają? Ze uiszczy podatek od tej kwoty? Albo może, że zaproponuje im zniżkę, pod warunkiem regulowania należności gotówką? BANCO NAZIONALE DEL LAVORO. Co najmniej pięć dni czekania na realizację. Morris wziął czek do ręki, uśmiechając się przy tym kwaśno, co Gregoria bynajmniej nie zbiło z tropu. W drzwiach pożegnało go jeszcze zawołanie telewizora i *arrivederci* signory matki.

- *Buona sera, Signora.*

- A właśnie - przypomniał sobie Gregorio - w piątek nie będziemy mieli lekcji. Jadę do Cortiny.

Piętnaście tysięcy lirów przepadnie na ośnieżonym alpejskim stoku.

- Nic nie szkodzi. W takim razie do poniedziałku. Baw się dobrze. - Niech cię piekło pochłonie.

Znowu pędził po schodach i przez dziedziniec, gdzie schwytna w delikatną sieć rozproszonego światła fontanna obmywała fauna prysznicem żywego srebra, jego kamienną twarz i uniesione ramiona, chwytające lśniące krople w najwyższym punkcie zataczanego przez nie łuku. Morris pierdnął. Miał ochotę jeszcze splunąć. „Krrre-ryn!”. Boże, jak ciężko jest wymówić to rozwibrowane „r”. „Krrretyn musi harrować!”. Skręcił w Via Quatro Spade, potem w Via Mazzini i wreszcie w Vicolo San Nicolò, pędząc do szkoły na ostatnią lekcję. Co robiłeś podczas weekendu, czym się tam dostałeś, z kim się wybrałeś, po co, gdzie dokładnie byłeś, co jadłeś, jaka była pogoda, ile cię to wszystko kosztowało, czy



dobrze się bawiłeś, kiedy wróciłeś? Jeszcze trochę i poniedziałkowe zajęcia będą z głowy.

Niedługo później Morris stał na przystanku autobusowym na Stradone San Fermo, mocno zaciskając zęby, jakby bronił się przed wiatrem i deszczem, choć przestało już padać, a wiatr też ucichł. To nie jest odpowiedni wieczór na spotkanie z Massiminą, pomyślał. Nie w tych ubłoconych butach i wilgotnych spodniach, nie z tą nasiąkniętą wodą skórzaną aktówką. W końcu wysłał jej dzisiaj kwiaty, tak że nie miała prawa narzekać, a po powrocie do domu może jeszcze do niej zadzwoni. Telefon powinien sprawić wrażenie, że jest poważnym konkurentem, znużonym, co prawda, całodzienną harówką, ale wciąż gotowym wysłuchać wszystkiego, co na drugim końcu linii szeptem jego słodka *signorina fidanzata*. Początek zrobił naprawdę dobry i teraz wszystko powinno się udać.

- Hej, Morris, gdzie się wybierasz, człowieku? Język był angielski, czy raczej amerykański.

Młody brodacz na zdezelowanym rowerze bez świateł jechał niebezpiecznym zygakiem przez ulicę, szeroko rozstawiając kolana, żeby dosięgnąć pedałów. Morris poczuł, że ogarnia go irytacja.

- Gdzie ty właściwie mieszkasz? Gdzieś za miastem? Stan uczył w tej samej szkole co on. Pochodził z Kalifornii.

- W Montorio.

- W Montorio? - Amerykański akcent omal nie zamordował dziewczęcej nazwy. A przecież Stan mieszka we Włoszech dwa albo i trzy razy dłużej niż on

sam, pomyślał Morris z przyjemnym poczuciem wyższości. Będzie wobec niego uprzejmy, a co tam.

- Gdzie to jest, u licha?

Morris wyjaśnił, że całe kilometry stąd, na końcu trasy autobusu numer 7.

- Stary, przecież ty musisz czuć się straszliwie opuszczony. Jeśli chcesz, mogę wystarać Ci się o jakieś lokum bliżej centrum. Susie ma wolny pokój i właśnie poszukuje lokatora. Całkiem niedrogo. Susie to fajna babka, byłoby ci u niej dobrze.

Stan wyraźnie starał się być miły i Morris powinien odczuwać wdzięczność. Amerykanin uśmiechał się szeroko, pewnie wyobrażając sobie, że Morris jest nieśmiały.

- My, emigranci, powinniśmy trzymać razem - ciągnął ze śmiechem. - Angole i Amerykańcy. Inaczej zginiemy w masie Italiańców.

Morris milczał.

- Na Wielkanoc wybieramy się całą paczką do Neapolu. Miałbyś ochotę się przyłączyć?

- Czym jedziecie? - zapytał Morris uprzejmie.

- Autostopem, w parach. Spotykamy się na miejscu. Mamy jedną dziewczynę za dużo, więc jeśli chcesz...

Przybycie autobusu oszczędziło Morrisowi konieczności odmowy. Wskoczył do środka, czując przyjemną lekkość podczas pokonywania kilku stromych stopni, skasował bilet i usiadł, przymykając oczy.

To właśnie dlatego, żeby odizolować się od angielskiej wspólnoty, wybrał Montorio. Anglicy z reguły mieszkali w najbardziej obskurnej dzielnicy w pobliżu centrum. Na tym punkcie mieli prawdziwego bzika. Koniecznie chcieli stać się częścią starych Włoch, mieszkać jak najbliżej muzeów i szykownych sklepów (w przeciwnym wypadku po cóż zawracaliby sobie głowę przyjazdem do tego kraju?), a potem, widząc horrendalne ceny mieszkań w lepszych dzielnicach w centrum miasta, nie tracąc pierwotnego entuzjazmu zdecydowali się na jakieś zaniedbane lokum w jednym z ponurych, cuchnących zaułków przy Ponte Pietra. Morris też chętnie zamieszkałby w centrum, ale tylko w eleganckiej, zamożnej dzielnicy, a już z pewnością nie wśród swoich niezaradnych, nieudanych współrodaków. Dlatego też wybrał mieszkanie w Montorio - nowoczesne, praktyczne i, jak na włoskie standardy, nie najgorzej umeblowane. Zaraz po sprowadzeniu się, pousuwał liczne Madonny spod sztancy i krucyfiksy z supermarketu, tak że teraz wszystkie ściany były gołe, nie licząc jednej czy dwóch pierwszorzędnych grafik, podarowanych mu przez bogatego ucznia. W rogach porozmieszczał lampy i teraz w każdym pomieszczeniu panowała jasność i biel.

Usiadł na wysokim kuchennym stołku i zjadł wieczorny posiłek, złożony z parmezanu i lekko obeschniętego chleba, wyciągniętego z kredensu. Wszystko to splukał kieliszkiem Valpolicelli. Nastroił stare lampowe radio i wysłuchał quizu nadawanego przez BBC World Service.

Odbiór nie był dziś najlepszy, a sam program idiotyczny. Pokiwał głową nad tym stekiem bzdur, ale zmusił się do wysłuchania go do końca, traktując audycję jako coś w rodzaju lekarstwa. Nic lepiej nie wpływa na człowieka, jak ponowne uświadomienie sobie, że dobrze zrobił, wyjeżdżając z kraju.

Wreszcie za kwadrans dziesiąta zadzwonił do Massiminy. Jeszcze trochę, a byłoby za późno, gdyż dziewczyna mogłaby już pójść spać. Teraz, po odpoczyn-

ku, jedzeniu, zmianie butów i skarpet, jego włoski był niemal bez zarzutu, gdyby więc matka stwarzała jakieś problemy, śmiało mógł jej stawić czoła. Morris poznał Massiminę w szkole, na jednym z prowadzonych przez siebie kursów. Mimo wielkiej pilności była beznadziejną uczennicą, w dodatku wisiała nad nią groźba końcowych egzaminów. Jadąc do domu, wsiadała na tym samym przystanku co Morris. Zauważywszy, że go polubiła i że jest miła, dobrze ułożona i nieśmiała, zaczął zapraszać ją na kieliszek wina do pobliskiego baru, gdyż do przyjazdu autobusu mieli pół godziny czasu. Massimina miała szeroką, piegowatą twarz, szczerą i otwartą. W odpowiedzi na jego pytania zasypywała go całą masą informacji o domu i rodzinie. Kilkakrotnie zaprosił ją też do kina, kiedy szedł jakiś film, na którym jej specjalnie zależało, i przy pożegnaniu zawsze przytrzymał jej dłoń w swojej i delikatnie całował piegowaty, spłoniony rumieńcem policzek. „Morrees - mówiła wówczas — Morrees, *quanto sei dolce!*”. Massimina miała siedemnaście lat i sześć miesięcy, szczupłą, ale odpowiednio zaokrągloną figurę i kulała ze wszystkich przedmiotów w Liceo Classico.

W ubiegły piątek poprosił ją, by została jego *fidanzata*.

Telefon odebrała starsza siostra Massiminy, Antonella.

- Czy to pan przysłał kwiaty? - zapytała, raczej chłodno, jak mu się wydawało.

Oczywiście, któżby inny?

- Czy spodobały się? - zapytał w odpowiedzi, tonem, jaki wydał mu się najodpowiedniejszy - ożywionym, z lekką zadyszka. Wielka siostra może sobie myśleć, co chce.

Ale Massimina, najwyraźniej zachwycona kwiatami, już wyrywała jej słuchawkę.

- Morri!

- *Cara!*

- *Ti ringrazio tantissimo, tantissimo, sono bellissimi, mai visto fori cosi belli.*

Równowartość dwóch lekcji, pomyślał. Najgorsza pora na kupowanie róż. Ale przynajmniej spełniły swoje zadanie. Morris nie był do końca pewien, czy rzeczywiście chciałby poślubić Massiminę, nawet gdyby jej rodzina zgodziła się na to. Raczej nie. Musiałby chyba być szalony. Ale z drugiej strony odczuwał pokusę. I nie było to z jego strony czyste wyrachowanie, naprawdę nie. Chciał wypróbować wodę, zanim odważy się na skok, przekonać się, czy takie rozwiązanie w ogóle jest możliwe, zobaczyć, czy w ostatecznym rozrachunku mógłby na nie liczyć jako na ostatnią deskę ratunku. Ostatnio coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że coś się w nim zmieniło, że otwierają się przed nim nowe możliwości, takie, o jakich w przeszłości nie śmiałyby nawet marzyć. Chociażby ta głupia historia ze skórzaną aktówką. Zupełnie jakby wreszcie pozbył się ostatnich hamulców.

- *Scusami cara?* - Przez chwilę nie słuchał tego, co mówiła Massimina, i teraz stracił wątek.

Jej matka chciałaby go poznać, zamienić z nim słowo.

- Doskonale, kiedy?

- Morrees, ona chce jak najprędzej, chociażby jutro wieczorem. Zaprasza cię na kolację. Niepokoi ją, że cię wcale nie zna i tym podobne historie.

Wy tłumaczył Massiminie, że jutro ma zajęcia do późna. Ciężko pracujący człowiek. Takie właśnie wrażenie należało wywrzeć.

- A pojutrze albo w piątek?

Zaczął myśleć gorączkowo. Przyjdzie mu rozbroić tę gorgone. Naprawdę żaden problem. Akurat pod tym względem radził sobie znakomicie. Najważniejsze, żeby iść tam, kiedy on będzie gotowy, a nie wtedy, kiedy oni sobie tego życzą.

- Mama mówi, że dopóki cię nie zaaprobuje, nie mogę mieć z tobą żadnych lekcji - lamentowała Massimina, najwyraźniej mocno przejęta.

Morris pomyślał, że zaczyna ją naprawdę lubić. Była taka odmienna od zadzierających nosa pannie, które czuł się w obowiązku adorować w czasach studenckich. Tamte dziewczyny zawsze wiedziały wszystko najlepiej, miały coś do powiedzenia na każdy z możliwych tematów i z miejsca zaczynały się najeżać, gdy tylko człowiek ośmielił się im sprzeciwić. Przyjdzie w środę, obiecał, najłagodniejszym głosem, jaki zdołał z siebie wydobyć. Najpóźniej w czwartek.

Pokaźnych rozmiarów kalendarz oprawiony w błękitny marokin przeznaczony był, co prawda, na 1977 rok, jednak w 1983 dni tygodnia występowały w identycznym układzie. Morris znalazł go w wynajmowanym przez siebie mieszkaniu, wśród papierów pozostawionych przez poprzedniego lokatora.

Teraz, po odznaczeniu przebytych lekcji i zanotowaniu zarobionych kwot, usiadł w wannie i zaczął planować zajęcia na jutro. Ta sama pospieszna gonitwa przez całe miasto. Dwie godziny w szkole, potem do Alberta, potem znowu szkoła, lekcja z Matyldą i ponowny powrót do szkoły. Z samego rana musi jeszcze uporać się z zepsutym zamkiem w najlepszych spodniach, kupić preparat do skóry, trochę produktów spożywczych, chleb, płyn do mycia naczyń, szampon przeciwłupieżowy (on, Morris, i łupież) i więcej biletów autobusowych. Namydlając wygolone pachy, przeglądał w myślach plan miasta, układając całą trasę w sposób pozwalający mu zaoszczędzić trochę czasu.

Nie, to było okropne. Żył z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, i tak całymi miesiącami. Z punktu widzenia kariery zawodowej, kontaktów towarzyskich i osiągnięć finansowych ostatnie dwa i pół roku okazały się kompletnym fiaskiem. Co więcej, konieczność obcowania z miernotami, nuda i te wszystkie idiotyczne lekcje wyczerpały go fizycznie i ogłupiły intelektualnie. Czy wśród uczniów miał choćby jednego naprawdę genialnego? Czy któryś z jego podopiecznych docenił jego niezwykle talenty, jak zdolność do układania na poczekaniu zajmujących ćwiczeń gramatycznych albo pasjonujących opowiadań sprawdzających umiejętność zrozumienia ze słuchu? Czy którykolwiek z nich miał choćby blade pojęcie o jego wielkości? Nie, jedyna rzecz, jaką udało mu się naprawdę osiągnąć w przeciągu ostatnich dwóch lat, to niemal perfekcyjna znajomość języka obcego i towarzyszące jej przekonanie, że dzięki niej otwierają się przed nim nowe możliwości. Wreszcie wyzwolił się z raz wytyczonych kolein. Jego umysł bujał swobodnie, rozważając każdą szansę. Musi jeszcze zdobyć się na wysiłek, żeby nie tylko mówić biegle po włosku, lecz także myśleć w tym języku. To najlepszy sposób na wyzwolenie się od siebie samego i wyrwanie z pułapki, w której wszyscy chcieliby go zatrzasnąć. Sięgając po pałeczkę higieniczną, żeby wydłubać woskowinę z ucha, zaczął obserwować siebie w lustrze. Tak, może właśnie



zmiana języka była przyczyną stopniowej zmiany jego sposobu myślenia. (Czy kiedy kradł skórzaną aktówkę, myślał po włosku?) Wielkie, błękitne oczy spoglądały na niego z zasnutego mgiełką pary zwierciadła. „Wól rroboczy!”, powiedział, ale z lekkim uśmiechem w kącikach warg, odsłaniającym długie zęby. Ten uśmiech wydał mu się zupełnie nowy. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem widział go na swojej twarzy. Tylu rzeczy człowiek o sobie nie wie. „*Cara Massimina*” — wyszeptał. - „Moja najdroższa Massimino”. Tym razem był z siebie zadowolony.

„Drogi tato, czy pamiętasz, jak zawsze powtarzałeś, że chodzę z oczami wbitymi w ziemię? Waliłeś mnie pięścią w plecy, jednocześnie drugą ręką szarpiąc mnie za brodę i zmuszając, abym się wyprostował. Mówiłeś, że od ślęczenia nad książkami zmienię się w robaka”.

Morris urwał, wyłączył dyktafon i poskrobał się za uchem. Zaraz, do czego to on zmierzał?

„Raz powiedziałeś, że kiedy pochylam się nad książką, sprawiaam wrażenie ofiary rozszczepu kręgosłupa. Odpowiedziałem ci wtedy, że ty też nie wyglądasz jak jakiś cholerny Adonis. Nie wiedziałeś, kto to jest Adonis, za to złoileś mi skórę za przeklinanie. Zupełnie jakbyś sam nigdy nie przeklinał”.

Stara, wyświechtana teoria: dziecięca-trauma-równa-się- nieprzystosowaniu-w-wieku-dojrzałym. Nigdy nie żywił do niej zbytniego przekonania, ale jednocześnie w pewien sposób nie przestawała go intrygować. Odkrywanie samego siebie było szalenie ekscytujące, zwłaszcza kiedy pojawiały się zupełnie nowe elementy.

Tamten nowy uśmiech. Obecny nowy pomysł.



„A kiedy mając piętnaście lat zacząłem dbać o siebie, używać wody po goleniu (niczym Gregorio), układać włosy i starać się chodzić z wypiętą klatką piersiową i ściągniętymi pośladkami, skomentowałeś, że wyglądam niczym pedzio. (Dlaczego to właśnie słowo tak bardzo rani?) W żaden sposób nie mogłem z tobą wygrać”.

W końcu wszystko sprowadzało się do jednoznacznego określenia własnej osobowości. Morris dobry chłopiec, wazeliniarz, maminsynek, lizodupek, karierowicz, pilnie wypełniający formularze, któremu udało się wyrwać z nędznego domku w Acton i spod władzy głupiego, opętanego wizją związków zawodowych ojca na szerokie trawniki Cambridge - ostrygi i szampan — albo Morris odrzucony, pogardzany, poniżany, bezpowrotnie wyalienowany (przynajmniej ILEA\*<sup>1</sup> wyposażyła człowieka w odpowiedni zasób słów).

Opanowany żądzą odwetu... „Odwetu, tato, ponieważ...”.

Był jednym i drugim. Tak naprawdę istniało dwóch Morrisów, o osobowościach niezwykle trudnych do pogodzenia.

„...ponieważ miałeś rację, rzeczywiście chodziłem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Przynajmniej w przenośni. (Tak naprawdę garbiłem się znacznie mniej niż ty.) Zaakceptowałem angielską wiarę w wyższość merytokracji. Uczyłem się, żeby się wyzwolić, żeby pójść wyżej. Chciałem się wyrwać z naszego ogłupiającego domu, z naszej szpetnej ulicy, chciałem znaleźć się jak najdalej od twoich żłopiących piwo, pierdzących kumpli, z którymi grywałeś w rzutki. Gdybym za-

---

<sup>1</sup> \* International Language Educator's Association; Międzynarodowe Stowarzyszenie Nauczycieli Języków Obcych

miast tego zaczął rozglądać się dookoła, mógłbym odkryć, że nawet zakuwając do dnia sądu ostatecznego, nie podniosę głowy ani o cal ponad całe to gówno".

Zapatrzył się przed siebie. Pościel, w której leżał, była tak zapiaszczona, że wyglądała niemal jak papier ścierny, jednak wypranie jej wydało mu się trudnością nie do pokonania. Naprawdę zanim semestr się skończy, powinien wystarać się o pokojówkę. Albo o żonę? Uśmiechnął się cierpko, zastanawiając się, czy jest to ten sam nowy uśmiech, z którym wychodził z łazienki.

Albo nawet o matkę.

„Czy pamiętasz, że kiedy matka umarła, powiedziałeś, że mam się zabrać do jakiejś uczciwej roboty, a nie marnować czas na studiowanie i tego typu bzdury...".

Nie, źle. To nie ten ton. No i pozwolił sobie zboczyć z kursu. Miał przecież rozwinać wątek o spoglądaniu w dół. Nie skoncentrował się dostatecznie. Przewinął taśmę do tyłu i przewrócił się na drugi bok.

Na sobie miał zieloną bawełnianą piżamę i czuł przyjemne ciepło, rozlewające mu się po żołądku.

„Wstydzilem się ciebie. Ja...".

O Boże.

„Matka rozumiała. Matka...".

Nie, matkę lepiej zostawić w spokoju.

Tak nawiasem mówiąc, niczego nie rozumiała.

Ta jej cholerna religijność. Matka, co zaczął pojmować dopiero teraz, popierała jego naukę, gdyż ta kojarzyła się jej z cnotą (może dlatego, że do pewnego

stopnia wymagała umartwiania ciała), a więc z religią, stanowiącą jej broń przeciw pijaństwu ojca. Po wnikliwej analizie okazywało się, że sprzeczki rodziców na temat jego przyszłości były tego samego rodzaju, jak ich kłótnie o kolor ścian w łazience albo o seks.

„Rzecz w tym, że teraz odmieniłem się w sercu. Teraz spoglądam w górę, uważnie przypatrując się wszystkiemu. Włochy to zabawny kraj i wiele się tu nauczyłem. Przede wszystkim przywiodły mnie do twojego socjalizmu, chociaż nie w takiej formie, w jakiej ty go pojmujesz. Bogaci zasługują na każdy cios, jaki możemy im zadać, i mam zamiar zacząć rozdawać ciosy jak najprędzej”.

Nie, to zbyt ostro. I zupełnie niewłaściwe. Nie tłumaczy, dlaczego ukradł aktówkę albo wdał się w znajomość z Massiminą. Poza tym tak naprawdę podziwiał gust włoskiej arystokracji.

Cały problem polegał na tym, że wcale nie chciał jej zniszczyć, tylko - przeciwnie - dołączyć do niej.

Pragnął żyć w taki sam sposób jak oni, w wielkim stylu, z klasą, na wysokiej stopie, podczas gdy ojciec nienawidził bogaczy i wcale nie chciał się stać takim jak oni.

Źle to wszystko wytłumaczył.

Jeszcze raz od początku.

„Tato, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię podziwiam. Podziwiam i nienawidzę jednocześnie. I tu dochodzimy do bardzo interesującej sprzeczności. Moje pragnienie do ponizenia w niezwykle sposób połączone jest z pragnieniem bycia przez ciebie docenionym. Odbieram to jako...”.

Nie, teraz już do reszty stracił wątek. To samo spotykało go, ilekroć usiłował napisać list do gazety. Zaczynał, mając jasno sformułowaną ideę - zmiana w sercu, spoglądanie w górę - by w polowie uświadomić sobie, że jego wypowiedź wcale nie jest jasna i klarowna, że tak naprawdę stanowi zwykły bełkot.

O drugiej w nocy rozszczękał się pies. Morrisa obudziło długie, przeraźliwe wycie, po którym nastąpiła seria krótkich szczęknięć, wszystko dosłownie o metr albo dwa od jego okien. Jak zwykle, kiedy się budził, szczęki miał mocno zaciśnięte, a język obolały i opuchnięty z jednej strony.

Leżał na wznak, słuchając szczekania, podczas gdy w jego mózgu pulsował głęboki, czarny gniew, usiłujący wydobyć się na zewnątrz przez umęczone gaiki oczne. Nie dosyć, że kiedy miał dziesięć lat odumarła go matka, ta jedyna istota, która go naprawdę rozumiała i podtrzymywała na duchu, nie dosyć, że urodził się biedny, że jego ojciec był cuchnącym, wiecznie żłopiącym piwo robolem, że w każdym momencie swojego życia zmuszony był płynąć pod prąd, że relegowano go z uczelni, a podań o pracę odrzucono mu więcej niż miesięcznie ukazywało się ogłoszeń w „Guardianie”, nie, on musiał jeszcze zamieszkać w sąsiedztwie psa, który wyrywał go ze snu każdej nocy, tak że potem leżał sztywno, całkowicie rozbudzony, po raz nie wiadomo który wałkując wszystko od nowa: swoją frustrację, poczucie porażki, wrażenie bycia oszukiwanym na każdym kroku, przekonanie, że podjął błędną decyzję, że wszyscy go ignorują, że dla niego nie istnieje nic, dla czego warto żyć. Nic, co byłoby warte jego wysiłków.

Niezmordowane szczekanie odbijało się od ścian otaczających podwórze i zapadało w jego udręczony mózg niczym oskard zagłębiający się w błoto. Morris rozplakał się. Gorzkie łzy żalu nad samym sobą spływały mu po policzkach. Był

przeklęty. Naprawdę przeklęty. Innym pies wydawał się zupełnie nie przeszkadzać. Byli na niego dziwnie odporni. Innych jakoś jego szczekanie nie budziło. Tylko on był naznaczony tą przeklętą chorobą, która wiecznie ściągała na niego nowe kłopoty.

Naprawdę nie zasłużył sobie na taki los.

Następnego dnia kupił na Piazza Erbe pocztówkę i napisał na niej kilka miłych słów do ojca.

„Drogi Tato, mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Pewnie pracujesz teraz ciężko na działce, przygotowujesz się na nadejście wiosny. Tu jest wspaniale. Przepiękne słońce, nigdy deszczu. W pracy też mi się powodzi. Jeśli uda mi się złapać wolną chwilę, postaram się zarezerwować bilet na samolot, żeby latem wpaść na tydzień do domu. Wszystkiego najlepszego, Tato, Morris”.

Tak, to brzmiało naprawdę przekonująco. (Dlaczego czasami życie wydawało mu się niekończącą się rozmową z ojcem?) Naskrobał jeszcze adres: 68 Sunbeam Road, North Acton, London NW 10, Gran Bretagne, kupił w trafice znaczek i wrzucił kartkę do skrzynki na rogu skwerku. A teraz na poszukiwanie nowej koszuli i spodni.

Elegancja czy prostota? Współczesność czy klasyka? Z pewnością najbardziej chcieliby go ujrzeć w klasycznym, urzędowym uniformie, poważnego gościa, mogącego zaoferować dziewczynie stabilizację (nawet jeśli mieli dość pieniędzy, by zapewnić dwójce młodych życie w luksusach do końca świata). Pomyślał, że byłoby nieźle wybrać coś, co ich zaskoczy, może nawet wprawi w zachwyt. Zaprezentować się nie jako odpowiedni w ich mniemaniu kandydat, lecz ktoś nieporównanie lepszy, przerastający ich najśmielsze oczekiwania. Tak właśnie postąpiłby prawdziwy artysta. Wątpił jednak, czy posiada aż tyle umiejętności, by

wziąć ich szturmem. Najbezpieczniej będzie pozostać przy prostocie ubioru, a z resztą zdać się na intuicję, postawić na rozmowę, na odpowiednią gestykulację.

W rezultacie zdecydował się na koszulę w drobną, delikatną kratkę w zielonkawym odcieniu, pasującą do jego ciemnej tweedowej marynarki (i ciemnego krawata college'u, tak ładnie kontrastujących z jego jasnymi włosami, stanowiącymi odpowiedni angielski akcent). Do tego wełniane włoskie spodnie, w których można się było zaprezentować dosłownie wszędzie. Oczywiście taki zakup przekraczał jego możliwości finansowe i przez krótką chwilę zaczął się martwić, z czego zapłaci rachunek za gaz. Ale przecież zima się skończyła, więc nie ma co się przejmować ewentualnym odcięciem gazu. Poza tym ogarnęło go przyjemne przeświadczenie, że już niebawem nie będzie musiał się martwić o tysiąc lirów w tę czy w tamtą albo o to, czy uda mu się znaleźć dwadzieścia lekcji w tygodniu czy też nie. Doprawdy gonił już resztkami sił. Zbyt długo grał według ich reguł, bez sukcesu, za ciężko, za poważnie, za uczciwie. Teraz albo się udusi, albo zerwie wreszcie krepujący go łańcuch.

Buląc lekką ręką sto tysięcy lirów, poczuł się jak ktoś, kto wydaje bez opamiętania, żeby pozbyć się waluty, która już niebawem straci wartość. Zadowolony z tego porównania uśmiechnął się serdecznie do młodego, ciemnowłosego sprzedawcy.

A teraz do Standy w poszukiwaniu odpowiedniego impregnatu do skóry. Dbalność o piękne przedmioty sprawiała mu przyjemność, więc starannie dobierał produkt, uważnie studiując etykiety wszystkich oferowanych mu tubek i pudełeczek. Z większością rzeczy obchodził się raczej beztrosko (wystarczyło popatrzyć na jego zniszczone buty), jednak w przypadku piękna sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej (jakież to tajemnicze, przyjść na świat w North Acton i tęsknić do klasy i stylu, jeszcze zanim człowiek uświadomił sobie w pełni ich ist-

nienie). Pewnego dnia, kiedy już zdobędzie mnóstwo pięknych przedmiotów, wiele czasu poświęci ich odpowiedniej pielęgnacji, czerpiąc z tego przyjemność i zadowolenie. (W odpowiednim czasie wyuczy też Massiminę, którą chyba nie-trudno będzie wytrenować.)

W szkole, kiedy czekając na rozpoczęcie lekcji, wcierał palcami impregnat w skórę aktówki, pomyślał, że zdobył ją dzięki zdecydowaniu, dzięki owej pewności siebie, jaką pragnął nosić w sobie przez całe życie i której mu tak strasznie brakowało, kiedy musiał pędzić z wywieszonym językiem z jednej lekcji na drugą, żeby zdobyć parę lirów.

Wracał wtedy pociągiem z Mediolanu, dokąd musiał pojechać, żeby przedłużyć paszport. Pora była późna i w jego przedziale siedział tylko jeden pasażer. Po całym dniu spędzonym w obcym mieście i z dala od szkoły Morris odczuwał przyjemne ożywienie i kiedy jego towarzysz rozpoczął rozmowę, myślał, że miałby wyznać, że uczy angielskiego, była mu szczególnie nienawistna. Któż to jest, nauczyciel języków? Zero. Kompletny nieudacznik. Czy ktoś kiedykolwiek z własnego wyboru zdecydowałby się na taki zawód? Powiedział więc, że jest Amerykaninem (czemu nie?), członkiem personelu dyplomatycznego placówki konsularnej w Wenecji, że przebywa we Włoszech zaledwie od sześciu miesięcy, więc... Ależ jak na tak krótki okres czasu jego włoski jest naprawdę znakomity, przerwał obcy uprzejmie, a Morris uśmiechnął się i skłonił lekko.

Jego współpasażer przedstawił się jako przedstawiciel handlowy firmy Gucci. Przy tych słowach położył na tłustych kolanach skórzaną aktówkę i poklepał z tak bezwstydną satysfakcją, że Morrisem aż zatrzęsło. Z najwyższym trudem powstrzymał się, żeby nie wywalić tamtemu prosto w oczy, że on, Morris, nie chciałby mieć nic wspólnego z bandą szpanerskich oszustów, produkujących kompletnie bezużyteczne gadżety, których wartość polega wyłącznie na marce, i



sprzedających je głupim, snobistycznym Amerykanom, zwariowanym na punkcie firmowych produktów, że ta osławiona marka (tak łatwa do podrobienia) to prawdziwa farsa, która tak naprawdę nic nie znaczy (podczas gdy miliony ludzi konają z głodu - a on potencjalnie znajduje się między nimi, jeśli się dobrze zastanowić). Teczka była jednak naprawdę elegancka, więc zatrzymał swoje uwagi dla siebie, a ze współpasażerem wdał się w uprzejmą konwersację na temat rynku wyrobów skórzanych i podziwu swoich rodaków dla włoskich projektantów mody.

Potem przeszli do polityki i człowiek od Gucciego powiedział, że Włosi są wdzięczni Amerykanom za pomoc w trzymaniu komunistów z dala od rządu, a rozgrzany tematem Morris wystąpił z całym szeregiem inwektyw przeciw czerwonej zarazie, choć ostatnio całkiem poważnie zastanawia! się nad wyjazdem na stałe do któregoś z państw bloku wschodniego (*LONDYŃCZYK SZUKA LEPSZEGO ŻYCIA W MOSKWIE!* - ogłosiłyby od razu nagłówki w „Morning Star”). W BBC tyle razy odrzucili jego podanie o pracę, że pracowałby dla Radia Moskwa, przy zagłuszaniu angielskich rozgłośni. Dlaczego nie? W końcu po co komu *Brain of Britain*\*<sup>2</sup>?

Po mniej więcej pół godzinie miłej pogawędki jego towarzysz udał się do toalety i przez czysty przypadek jego nieobecność w przedziale zbiegła się z krótkim postojem pociągu na niewielkiej stacyjce w miejscowości Desenza-no. Morris nie zastanawiał się wcale. A jeśli nawet się zastanawiał, to myślał po włosku, tak że niemal nie rozpoznał siebie samego w tym procesie. Położył rękę na klamce i z całkowitym spokojem czekał, aż pociąg ruszy. Kiedy poczuł delikatne

---

<sup>2</sup> \* Popularny w wielkiej Brytanii quiz radiowy, nadawany nieprzerwanie od 1953 przez BBC, Radio 4, sprawdzający wiedzę ogólną



szarpnięcie, nadal idealnie opanowany, złapał aktówkę leżącą na siedzeniu naprzeciwko i wyskoczył na peron. W całym swoim życiu nigdy nie czuł się mniej wołem roboczym jak w tamtej chwili.

Był to ostatni wieczorny pociąg, więc przyszło mu przenocować w pensjonacie w pobliżu dworca. Nie przeszkadzało mu to wcale. Rozpierała go duma i poczucie sukcesu, nie posiadał się ze zdumienia, że stać go na taki wyczyn. Dawno już powinien był spróbować.

Siedząc na wąskim łóżku, zabrał się do przeglądania zawartości aktówki, która, szczerze mówiąc, okazała się znacznie mniej atrakcyjna niż sama teczka - pliki broszur reklamujących wyroby Gucciego, egzemplarz „Pen-thouse'a” (a to brudna świnia, te jego grzecznościowe rozmówki), paczka miętówek, rozmaite pisma służbowe i memoranda, z których dowiedział się, że przedstawiciel handlowy nazywa się Amintore Cartuccio i prowadzi filię firmy w Trieście, i wreszcie wielki, oprawiony w brązową skórę terminarz, wypełniony notatkami dotyczącymi spotkań w interesach i ich rezultatów.

Ssąc miętówki, jedną po drugiej, ponad godzinę studiował poszczególne zapiski. Obok nazw, będących, jak przypuszczał, nazwami poszczególnych sklepów, widniały rozmaite liczby. Kilkakrotnie pojawiało się imię „Luigina”, opatrzone wykrzyknikiem i występujące co dziesięć albo co dwadzieścia dni, zawsze w połączeniu z nazwą pewnego sklepu w Bolonii. Dwóm wizytom w Mediolanie towarzyszyło imię „Monica”, napisane na marginesie strony wraz z godziną spotkania.

Od tamtej spędzonej w pensjonacie nocy raz czy dwa razy przyszło mu do głowy, że gdyby wystarczyło mu odwagi, mógłby nieźle załatwić owego Cartuccia. Nie przypominał sobie wprawdzie, czy na palcu tamtego znajdowała się obrączka, ale gość wyglądał na żonatego. Swoją drogą to zastanawiające, że oble-

śni, konwencjonalni faceci niemal zawsze decydowali się na ożenek, podczas gdy dżentelmenów jego pokroju do małżeństwa mogła zmusić tylko wyższa konieczność w rodzaju skrajnego ubóstwa.

- *H'ello, Meester Morrees!*

No tak, pojawił się jego pierwszy uczeń, drobny, nerwowy chłopak, z nieodłącznym szarawym, żalonym, typowo włoskim wąsikiem. Morris wzdrygnął się. Zaskoczony na czynności wcierania impregnatu w ręcznie szyte szwy złaknionej skóry, poczuł się niczym przyłapany na jakimś lubieżnym występku, na przykład na gmeraniu w rozporku.

- Widzę, że ma pan teczkę od Gucciego - zauważył Armando, zajmując miejsce.

- A owszem.

- Bardzo szykowna.

Morris odparł, że zawsze podziwiał jakość włoskich wyrobów ze skóry, i zacisnął zęby, gotowy do rozpoczęcia lekcji.

- Miałeś udany weekend, Armando?

- O, tak.

Morris opowiadał zmyśloną historię o Stanie. W jadalni siedzieli: matka, babka, dwie starsze siostry (czemu wydawało mu się, że istnieje tylko jedna?), typek o cudacznym przezwisku Bobo i wreszcie sama Massimina, wpatrująca się w niego ogromnymi, ciemnymi oczami. Do stołu podawała pokojówka; najpierw hors d'oeuvres - siekany szpinak z kwaśną śmietanką w wąskich rurkach makaronu (nazywanych żartobliwie „księżowskimi dusicielami”), potem lazanie z szynką, po której następował delikatny, soczysty stek, i wreszcie deser o nazwie *tiramisu* - coś w rodzaju lekkiego, kawowego sernika, z wierzchu posypanego płatkami kakao i dosłownie rozpluwającego się w ustach.

Morris wygłosił kilka (nie nazbyt przesadnych) pochwał pod adresem wszystkich dań. Starał się sprawiać wrażenie osoby, dla której tego rodzaju posiłki stanowią codzienność, i miał nadzieję, że mu się to udało. Odczuwał szalony głód, jednak nie rzucił się łapczywie na jedzenie. Ba, zostawił nawet na talerzu odrobinę z każdej potrawy i, co więcej, odmówił (bardzo grzecznie, oczywiście) proponowanej dokładki. Ubrany był (ten krawat zwłaszcza) nieco bardziej formalnie niż gospodarze. Czuł jednak, że tak właśnie powinno się wyglądać podczas pierwszej oficjalnej wizyty. A jego włoski brzmiał bez zarzutu. Tak, z całą pewnością był dzisiaj w formie.

- W rzeczywistości Stan jest bardzo majątny. Otóż to!

- Oczy mu rozbłysły, kiedy zobaczył ich zdumienie. Wymyślona przez niego historyjka właśnie zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Jego słuchacze sprawiali wrażenie bardzo zainteresowanych. Morris urwał dla lepszego efektu i uśmiechnął się. (Już dawno zauważył, że w większym gronie zawsze udawało mu się rozbawić zebranych, podczas gdy inni nudziarze daremnie starali się zyskać poklask, prezentując jakieś ochłapy swojej wyobraźni.)

- *Jego rodzina posiada całą sieć moteli w Los Angeles!* Tak więc Stan wcale nie musi mieszkać w tej ruderze. Gdyby się pobrali, mógłby spokojnie kupić eleganckie mieszkanie, nawet w centrum. *Gdyby tylko pozwolono im się pobrać.* I gdyby Stan miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby usiąść z rodzicami Moniki przy jednym stole i przedstawić im szczerze swoją sytuację, tak żeby mogli przestać się zamartwiać. Bo pomimo swoich hipisowskich ideałów, dziwacznych ubrań, paciorków, brody i całej reszty Stan to naprawdę porządny gość. Wiedzą państwo, jacy bywają Amerykanie. Jednak w zaistniałej sytuacji cóż mieli robić ci biedni rodzice? Wydawało im się, że chłopak wywodzi się z rynsztoka, i obawiali się, że ich córka tam właśnie skończy. Wysłali więc Monikę do Paryża, do szkoły klasztornej, choć biedactwo nie znało ani słowa po francusku, a zdesperowany Stan został sam w wielkim, zapuszczonym domu, wśród wegetariańskich książek kucharskich i ubrań z Oxfamu i ze wszystkimi pieniędzmi, których nawet nie ma ochoty wydawać.

W trakcie opowiadania Morris co chwila zerkał na Massiminię, i to w taki sposób, że pozostali nie mogli tego nie zauważyć. Biorąc pod uwagę okoliczności, jego historyjka miała dość łatwy do rozszyfrowania podtekst. Dokładnie o to mu zresztą chodziło. Jej przesłanie brzmiało: tak, ja także się boję, ale jednocześnie rozumiem wasze obawy - wasze *uzasadnione* obawy - tak naprawdę stoję po waszej stronie, a poza tym w moim przypadku nie istnieją żadne problemy typu broda, paciorki czy plakaty z Ghandim. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie zakończyć jakimś dramatycznym akcentem, nie kazać biednej, wyimaginowanej Monice powiesić się na Gare du Nord albo rozwinąć lesbijskich skłonności i zatrudnić się jako aktorka w filmach porno czy coś w tym rodzaju. To jednak może byłoby zbyt ryzykowne.

- Jeszcze trochę *tiramisu* - uśmiechnęła się Massimina, sięgając po spory pu-  
charek ze rżniętego kryształu.

Tym razem Morris zgodził się na dokładkę - „ale tylko łyżeczkę” - spogląda-  
jąc na nią z oddaniem.

Massimina miała długie, czarne włosy, kilka piegów znaczących kameliową  
skórę i wielkie, czyste, ciemnobrązowe oczy. Nos i rysy twarzy odznaczały się  
pewną ostrością, jednak kiedy się uśmiechała, była zdecydowanie atrakcyjna,  
choć w sposób raczej niewinny i pozbawiony sex-appealu.

Zważywszy ewidentną zamożność rodziny, Morris zawsze się zdumiewał, że  
jest jej pierwszym konkurentem, jednak złożył to na kark młodości i chorobliwej  
wręcz nieśmiałości dziewczyny. Wśród faktów, jakie poznał podczas długich po-  
gawędek w barze po zakończeniu lekcji, był i ten, że odkąd zmarł jej ojciec - a  
miała wówczas dwa lata - Massimina sypiała z matką. Myśl o dwóch kobietach,  
jednej starej, zużytej i ciężkiej i drugiej młodej, świeżej i dziewiczej, kładących  
się do jednego łóżka, wprawiała go w dziwne podekscytowanie. Nie było to jed-  
nak ani podniecenie, ani - przeciwnie - odraza; raczej coś w rodzaju zintensyfi-  
kowanej ciekawości, pierwotnej i czystej.

Morris był zawsze dumny ze swoich zainteresowań życiem we wszystkich je-  
go przejawach.

Bobo (zdrobnienie od Roberta), który okazał się *fidanzato* Antonelli, także  
zjadł dokładkę *tiramisu*. Był raczej wątpliwy, z cofniętą szczęką, a jadł stanowczo  
zbyt szybko, pochylając głowę tuż nad talerzem. Morris czuł nad nim zdecydo-  
waną przewagę, zwłaszcza kiedy podczas przechodzenia z jadalni do salonu na  
kawę i koniak, nie zapomniał o tym, by uprzejmie zaoferować ramię zniedołęż-  
niałej babce. Do diabła, mimo swojego pochodzenia był prawdziwym dżentel-

menem. Ciekawe, ilu tak zwanych dżentelmenów mogłoby szczerze powiedzieć o sobie to samo? Musi tylko pamiętać, żeby nie przesadzić z alkoholem. Bezwarunkowo. Wypił już trzy albo cztery kieliszki Soave z należącej do rodziny winnicy. Jeszcze tylko odrobina koniaku i na tym poprzestanie.

Salon - mroczny, z przewagą linii prostych i drewna, umeblowany ciężkimi, masywnymi meblami - nie różnił się wiele od jadalni. Z pewnością nie miał w sobie nic nuworyszowskiego. Na marmurowej podłodze w czarno-białą szachownicę stały rozpaczliwie sztywne, trumienno mahoniowe meble, żalobny bluszcz ronił posępne liście na tygrysią skórę (autentyczną aż po dziurę po kuli). Jednak owa osobliwa staroświeckość sprawiła, że Morris poczuł się całkowicie rozluźniony. Skoro pokój wyglądał zupełnie niczym teatralna dekoracja, dlaczego miałby czuć się odpowiedzialny za słowa, które w nim wypowie? Tym bardziej że mówił po włosku. Usiadł na krześle z boleśnie prostym oparciem, starając się nie poruszać zbytnio głową, by łupież nie obsypał mu klap marynarki.

Poza zniedołężniałą babcią wszystkie kobiety gdzieś się ulotniły, pewnie poszły cackać się z biskwitami i petit fours. Najwyraźniej nadszedł czas na przesłuchanie ze strony cherlawego Bobo.

- Zdaje się, że jest pan nauczycielem?

Morrisa nieodmiennie bawiło, ilekroć ktoś mówił „zdaję się” o czymś, co było mu doskonale wiadome. W końcu musieli wiedzieć, że poznał Massiminę w szkole. Jednak z Bobo należało zachować ostrożność. Parę uwag rzuconych przy obiedzie wskazywało na to, że był on ni mniej ni więcej tylko synem największego potentata drobiowego w Veneto. Co za zdobycz dla signory mammy, która pewnie sika po nogach ze szczęścia z tego powodu. Opinia Bobo będzie miała znaczenie decydujące. Morris przyoblókł twarz w wyraz pokory.

- Owszem udzielam lekcji angielskiego. - Zawahał się. Kątem oka dostrzegł stojącą w drzwiach matkę Massiminy, z twarzą poznaczoną ostrymi liniami dostojnego, piętnastoletniego wdowieństwa. - Jednak tym param się niejako na marginesie, dla przyjemności raczej i aby wyświadczyć przysługę dyrektorowi szkoły. Głównie zajmuję się importem i eksportem. Współpracuję ze spółkami handlowymi w Londynie i Bristolu. Jeśli któraś z firm w tych miastach poszukuje klientów albo dostawców, pośredniczę w nawiązywaniu kontaktów.

Nie omieszkał przy tym, niby mimochodem, wymienić trzech firm w Weronie, z którymi obecnie jakoby ściśle współpracował - dwóch zajmujących się produkcją odzieży i jednej eksportującej wina - a których nazwy znał głównie z billboardów i lokalnych reklam telewizyjnych. Oczywiście w takiej dziurze jak Werona zawsze istniało ryzyko, że signora albo Bobo będą znali kogoś z tych firm. Uznał jednak, że śmiałość popłaca.

Powiedziawszy to wszystko, Morris zamilkł. Za nic w świecie nie może sprawiać wrażenia kogoś, kto się broni. Cisza trwała prawie minutę. Usta signory były zapadnięte w ten charakterystyczny sposób dla osób noszących sztuczną szczękę.

- A dlaczego wybrał pan Włochy?

- Zakochałem się w tym kraju. Jak wszyscy zresztą. Najpierw wakacje i tak dalej. To naprawdę fascynujące miejsce. Kiedy więc mój ojciec, zajmujący miejsce w zarządzie spółek handlowych, powiedział, że może mi załatwić tu pracę, zgodziłem się bez chwili wahania. Zamierzam osiedlić się tu na stałe. - Morris uśmiechnął się, prezentując własne, nieskazitelnie białe uzębienie. To, że mityczne stanowisko zawdzięczał wstawiennictwu ojca, z pewnością należało do



faktów, jakie pragnęliby usłyszeć. Silna rodzina. Rozliczne wpływy. Jeśli sprawa zajdzie za daleko, zawsze będzie można uśmiercić staruszką.

Przy kawie Antonella chciała usłyszeć coś na temat nauki Massiminy. Ona i starsza siostra, Paola, siedziały ze złączonymi kolanami, sztywno wyprostowane na krzesłach o boleśnie twardych oparciach. Było w nich coś z zakonnicy i Morris po raz pierwszy poczuł iskierkę autentycznego współczucia dla najmłodszej córki, uznawanej za rodzinnego tępaka. Powiedział, iż jego zdaniem głównym problemem Massiminy jest zbytnia nerwowość, sprawiająca, że dziewczyna przepada na egzaminach. W czasie lekcji pracuje naprawdę pilnie i z powodzeniem. Przyjął kawałek marcepana w kształcie wieży w Pizie. W podzięce Massimina uśmiechnęła się nieśmiało.

Po czyjejś przelotnej uwadze o jakimś zdjęciu, Morris uparł się przy obejrzeniu wszystkich rodzinnych albumów z fotografiami, ku uprzejmemu znudzeniu wszystkich poza Massiminą i babcią (tę naprawdę zawojował szturmem!). O, tutaj popołudnie w Monte Baldo, tu uroczystość z okazji przyjścia na świat Antonelli, a tu znowu Massimina, kiedy miała pięć lat.

- *Oh, che bella! Che carina! A tu Il Signore.* Wspaniały człowiek, może mi pan wierzyć. A jaki przystojny!

Wcale nie musiał zaciskać zębów, przeciwnie, czuł się wręcz wyśmienicie. Zapach politory do drewna przemieszany z wonią ekskluzywnych perfum działał na niego niczym narkotyk, porywał wyżej i wyżej. A do tego jeszcze smak wyśmienitego koniaku Vecchia Romagna (jakże mógłby odmówić drugiego kieliszka?) i ta wspaniała, wytworna, prawdziwie purytańska obfitość wszystkiego... po prostu cudowna! Przy pożegnaniu dwornie pocałował Massiminę w piegowate, upudrowane policzki.



- *Coraggio!* - wyszeptał. - Zostawiłem samochód dalej na ulicy - wytłuma-  
czył pozostałym.

Jadąc autobusem do domu, przez całą drogę usiłował sobie przypomnieć, czy  
wspomniał Massiminie, że nie ma samochodu. (Niby po co, do cholery, miałby  
co wieczór tłuc się do domu autobusem, gdyby go posiadał?)

List nadszedł dwa dni później, co jak na włoską pocztę było nie lada wyczy-  
nem. Napisano go na maszynie.

*Egregio Signor Duckworth* - jakże nienawidził widoku swojego ohydneho na-  
zwiska! Skąd je wytrzasnęli? Czy kiedykolwiek powiedział Massiminie, jak się  
naprawdę nazywa? Powiedział? Skądże! A więc sprawdzili go. Co za podejrzliwi  
ludzie! Czy mieli jakiegokolwiek podstawy do nieufności?

*Egregio Signor Duckworth*, pragnę Panu zakomunikować, że Massimina nie  
będzie dłużej uczęszczała na Pańskie lekcje. Zechce Pan przyjąć do wiadomości,  
że jest to decyzja, jaką podjęliśmy wspólnie, jako rodzina. Ufamy, iż nie będzie  
Pan usiłował skontaktować się z Massiminą, która w pełni zgadza się z naszą  
opinią, że nie jest Pan dla niej odpowiednim kandydatem.

*Distanti Saluti*, LUISA TREVISAN

Tak więc dla niego na tym świecie nie pozostawało już nic. Literalnie nic. Nie  
wolno mu było nawet tknąć tych prostaków, z ich posiadłościami, z ich winni-  
cami produkującymi sikacza! Co takiego zrobił źle? On, Morris? Jego maniery  
były przecież bez zarzutu, może nie? Nie napychał się, choć tak naprawdę konał

z głodu. Kiedy się witał z matką i Bobo, dłoń miał suchą, a uścisk zdecydowany. Na miłość boską, podał nawet ramię tej trzęsącej się staruszce, żeby mogła bezpiecznie dotrzeć do salonu! Nie upuścił jednego okruszka jedzenia, nie uronił jednej kropli wina. Co takiego mogli mieć przeciwko niemu? Po włosku mówił bezbłędnie, z leciutkim tylko śladem obcego akcentu. Odkryli, że trochę przesadził z tym eksportem - importem? Na jego miejscu każdy by tak zrobił.

Sami byli temu winni, przez swoją burżuazyjną potrzebę posiadania solidnych dochodów. A zresztą w końcu zdobędzie taką właśnie pracę. Przy jego możliwościach! Poczul ogarniającą go wściekłość. Co oni sobie myślą, że kto się ożeni z ich głupią, piegowatą córeczką, kto o zdrowych zmysłach? Żeby potem mieć za szwa-gierki te dwie mniszki!

Przeszedł do łazienki, żeby przyjrzeć się sobie w lustrze. Oczy zaczerwienione, włosy w nieładzie. „Morris! Obiecujący!” widniało na wszystkich jego szkolnych esejach, na raportach, na opiniach z uniwersytetu. Nic nie wyszło z tego „obiecującego”. Powoli, celowymi ruchami, ściągał ubranie, chcąc ujrzeć siebie nagim, takim jakim był naprawdę. Morris w lustrze, w swojej prawdziwej skórze, widoczny od stóp do głów. Obiecujący! Żalność nad sobą dosłownie wylewała się z niego. Żalność i udręczenie. Nigdy przedtem porażka nie była aż tak dotkliwa. Pobity, pokonany. Zobaczył łzy w swoich oczach. Przyglądał się im, wypływającym spod zaczerwienionych powiek. Wyśmiany, znieważony. Jakże niezasłużenie! Wziął do ręki wymienny nożyk do golarki Philipsa i zrobił lekkie nacięcie na ramieniu. Pojawiła się najpierw pojedyncza kropla krwi, potem cała strużka. Nagi położył sięgną wykafelkowanej podłodze i zamknął oczy, otaczając się ciemnością, w której nie było żadnej rzeczy, żadnej osoby, ani też niczego, na co warto by czekać.

Ilekcroć ojciec ją pobił, przychodziła spać do jego łóżka. Tuliła go do piersi i całowała po włosach. To wspomnienie wciąż w nim tkwiło, niewiarygodnie wręcz żywe. Wspomnienie kogoś wyjątkowego. Nawet jeśli była przy tym głupia. O ilu ludziach można powiedzieć, że są naprawdę wielkiego formatu? Obdarowana była tymi prawdziwie kobiecymi przymiotami: szczodrością, ofiarnością, poświęceniem. Nie ma rady, takiemu charakterowi musi towarzyszyć głupota. Zresztą to samo można było powiedzieć o Massiminie. Matka była typowym kozłem ofiarnym, bezwolnym jagnięciem, wleczonym na rzeź. Nigdy nie zdołała pojąć, że kiedy kładła się do łóżka syna, zamykała go w ciepłych ramionach i tuliła do piersi — wszystko to z miłością - on już przeżywał męki wstydu z powodu cierpkich uwag, jakimi później obrzuci go ojciec, i nade wszystko pragnął, by sobie poszła.

Noce, kiedy ojciec pobił matkę, nie zdarzały się bardzo często, ale przecież dość często, i zawsze kiedy następnego ranka Morris przypominał sobie jej wielkie ciało w swoim łóżku, ciepło i zapach bijące od spoconej, wilgotnej skóry, ogarniało go uczucie zakłopotania i poniżenia. Po jej śmierci wszystko okazało się łatwiejsze.

Jej fotografia stała teraz na stoliku nocnym koło jego łóżka. Matka miała prosty, wąski nos - zupełnie jak on sam - i takie same jasne włosy, ale była znacznie pulchniejsza od syna, a jej bezwolne ciało wręcz mówiło o uległości i poddaniu. Ten brak zdecydowania widać było także w oczach - wielkich i słabych, przypominających półżywe stworzenia trzepoczące w gęstej sieci zmarszczek, znaczących jej twarz już w wieku trzydziestu ośmiu lat. I nie były to bynajmniej

zmarszczki mimiczne. Naprawdę trudno było jednoznacznie ocenić ludzi takich jak ona.

Może rzeczywiście ją kochał? Nie wierzył w psychoanalityczne stereotypy, redukujące osobowość do czysto zwierzęcego determinizmu. Jeśli kochał ją naprawdę, jego uczucie nie miało nic wspólnego z kompleksem Edypa. Jeśli ją kochał, to za jej bezrefleksyjną zyczliwość, za głupie, ślepe oddanie temu łajdakowi ojcu, za to niewiarygodnie wręcz ufne godzenie się z losem, za opętańczą, religijną zgoła wiarę w życie, każącą jej bezustannie dziergać jakieś kołdry dla uchodźców albo zbierać kapsle po butelkach z mleka.

„Wiesz, tato drogi, rozumiem twój punkt widzenia. Wyobrażam sobie, że to musiało być naprawdę nieznośne, wracać z pubu i...”.

W tym momencie w dyktafonie skończyła się taśma. Kolejny wydatek.

Tak, po jej śmierci było znacznie łatwiej. Mniej zamieszania. Pamiętał tamten czas jako jeden ze szczęśliwszych okresów w swoim życiu. Obnosił się ze swoim bólem — przed ojcem, w szkole, przed sobą samym. W końcu stracił matkę w wieku dziesięciu lat, co stanowiło swego rodzaju wyróżnienie. Ucichły syki kolegów „wazeliniarz”, kiedy jego ręka wystrzelała w górę po każdym pytaniu nauczyciela (choć nie mógł powiedzieć, by przedtem specjalnie mu przeszkadzały; stanowiły potwierdzenie jego przewagi i ich zazdrości). Tamte czasy były naprawdę świetne. Tata próbował być miły, a Morris zaciskał wargi, odwracał głowę i wybuchał płaczem. Stare kosmetyki matki pozbierał do plastikowego woreczka i ukrył w lambrekinie zasłony. Wszystkie jej kolory i zapachy. Nie było to takie proste, utrzymywać ból ciągle świeży (i gotowy do użytku). Ojciec przyłapał go kiedyś, jak rozciągał wargi i nakładał na nie pomadkę, w podobny sposób jak to robiła matka. Wyzwał go wtedy od stukniętych pedałów. Morris nawet nie

usiłował się tłumaczyć. Nie powiedział, że szminka należała do matki. To była wyłącznie jego sprawa. W głębi serca wiedział, że nie jest żadnym stukniętym pedałem, a tylko to liczyło się naprawdę.

W jakieś sześć miesięcy po śmierci matki, ojciec znalazł sobie nową przyjaciółkę, chudą, rozchichotaną kobietę, której wybuchy perlistego śmiechu słychać było chyba na całej Western Avenue, a co najdziwniejsze, oczekiwał, że Morris ją zaakceptuje. Jednocześnie, nie widział wcale, że wkłada w ręce syna kolejny psychologiczny biczyk, którego ten z pewnością użyje. Pod tym względem był całkowitym nowicjuszem, aż człowiekowi czasami robiło się go żal. Morris zaczął odmawiać wspólnego zasiadania do stołu czy oglądania telewizji. Obladowany książkami, szedł do swojego pokoju, zamykał się w nim i wkuwał.

Każdy zawsze dąży ku temu, co potrafi najlepiej.

W swojej niewiarygodnej ignorancji ojciec w jakiś sposób połączył wyższe wykształcenie z homoseksualizmem i kiedy Morris jako pierwszy uczeń Acton High został przyjęty do Cambridge, uznał to za kolejny dowód skłonności syna. Ich drogi rozeszły się niemal zupełnie. Tak więc kiedy w dwa i pół roku później Morris został relegowany z uczelni, najbardziej wściekło go to, że nie ma się gdzie podziąć i musi wracać do Acton i ojcowskiego „a nie mówiłem?”.

Jeden, jedyny raz w życiu miał w kieszeni spodni dziesięć miligramów kokainy, zawinięte w wąski pasek folii, i to nie dłużej niż przez dziesięć minut. Czekał, aż wytrzeźwieje, bo dopiero wtedy chciał zdecydować, czy w ogóle będzie jej próbował. Gdyby tak się nie upił na jednej z żalonych, studenckich imprez, nigdy nie wzięłby do ręki tego świństwa. Nawet za milion lat.

Wyrzucenie Morrisa z uczelni miało posłużyć za przykład i ostrzeżenie. Wypowiano akurat jego, gdyż był outsiderem, bez absolutnie żadnych powiązań

czy znajomości. W rezultacie wszystko przeszło w niemal nieprzyzwoity sposób niezauważone i nie stało się przykładem i ostrzeżeniem dla nikogo. Ironia losu, bez której mógłby się śmiało obejść. Nawet związek studentów, będący ze strony Morrisa przedmiotem regularnych afrontów (interesowały go przede wszystkim studia i wyniki egzaminów, a nie zabawy w domorosłych polityków i wysyłanie pieniędzy do Chile), uznał, że lepiej będzie nie angażować się w tę sprawę.

„Poniosłem klęskę na obu frontach, tato”. - Kto by tam zawracał sobie głowę, czy dyktafon działa czy nie. - „Gdybym od samego początku zrobił szum wokół mojego robotniczego pochodzenia, zamiast ukrywać się skrętnie, całe stypendium wydając na ubrania, związek ująłby się za mną. Po drugie, gdybym zabiegał o odpowiednie przyjaźnie, ktoś mógłby użyć swoich wpływów. Tymczasem ja przez cały czas chodziłem z opuszczoną głową”.

Tym, co cenił w sobie szczególnie i czemu jego przyszły biograf z pewnością poświęci wiele ciepłych słów, było, że po relegowaniu, które odebrał przecież jako fatalny w skutkach wstrząs, niszczący wszystko, do czego tak uparcie dążył, zachował spokój i wysokie morale. Wyleciał na dwa tygodnie przed końcowymi egzaminami, mając już w zanadrzu kilka ofert pracy dla absolwentów. Oczywiście wszystkie natychmiast przestały być aktualne. Ani na moment nie stracił wówczas zimniej krwi. Jego spokój brał się z przeświadczenia, że znajduje się na właściwej drodze. Właśnie wtedy odkrył późnego Lawrence'a i zaczął się w nim rozczytywać. Może pogodzenie się z ojcem wcale nie okaże się takie złe i przyniesie jakieś korzyści? Zdobędzie pracę i powoli będzie piał się w górę. W końcu mając tak wyjątkowy umysł, naprawdę może zawojować świat. Młodość i entuzjazm przemawiały na jego korzyść, a żeby znaleźć się na szczycie, wcale nie trzeba kończyć uniwersytetu. Może nawet wyrzucając go, oddali mu przysługę (absolwenci uczelni rzadko żyli na królewskiej stopie). Zwycięstwo to stan umy-



słu, powtarzał sobie, taszcząc swoje walizy wzdłuż Sunbeam Road, z powrotem pod numer 68. W blasku majowego słońca cała szpetota ulicy gdzieś niknęła.

Dlaczego nie udało mu się dostać pracy? Dlaczego jemu, Morrisowi, nigdy nie zaoferowano odpowiedniego stanowiska? To było nie do pojęcia. Owszem, wyleciał z uczelni, ale przecież bakalaureat obronił celująco. Zresztą starannie omijał temat wylania. W listach motywacyjnych z wielką elokwencją pisał o rozczarowaniu uniwersytetem, o pragnieniu jak najszybszego rozpoczęcia pracy na stanowisku, o które się ubiegał. I te listy nigdy nie budziły żadnych zastrzeżeń, gdyż po nich nieodmiennie następowała rozmowa kwalifikacyjna, a po niej druga. Dopiero kiedy stawał w twarzą w twarz z człowiekiem trzymającym w dłoni prezent w postaci angażu, zawsze coś zawodziło. Pojęcia nie miał, dlaczego. Przecież prezentował się nienagannie, zachowywał uprzejmie, lecz bez uniżoności, demonstrował ambicję, jednak nie w taki sposób, by mogło to zostać odczytane jako arogancja, mówił z szacunkiem, dowcipem szafował z umiarem. Gdzież więc, u licha, mógł tkwić błąd?

Skrupulatnie oglądał się w wielkim lustrze w garderobie w poszukiwaniu jakichś usterek. Nic. Ciemny garnitur, do tego krawat, jasne włosy starannie zaczesane nad wysokim czołem. Nigdzie najmniejszej nawet skazy. Uważnie studiując swoje odbicie, sam ze sobą ćwiczył rozmowę kwalifikacyjną, miłym, wyważonym głosem opowiadając o szczegółach swojego cv. Wszystko to nagrywał na dyktafon. Dlaczego ubiega się o to stanowisko? Cóż, wydaje mu się, że miałby do zaoferowania firmie... Spoglądając we własne oczy, widział silną osobowość, potrafiącą się jednak doskonale kontrolować, przestrzegającą obowiązujących norm społecznych. Czegóż jeszcze mogli wymagać? Może miał oczy osadzone odrobinę zbyt blisko siebie, a nos podejrzenie ostry, ale na to nic nie mógł przecież poradzić, prawda? Zresztą w dzisiejszych czasach zdawała się obowiązywać



swego rodzaju anty-atrakcyjność i wszyscy faceci z BBC mieli twarze ozdobione trądzikiem, fryzury głupków i odstające uszy i jakoś nikomu to nie przeszkadzało. W jego akcencie pobrzmiwało dziedzictwo Park Royal? Dobrze, zmieni akcent. Zmienił, ale to też nie pomogło. Mówił zbyt górnolotnie, kiedy w cenie była dosadność? To zmienił także. Wypróbował wszystko, co możliwe, i wszystko nadaremnie. Wystartował od BBC, IVT (w głębi duszy czując się człowiekiem mediów), prasy i wydawnictw, a potem stopniowo schodził coraz niżej: wielki przemysł, średni przemysł, administracja państwowa (nikt nie mógłby mu zarzucić, że nie przełknął dumy), drobny przemysł, usługi. Był to szturm na całego (ta batalia o pracę na poczcie), ale powtórna rozmowa kwalifikacyjna nieodmiennie kończyła się fiaskiem. Widocznie w błękitnych oczach, szczerzej, otwartej twarzy i jasnych włosach potencjalni pracodawcy wyczuwali jakieś zagrożenie, którego pragnęli uniknąć. „W wyniku naszej rozmowy z dnia 14, z żalem informujemy...”. Zawsze ten sam świstek papieru, elektronicznie spersonalizowany na komputerze. Wreszcie Gestetner ofiarował mu podrzędne stanowisko w dziale administracyjnym w Southgate (z Park Royal prawdziwy maraton środkami publicznego transportu), z którego po trzech tygodniach przekładania papierów sam zrezygnował, do głębi rozczarowany.

„Darmozjad”, brzmiał kwaśny komentarz ojca, kiedy syn ponownie znalazł się na zasiłku. „Żadnej siły zaczepienia, zero odwagi” - dorzucił jeszcze, między sadzonymi jajkami. Morris mógł starać się ze wszystkich sił, nie potrafił jednak dorównać ojcowskiej, staroświeckiej, robotniczej sile i witalności (Lawrence pogodził się z ojcem, ale na odległość). Sama obecność tego człowieka zdawała się rozsądzać parter kwaterunkowego mieszkania, które zajmowali: wszędzie kufle po piwie, kanapki z gotowanym jajkiem, poplamione potem koszule i kubki z resztkami kakao, wiecznie grzmiący głos ze złością komentujący programy telewizyjne, Nationwide i World of Sport: Ronn Greenwood znowu postawił na złą

drużynę. Niemożliwe było uciec od ojcowych smrodów i hałasów, w klaustrofobicznej, przytłaczającej człowieka przestrzeni niemożliwe było liczyć na romantyczne pojednanie.

Tak więc pewnej pogodnej nocy, w rok po wylaniu z uczelni, w kilka tygodni po epizodzie u Gestetnera i bezpośrednio po drugiej i poniżającej rozmowie kwalifikacyjnej w Milk Marketing Board, (w końcu po co człowiek żyje?) Morris opuścił dom na Sunbeam Road, a w cztery godziny później także i kraj „Magicznym autobusem”, mając nadzieję, że ów środek transportu zasługuje na swoją nazwę. W kilka miesięcy później miał się dowiedzieć, że w Milk Marketing Board został nagrodzony kluczowym stanowiskiem w dziale reklamowym. Jednak wówczas jego łodzie były już spalone po śpiętkę, mentalnie, moralnie, a przede wszystkim praktycznie — nie miał pieniędzy na powrót do domu.

- Kiedy twoja rodzina przyjechała do Werony? Piątkowe popołudnie, ostatnie lekcje. Nie-taki-znów-wesoły-maj. Dwa lata od wyjazdu.

- Moja rodzina... jest w Weronie już wiele wieków. Dobry Boże.

- Teraz ty mnie zapytaj? Cisza.

- Zapytaj mnie, dlaczego przyjechałem do Werony.

- Dlaczego przyjechałem do Werony?

- Przyjechałeś.

- *Ah si...* dlaczego przyjechałeś do Werony?

- Bo na bilet do dalej położonej miejscowości nie było mnie już stać.

Kompletny brak zrozumienia.

- Pieniądze. Skończyły się. Tutaj. Musiałem przerwać podróż. Znaleźć pracę.

Konsternacja. Na młodej twarzy Gregoria, rysującej się na tle rodzinnych fresków, przelotny uśmiech. Po lewej ręce Morrisa niewielka driada z brązu, do której, śmiertelnie znudzony lekcjami z chłopcem, tyle razy już puszczał oczko i która nigdy nie odpowiedziała mu choćby drgnieniem powieki. Niebrzydka statuetka: wyprężone w górę ciało, piersi niemal płaskie, ręka sięgająca gałęzi drzewa. Pewnie sporo warta.

- Musi pan być szczęśliwy? - Twarz Gregoria z typowym południowym, pustym uśmiechem, czarne, wypomadowane włosy zaczesane do tyłu, ciemne oczy bezsensownie ożywione. - Jest pan niczym Jack Kerouac?

Boże, uchowaj!

- *Cosa?* Ja także chciałbym być szczęśliwy.

Co dla niego jest jednoznaczne z przebywaniem na niekończących się wakacjach, pomyślał Morris.

- Może kiedyś zabiorę cię ze sobą — powiedział. - *Ti porto con me.*

Ku jego zdumieniu Gregorio natychmiast się ożywił.

- Świetnie! Byleby tylko rodzice się zgodzili. - Urwał i przeszedł na wioski, szczerząc w uśmiechu białe zęby. - Może potraktują to jako część mojej edukacji.

- Przez moment Morris porównywał wesole, ciemne oczy swojego ucznia z lodowato czystym anglosaskim błękitem jego własnych.

- Dobra, kończymy. - W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Gregorio, jak zwykle pełen energii, kiedy jego udręka dobiegała kresu, zerwał się, żeby złapać słuchawkę.

- Będę za minutę! - Spieszył do dziadków, mieszkających na następnej ulicy, gdzie rodzice szykowali się na weekendowy wyjazd do Cortiny.

A więc dom pozostanie pusty aż do poniedziałku, pomyślał Morris ze spokojną, przeraźliwą jasnością. I w tym momencie podjął decyzję. Ukradnie coś.

- Wyjdę sam - zawołał do Gregoria, który pędził na górę po nowy kombinezon narciarski.

*- Bene, arrivederci a martedì.*

*- Arrivederci!*

Morris omiótł cały pokój jednym spojrzeniem, szczególną uwagą obdarzając okna, porwał z piedestału brązową statuetkę i wepchnął na samo dno aktówki,omal nie rozrywając przy tym szwów. Teczka wybrzuszyła się wyraźnie. Czy powinien otworzyć okno? Zrobił jeden krok w tamtym kierunku, ale szybkie stopy Gregoria już dudniły po schodach. Morris rzucił się do drzwi, ale po namyśle zatrzymał się. Czy zdąży jeszcze odstawić figurkę, zanim chłopiec wróci? Zdecydowanie nie.

- Może pomogę ci z bagażami?

Gregorio ukazał się właśnie na szczycie spiralnych schodów, obciążony sprzętem. Nieobecność figurki na swoim zwykłym miejscu zdawała się kłuć w oczy, podobnie jak wybrzuszenie w teczce.

Ależ z niego głupiec! Specjalnie odwrócił wzrok w stronę pustego postumentu, jakby dopraszając się nieszczęścia. Ale Gregorio już szusował w myślach po ośnieżonych stokach Cortiny wraz ze swoim przyjacielem, pokonywał zleby, szerokim slalomem wymijając początkujących narciarzy. Pewnie nigdy tak na-

prawdę nie zwracał uwagi na statuetkę. Morris poczuł nerwowe swędzenie na całym ciele. Pośladki przez cały czas miał mocno zaciśnięte.

- Pozwól mi wziąć przynajmniej kijki.

- *Bene, grazie.*

Po wyjściu z mieszkania znaleźli się na marmurowych schodach wiodących na dziedziniec. Morris przyglądał się bacznie, jak Gregorio kilkakrotnie przekręca klucz w zamku, a potem używa jeszcze drugiego, niedużego kluczyka, prawdopodobnie uruchamiającego alarm. Obok drzwi zapaliła się zielona lampka. Zeszli na dziedziniec, gdzie w zapadającym zmierzchu woda fontanny obmywała postać fauna. Wreszcie znaleźli się na Via Emilei. Zapakowany po sam dach mercedes ojca Gregoria czekał na rogu Via Fama.

- *Buona sera, Signore, Signora.*

- *Buona sera, Morrees! Come sta? Tutto bene, il lavoro?*

- *Grazie, grazie* - powiedział Gregorio, kiedy Morris dokładał kijki do innych, leżących już na bagażniku.

- Któregoś razu musi się pan wybrać razem z nami - powiedziała signora, obdarzając nauczyciela swojego syna pobłażliwym uśmiechem. Jej twarz pod strzechą rozjaśnionych włosów była absurdalnie młoda. Wszystko pewnie dzięki kremom i pudrom, pomyślał Morris, zerkając jednocześnie na aktówkę i dostrzegając lśnienie brązu, widoczne pewnie dla każdego.

- Przykro mi, ale nie jeżdżę na nartach.

- Gregorio pana nauczy.

- *Si, si*, — przytaknął chłopiec. Był wyższy od niego i uśmiechał teraz, odsłaniając białe zęby.

- Gregorio bardzo pana lubi - wtrącił ojciec tonem, jakby wygłaszał nie wiadomo jaki komplement. - Cieszyłoby nas, gdyby wybrał się pan z nami.

- Ja również cieszę się na tę okazję - zrewanżował się Morris.

Nie zaprosiliby go nawet za milion lat.

---

## 5

---

Tego samego dnia późnym wieczorem Morris kroczył spiesznie Via Portone Borsari, Via Fama i wreszcie Via Emilei. Na koniec zatrzymał się przed wielkimi, dębowymi drzwiami pałacu należącego do rodziny Gregoria, która zajmowała w nim jeden z apartamentów. Dochodziła północ. Nacisnął najbardziej skrajny dzwonek. *Famiglia Zane*. Po kilku chwilach w domofonie coś zaskrzeczało.

- *Chi e?*

Wśród trzasków domofonu zginie wszelki ślad obcego akcentu i intonacji.

- *Sono Gregorio, Signora*. Nie mogę znaleźć klucza od bramy. Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.

- *Va bene*. — Kobieta była najwyraźniej wściekła, ale po kilku sekundach odezwał się brzęczyk i drzwi ustąpiły, wpuszczając go do środka. W końcu Gregorio był synem padrone.

Nie było sensu iść na górę, gdyż drzwi od mieszkania zabezpieczał alarm. Skierował się więc na dziedziniec, gdzie marmurowy faun przeżył się pośrodku wyłączonej na noc fontanny. Usiadł na brzegu kamiennej misy. Północ, ogłoszona biciem miejskich zegarów. Noc była jasna, powietrze na dziedzińcu przesycone wilgocią. Morris przyjrzał się otaczającym go kamiennym ścianom, aż po ostatnią kondygnację gęsto porośniętym pędami winorośli i wistarii. Wolne od pnączy były tylko okna. W dwóch z nich paliło się jeszcze światło. Nie pozostało mu nic innego, tylko czekać.

Siedział na kamiennej misie, na przemian unosząc to jeden to drugi pośladek, żeby odizolować je choć trochę od zimnego kamienia. Minęło pół godziny, potem godzina, jednak Morris nie czuł znudzenia. Przyszło mu do głowy, że ma za sobą lata długiej, żmudnej edukacji, a potem jałowych lekcji, nie wspominając już o uganianiu się za posadą podczas roku spędzonego na bezrobociu, ale dopiero teraz po raz pierwszy robi coś, co przyniesie mu wymierną, namacalną korzyść (nie licząc tamtej sprawy z teczką, oczywiście) i że jest to w gruncie rzeczy bardzo proste i w dodatku o wiele bardziej ekscytujące niż studia czy praca.

Najważniejsze to odpowiednio spędzać czas. Tak, by nie musieć czuć się jak ostatni głupiec. Nie pierwszy raz już się nad tym zastanawiał. Nie pozwolili mu dojść do pieniędzy w sposób otwarty i uczciwy ani też wżenić się w nie, więc może najlepszym sposobem ich zdobycia będzie kradzież. Najlepszym i wcale nie takim trudnym. Może do tego wystarczy trzymać oczy szeroko otwarte i pielegnować w sobie to uczucie Morris-kontra-cały-świat, które zawsze towarzyszyło mu w szkole.

Zresztą nie chodziło mu przecież wyłącznie o pieniądze, raczej o pewien styl. Ileż jeszcze lat miał żyć, każdą minutę lekcji przeliczając na liry, okrywając się prześcieradłem nawet zimą, wiecznie skazany na środki publicznego transportu i



ustawicznie zazdroszczący innym, paradującym niczym królowie, bo tak zadecydował przypadek podczas ich urodzin. Jaką radę, jaką pociechę, jaką alternatywę świat miał mu do zaoferowania? Na czym miało upłynąć jego życie? Chłopska mądrość (znajdź pracę, uszy do góry, ciężko haruj, zawsze pozostają ci jeszcze weekendy) wiodła wyłącznie ku nicości. Jeśli oni nie dali mu nic, czemu mógłby się poświęcić, on przynajmniej da im do myślenia.

Piętnaście po pierwszej ostatnie światło zgasło wreszcie i dziedziniec pogrążył się w ciemnościach. Morris dał sobie kolejny kwadrans. Rozsądek nakazywał poczekać jeszcze dłużej, ale zaczął marznąć, poza tym chciał wreszcie mieć to za sobą. Dosyć. Wstał, czując drętwość w kończynach, suchość w ustach i kurcze w jelitach. Był to ten sam rodzaj nerwowego podniecenia, które w czasach studenckich ogarniało go przed każdym egzaminem - ekscytacja połączona ze strachem, kiedy następne kilka minut miało zadecydować o wszystkim. Element ryzyka zawsze go uskrzydlał.

Gdyby tylko o prawdziwym życiu mogły rozstrzygać egzaminy!

Zbliżył się do ściany. Pień winorośli sięgał aż do drugiego piętra, w pobliżu okna bawialni Ferronich. Morris zrobił kilka śladów na skrawku odkrytej ziemi, tam gdzie winorośl wyrastała, po czym zręcznie wspiął się kilka stóp w górę, łamiąc gałęzie i obrywając liście. Może być. Wrócił na dół i przyjrzał się oknu. Dziura musi być na tyle duża, by można było wsunąć przez nią ramię. Ma to wyglądać tak, jakby ktoś sięgnął do środka i otworzył zamek. Wyjął z kieszeni największy kamień i wycelował starannie. Dziedziniec był wąski, więc musiał rzucać prawie pionowo do góry. Pudło. Kamień trafił w ścianę może o jard od okna, gdzieś po prawej, po czym zaczął opadać przez bujne listowie. Z głośnym stukotem odbijał się od gałęzi, wreszcie wylądował na bruku dziedzińca, powodując huk przypominający wystrzał z pistoletu. Morris jednym skokiem znalazł się w

bramie, uchylił drzwi prowadzące na ulicę, przystanął i zaczął nadśłuchiwać. Uświadomił sobie, że mimo chłodu cały opływa potem. Co mu strzeliło do głowy, żeby wpakować się w tak idiotyczną sytuację? Dla jakiej głupiej statuetki? O Boże. Jeśli teraz nie upozoruje śladów włamania, będzie skończony. Ferronim wystarczy dziesięć minut, żeby się połapać, kto gwizdnął to cacko. Odczekał jeszcze chwilę, poczym ponownie zakradł się na dziedziniec. W żadnym oknie nie zapaliło się światło, widocznie hałas nie obudził nikogo. Zdumiewające. Znalazł swój kamień, leżący koło fontanny, stanął dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio, i rzucił, tym razem trochę bardziej na lewo. Trafiony. Szyba musiała być z bardzo lichego szkła, bo rozprysła się na tysiąc kawałków, które opadły na winorośl niczym deszcz. Ale zanim jeszcze dosięgły ziemi, Morris był już na ulicy.

Z dłońmi wciśniętymi w kieszenie, energicznym krokiem skierował się w stronę domu. Ostatni autobus już odszedł, więc teraz czekał go długi marsz. Idąc, zaczął pogwizdywać *When the Saints Are Marching*.

Ustawił figurkę na stoliku do kawy obok fotografii matki i od czasu do czasu odrywał wzrok od czytanej książki, by na nią popatrzeć. Przyjdzie mu poczekać do poniedziałkowych albo wtorkowych gazet, zanim się dowie, ile jest warta. Nie szkodzi, nie spieszy mu się. Zresztą wcale nie miał pewności, czy będzie próbował sprzedać tę filigranową damę, bez względu na to, ile miałyby mu przynieść. To było bardzo miłe uczucie, mieć ją tutaj - gładką, smukłą, brązową figurkę: kolana, uda, piersi, ramiona, twarz, cała sylwetka w półobrocie od prawej ku lewej, wyprężona, maksymalnie wyciągnięta ku górze. A niech to wszyscy diabli, zostawi ją sobie, chyba że bieda naprawdę go przyciśnie. Może nawet dokupi jej jakiś postument.

„Powinieneś widzieć, tato" - zaczął mówić do dyktafonu, w którym po włożeniu nowych baterii z szumem obracała się taśma - „jaka jest różnica między kradzieżą a wykorzystywaniem. Otóż przy wykorzystywaniu ofiara jest świadoma, że się ją roluje, tak jak ty byłeś rolowany w swojej fabryce, ale godzi się na to, żeby mieć co włożyć do gęby, jak zwykleś mawiać, i to jest upokarzające. Ofiara kradzieży nie jest zmuszona do akceptowania swoich strat, przez co może pozostać dumna i wolna. Tak więc kradzież wydaje się bardziej szlachetna i czystsza moralnie niż wykorzystywanie".

---

## 6

---

Pierwszego czerwca odcięto mu gaz. Było to dość oczywiste, skoro przez całą zimę, kiedy rachunki były najwyższe, nie uregulował ani jednego. Tak więc spodziewał się odcięcia, mimo to, kiedy wreszcie stało się faktem, popadł w depresję, mroczny i ponury nastrój, który sprawił, że zaczął szukać towarzystwa ludzi, głównie uczniów i sąsiadów, ale także członków angielskiej wspólnoty. Zaczął nawet bywać na ich przyjęciach z ziemniakami, kiełbasą i litrami Valpolicelli. Starannie dobierał wówczas ubranie, nie chcąc kłuć w oczy wyszukany strojem, ale jednocześnie jakoś się wyróżniać spośród tej brygady w dżinsach i T-shirtach. Po przybyciu zaraz zaszywał się w ciemnym kącie nędznego saloniku w Dietro Duomo, usiłując z pijackich pogaduszek wyłowić, czy ktoś ma jakiś pomysł na zarobienie latem pieniędzy.

W szkole zajęcia kończyły się w drugim tygodniu czerwca. Uczniowie prywatnie rezygnowali z lekcji mniej więcej w tym samym czasie, skazując społecz-

ność wygnanych nauczycieli na trzy miesiące poniewierki. Większość z uczących rezygnowała latem z wynajmowania mieszkań i pokoi, żeby zaoszczędzić na czynszu, i rozjeżdżała się na wakacje, podróżując głównie autostopem i kierując się tam, gdzie było najtaniej, albo - co wychodziło jeszcze oszczędniej - udawała się do domów, by powrócić z nastaniem jesieni, kiedy szkoła ponownie otwierała podwoje. Czekwały już wówczas na nich te same obskurne klitki, zawsze dostępne, jak to zwykle bywa w wypadku rzeczy nędznych i bynajmniej niepożądanych.

Perspektywa nadchodzącego lata - ciągnącej się w nieskończoność skwarnej, mglistej pustki, bez jakiegokolwiek zajęcia i bez pieniędzy - wpędziła Morrisa w otchłań litości nad samym sobą. Czuł się prawdziwie porzuconym dzieckiem, sierotą w duchowym sensie tego słowa. Był nikim, osobą bez pozycji, bez poważania. Nie mógł sobie pozwolić na prawdziwy wypoczynek. Wyobrażał sobie wakacje dobrze urodzonych Włochów, ich dumne paradowanie po cienistych bulwarach i zalanych słońcem plażach, ich boskie ciała i markowe ubrania.

Tylko w Anglii bieda jest do zniesienia, zaczął tłumaczyć Pamelę Pinnington, szczupłej, przywiedłej dziewczynie z East Croydon, ponieważ tam została ona zinstytucjonalizowana. Cały kraj chowa się za fasadą ubóstwa. Bogatych dręczy poczucie winy z powodu posiadania pieniędzy, więc skrzętnie ukrywają ten fakt, podczas gdy biedacy, dumni ze swojej nędzy, prezentują ją niczym sztandar albo wojenne blizny.

- Natomiast we Włoszech biedni bywają wyłącznie głupcy - perorował. - Zresztą każdy widzi, jak wspaniale potrafi być życie, jeśli tylko człowiek ma forszę.

Pamela zapytała, czy naprawdę tak uważa. Dla niej we Włoszech najwspólniejsze było właśnie to, że jeśli człowiek miał przyjaciół i mógł wspólnie z nimi zamieszkać, wcale nie potrzebował tak dużo pieniędzy. Morris przypatrywał się dziewczynie, nerwowo zaciskającej typowe dla średniej klasy palce na wypełnionej winem szklance. Natychmiast pożałował swoich nierozważnych wynurzeń. Pamela miała ogromne, brązowe, stałe mrugające oczy. Nosila brudnawy T-shirt, pod którym nie miała stanika, i człowiek od razu czuł litość na widok jej piersi, niewiele większych od brodawek.

- Tak, masz chyba rację - przyznał grzecznie, próbując teraz jakoś się wyplątać. Kobiety nigdy zbytnio go nie pociągały, lubił jednak, kiedy były ładne.

- Możesz spróbować zatrudnić się jako przewodnik wycieczek - wtrąciła Marion Roberts. Marion była wysoką, tlenioną blondynką, z krzykliwym, cukierkowym makijażem, tak typowym dla okolic Camden Market albo Portobello, jedną z wielu dziewczyn kręcących się koło tego okropnego Stana. - Wciskasz ciemnotę o studiach uniwersyteckich i o tym, że znasz miasto od podszewki, i praca twoja.

Jednak obraz samego siebie, przemierzającego place i ulice starej Werony z ciągnącym się za nim stadem emerytów z Great Yarmouth, osłaniających głowy przed słońcem chustkami do nosa, cykających sobie nawzajem fotki pod balkonem Julii, uskarżających się na brak toalet publicznych i chichoczących na widok tabliczek z nazwą Piazza Bra, to było więcej, niż Morris potrafił sobie wyobrazić. To raczej nie w jego stylu, skwitował krótko.

Podszedł do nich Stan, w dżinsach, złocistej, indiańskiej koszuli i z brodą pełną okruszków. Za nim sunęła potulnie Simonetta, Włoszka i jego kolejna przyjaciółka. Marion zatrzepotała mocno umalowanymi rzęsami.

- Biedny Morris nie wie, co począć latem - odezwała się. - Jest kompletnie splukany. - Morris nic takiego nie powiedział, jednak nie zaprotestował. Już dawno przyzwyczał się do tego, że bywa obiektem ich żartów. O ile oczywiście można to było nazwać żartami.

- No nie, człowieku! - Stan poskrobał się po brodzie. Jego twarz ozdobił szeroki, żydowski uśmiech.

Morris pomyślał, że Stan chyba ucieszył się na jego widok, niczym ksiądz, który ujrzał w swoim stadzie nową owieczkę. Stan, przywódca grupy.

Morris nie powinien był wynajmować tak drogiego mieszkania, obwieścił Stan. Teraz płaci za to, że wcześniej nie zdecydował się na zamieszkanie z kimś, żeby zaoszczędzić na czynszu. Gdyby jednak chciał dołączyć do nich, nawet na te dwa ostatnie tygodnie, zawsze będzie mile widziany. A może wybrałby się z nimi mikrobusem do Turcji? Jadą na wyspę niedaleko Izmiru, gdzie można przeżyć za mniej niż jednego dolara dziennie, naprawdę. Mówiąc to, Stan położył rękę na ramieniu Morrisa, który - kompletnie oszołomiony bezcelowością tej zdawkowej rozmowy - powiedział, że tak, może faktycznie się na to zdecyduje. Potem oczywiście był wściekły na samego siebie, że nie podłożył natychmiast ognia pod tę łódź, w tak ewidentny sposób niezdatną do żeglugi.

Najbardziej wkurzające było to, że Stan - tak jak to opowiedział rodzinie Massiminy podczas tamtego fatalnego przyjęcia, kiedy to obdarzył Amerykanina fikcyjną narzeczoną - naprawdę był bogaty! Jego matka naprawdę posiadała sieć moteli porzucanych po całej Kalifornii. Tymczasem co ten facet robił? Zabawiał się w biednego hipisa, we Włoszech, gdzie aby żyć na poziomie, wcale nie trzeba było dysponować ogromnym majątkiem, gniótł się w szóstkę („my emigranci musimy trzymać się razem”) w jakimś chlewie, cały czas świadomy, że

kiedy tylko zechce, wystarczy jeden krok, a wydostanie się z tego bagienka i złapie pierwszy samolot do domu, do Sunset Strip.

Ja przynajmniej nie jestem hipokrytą, pomyślał Morris. To jedno mogę powiedzieć o sobie z całą pewnością. Wyszedł, nie żegnając się z nikim.

W domu sięgnął po chleb i parmezan, a potem otworzył szufladę stojącą za nim szafki. Oprócz stosów taśm magnetofonowych trzymał w niej także rozmaite papiery. Wyjął je teraz i rozłożył na blacie kuchennym.

ZRĘCZNY ZŁODZIEJASZEK NIE WIEDZIAŁ, PO CO SIĘGA głośił nagłówek w „Arenie”. Artykuł z typowym, płytkim, dziennikarskim rozbawieniem opisywał, jak to jakiś biedny idiota zaryzykował sześciometrową wspinaczkę po pędach wistarii i rozbicie okna, żeby potem nie ukraść niczego poza tanią kopią z brązu, niewiele więcej wartą niż metal, z którego ją wykonano.

Morris przejrzał pozostałe papiery. Był wśród nich list od Signory Trevisan, rachunki i upomnienia z gazowni, dwie w pocie czoła wykaligrafowane pocztówki od ojca („Chłopcze odsuwasz od siebie to, co nieprzyjemne”. Dlaczego w ogóle zawracali sobie głowę podtrzymywaniem tych kontaktów, upierając się o przypominaniu sobie nawzajem oswoim istnieniu?), kilka listów odrzucających jego podania o pracę w Mediolanie, łzawa epistoła od Massiminy, na którą jeszcze nie zdążył odpowiedzieć, reklamowe broszury Gucciego i wreszcie terminarz Signora Cartucciego, z wykrzyknikami przy imionach Luiginy i Moniki. Żując ser, jeszcze raz przestudiował go z uwagą. Czekał go kolejny pusty wieczór. Już na studiach odkrył, że każdy, w mniejszym lub większym stopniu nawet on sam, czerpie siłę z poczucia przynależności do swego rodzaju towarzystwa wzajemnej adoracji, które podtrzymuje człowieka na duchu i w jakiś sposób wiąże go ze



światem innych. To samo dotyczyło pewnie członków wspólnot religijnych, rodzin czy nawet współmałżonków. Ktoś pozostający w związku przestawał być sam ze swoim strachem i nadzieją, nienawiścią i wiarą, wyrabiał w sobie wspólną odporność na przeciwności losu. Być może była to iluzja, ale jakże powszechna.

Ale samotnie w obcym kraju... wówczas całe poczucie własnej wartości człowiek musiał znaleźć w sobie samym, i to bez niczyjej pomocy; w poszukiwaniu towarzystwa musiał zwracać się do lustra albo chwytać się innych, równie desperackich sposobów - straszliwe zadanie, wymagające wielkiego hartu ducha. Prawdziwe wyzwanie, bez dwóch zdań. To było wręcz niewiarygodne, jak zwykły wieczór, weekend czy wakacje potrafiły nagle przemienić się w przepaść nie do przebycia, nie do zasypiania, paraliżującą swoim ogromem. Niektórych kusilo, aby zająć się pisaniem książek, malowaniem obrazów albo czymś w tym stylu. Tak zabijała czas połowa angielskich emigrantów (taka Pamela Pinnington, na przykład „właściwie sama param się trochę sztuką”). Innych bardziej pociągała zabawa w libertynizm i gromadzenie trofeów seksualnych (drogi, biseksualny Stan jako wódz plemienia, pozujący na lubieżnego, współczesnego mormona).

Jednak Morris był zdecydowany trzymać się jak najdalej od podobnych półśrodków. Nie mieściło mu się w głowie, że mógłby od świtu do zmierzchu morderować się jak ten dureń nad jakimś płótnem czy rękopisem, żeby potem jego dzieło zostało w protekcyjny sposób odrzucone przez bandę półgłówków rządzących daną branżą (czy można sobie wyobrazić kogoś publikującego wypociny Stana „Emigrant z Nowego Świata zdobywa Stary“?). Poza tym zbyt wielki miał szacunek do prawdziwej sztuki, by uprawiać amatorszczyznę. A rola Don Juana jakoś nigdy do niego nie przemawiała. Tego typu życie zawsze wydawało

mu się bałaganiarskie i niechlujne. Pociągała go złożoność jego własnego ciała i umysłu, ale nigdy myśl o zdobywaniu innych.

„Każdy człowiek jest wyspą” - poinformował dyktafon. - „Jest skazany wyłącznie na siebie. Tyle. I niech mu Bóg pomoże”.

Coś jednak musiał zrobić. Cokolwiek. Nawet gdyby to miało okazać się niebezpieczne. Inaczej życie przecieknie mu przez palce, a jego talent, dobry smak i energia pójdą na zmarnowanie. Odwrócił się do szuflady, pogrzebał między taśmami magnetofonowymi i zużytymi biletami kolejowymi, wreszcie wyciągnął blok listowy. Zostało w nim jeszcze tylko kilka czystych kartek, więc pierwszą wersję zanotował na odwrocie rachunku z gazowni.

(A tak naprawdę, to czemu życie miało właściwie służyć? Dokąd on, Morris Duckworth, właściwie zmierzał i czy w ogóle zmierzał w jakimś określonym kierunku?)

EGREGIO SIGNOR CARTUCCIO, zaczął drukowanymi literami, starając się naśladować sposób pisania dziecka. W ten sposób ukrywał własny charakter pisma, a poza tym nic nie wzbudza w ludziach takiego niepokoju jak dziecięca bezwzględność. CZY PRZYPOMINA MNIE PAN SOBIE? AMERYKAŃSKIEGO DYPLOMATĘ? HA, HA, HA. NADAL MAM PAŃSKĄ AKTÓWKĘ I TERMINARZ I WŁAŚNIE SKOŃCZYŁEM SWOJE POSZUKIWANIA. TAK WIĘC JEŚLI NIE CHCE PAN, ABY PAŃSKA SIGNORA MAŁŻONKA DOWIEDZIAŁA SIĘ O PAŃSKICH ODRAŻAJĄCYCH PRZYGODACH Z SIGNORAMI LUIGINĄ I MONIKĄ, ZECHCE PAN UPRZEJMIE ZOSTAWIĆ SKROMNĄ, JAK SĄDZĘ, SUMKĘ PIĘCIU MILIONÓW LIRÓW...

Ale gdzie? Nie mogło być przecież mowy o przesłaniu gotówki pocztą na jego adres. Z drugiej strony Cartuccio mieszkał w Trieście, a on, Morris, byłby

głupi, gdyby tłuł się dwieście mil, licząc na to, że tamten okaże się idiotą i zapłaci (oczywiście jeśli w ogóle wyśle list). Lecz przecież suma naprawdę nie była taka duża. Prawdopodobnie Cartuccio zarabia tyle miesięcznie. A może nawet tygodniowo. (Na myśl o tym, ilu ludzi zarabia przez tydzień tyle ile on w roku, poczuł ból w sercu.) Jak to rozwiązać?

Wziął do ręki terminarz i przejrzał zapiski na przyszły miesiąc. Wynikało z nich, że w tym tygodniu Cartuccio jest w Rzymie, a potem będzie wracał i dziesiątego czerwca zatrzyma się we Florencji, jedenastego w Bolonii, a dwunastego w Vicenzy. Vicenza leżała w odległości dwudziestu zaledwie mil od Werony i tam już Morris mógł się pofatygować. Problem polegał na tym, że wcale nie znał miasta. Gdzie więc kazać tamtemu zostawić pieniądze? To było interesujące pytanie. Szukając na nie odpowiedzi, Morris zaczął się wyśmienicie bawić. Gdyby się zdecydował, byłby to prawdziwy wyczyn. Wyzwanie godne jego intelektu. Jeśli tamten zapłaci, odda połowę na dobroczynność, żeby pokazać, że nie jest zwykłym kryminalistą. No dobrze, może nie połowę, ale co najmniej milion. Najlepiej na sieroty.

Przeszedł do sypialni, ściągnął z szafy starą walizkę i z wypełniającego ją bałaganu wyjął stary przewodnik Michelina. VICENZA. Najważniejsze zabytki (czas zwiedzania: godzina do półtorej). *Piazza dei Signori* - główny plac miasta, przypominający plac świętego Marka w Wenecji, miejsce spotkań... Nie, to nie dla niego. *Torre Bissara* - zajmuje całą jedną stronę... Nie, nie, brakuje dokładnego opisu. Bazylika? Nie, Bazylika też odpada. Już sama nazwa sugeruje, że kłębią się tam tłumy. Inne zabytki. O, tu jest coś, czego szukał. Kościół *Santa Corona* — wspaniała budowla wzniesiona w drugiej połowie trzynastego wieku, w której złożono relikwie korony cierniowej, ofiarowane przez króla Francji, świętego Ludwika. Wewnątrz można podziwiać dwa znakomite, sygnowane

dzieła: *Chrzest Chrystusa* Giovanniego Belliniego (piąty ołtarz po lewej) i *Pokłon Trzech Króli* Paola Veronese...

Spróbował wyobrazić sobie to wnętrze. Po lewej stronie rząd ołtarzy, płonące świece rozjaśniające półmrok, przed piątym ołtarzem prawdopodobnie nieduża maszyna, do której turyści wrzucają pięćdziesiąt lirów, aby zobaczyć oświetlony obraz Belliniego i wysłuchać objaśnień w dwustu rozmaitych językach. Na pewno o każdej porze kręcą się tu grupki zwiedzających, ale przecież nie tłumy.

PIĘĆ MILIONÓW LIRÓW - Nie, lepiej zażądać sześciu, żeby przeżyć przynajmniej lato. Lato w wielkim stylu. Zwłaszcza jeżeli jeden milion chce przeznaczyć na dobroczynność. - SZEŚĆ MILIONÓW LIRÓW W KOŚCIELE SANTA CORONA W VICENZY, DWUNASTEGO CZERWCA. PIENIĄDZE, W STUTYSIĘCZNYCH BANKNOTACH, WŁOŻY PAN DO ZWYKŁEJ KOPERTY. W KOŚCIELE PODEJDZIE PAN DO CZWARTEGO OŁTARZA PO LEWEJ, USIĄDZIE NA NAJBLIŻSZYM KRZEŚLE, POCHYLI GŁOWĘ I PRZYLEPI KOPERTE TAŚMĄ POD SIEDZENIE. ŻADNYCH SZTUCZEK ANI POMYŁEK BO PAŃSKIE MAŁŻEŃSTWO BĘDZIE SKOŃCZONE.

Z zachwytem wyobraził sobie całą scenę. Tak, ten pomysł gwarantował mu całkowite bezpieczeństwo. Cartuccio złoży forszę dwunastego, a on sam podskoczy do Vicenzy następnego dnia, żeby ją odebrać. Gdyby zaś Cartuccio nie dał się zastraszyć, przynajmniej obejrzy sobie Belliniego i Veronesa. O wiele lepsze rozwiązanie niż ograna sztuczka z pojemnikiem na śmieci na dworcu autobusowym.

Przepisał list na odwrocie kolejnego rachunku z gazowni, zmieniając kilka drobiazgów. Najważniejsze, aby z tych słów była groza i odrobina szaleństwa, pomyślał. Jeśli nie uznają cię za szaleńca, nigdy nie uwierzą, że jesteś gotów

spełnić swoje pogroźki. Może nawet zacząć w tym stylu: ŚMIERDZISZ, ŚMIERDZISZ CAŁYM SWOIM OBRZYDLIWYM BOGACTWEM SKOŃCZONYCH BZDETÓW, „PENTHOUSEM” I DZIWKĄ W KAŻDYM MIEŚCIE.

Dla większej pewności sprawdził jeszcze w słowniku kilka wyrazów i skonsultował parę problemów gramatycznych z podręcznikiem, wreszcie przepisał całość, ręką trochę wahającą się i drżącą, pozwalając, by kiepskiej jakości długopis pozaczył kartkę smugami i kleksami tuszu. Kiedy skończył i włożył list do koperty (przecież i tak go nie wyśle), poczuł się tak rozbawiony, że zaraz przystąpił do komponowania następnego, tym razem od razu na czysto.

*Gentile Signora Trevisan* - w tym wypadku posługiwał się własnym charakterem pisma, w wersji maksymalnie pochylonej i lirycznej, często wycierając przy tym końcówkę długopisu w chustkę do nosa. Po lewej rozłożył list Massiminy, pełen długich, łzawych zdań w stylu: „Och, Morris, gdybyśmy tylko mogli się spotkać! Gdybym tylko znała twój numer telefonu. Tak bardzo za Tobą tęsknię”. Po nich występowały wybuchy desperacji. „Mamma mówi, że powinna mnie zajmować tylko szkoła, ponieważ mam tyle zaległości w nauce, że mam nie marnować czasu na głupie durzenie się w starszym od siebie mężczyźnie, ale Morris, ja cię naprawdę kocham...”.

*Gentile Signora Trevisan*, jestem Pani niezmiernie zobowiązany za list z ubiegłego miesiąca. Rozumiem Pani troskę o Pani piękną, najmłodszą córkę, jestem też świadom, że zdawała sobie Pani sprawę z tego, co teraz ze wstydem muszę wyznać, mianowicie, że okłamałem Panią, mówiąc Jej o mojej pracy i wiodkach na przyszłość. Zapewniam, że uczyniłem to wyłącznie z obawy, że gdyby

znała Pani moją prawdziwą, naprawdę skromną sytuację, natychmiast ucięłaby Pani wszelki kontakt między Massiminą a mną. Po otrzymaniu Pani listu poczułem się tak, jakbym stracił niemal wszystko, jednak naprawdę próbowałem to zaakceptować. Wszelako otrzymałem list od Pani córki, w którym Massimina pi-  
sze, że jej uczucie do mnie pozostało silne i niezmienione, i to natchnęło mnie odwagą. Uświadomiłem sobie, że nie potrafię pozwolić jej odejść, że po prostu nie uczynię tego. Signora Trevi-san, kocham Massiminę i ponad wszystko pragnę być z nią. Błagam więc Panią, by pozwoliła mi Pani widywać ją czasem, oczywiście w obecności kogoś z rodziny, i aby dała mi Pani dwa albo trzy lata, tak bym mógł się wykazać jako odpowiedni konkurent. Przysięgam na strzępy honoru, jakie mi jeszcze pozostały, że nigdy nie nadużyję uczucia, jakie Massimina zdaje się żywić względem mojej osoby, i że uczynię wszystko, aby zadośćuczynić za moje niegodne zachowanie w dniu, w którym gościłem pod Pani dachem.

Z wyrazami szacunku, MORRIS DUCKWORTH

Straszliwie to górnolotne, pomyślał, ale tak właśnie wyrażali się Włosi (cały sekret tkwił w tym, aby przy pisaniu nie pomyśleć ani jednego słowa po angielsku). Przynajmniej zaoszczędził sobie konieczności wymyślania mniej konwencjonalnych sposobów wyrażenia uczuć.

Następnego dnia przed urzędem pocztowym w Weronie rzucał monetą, czy wysłać oba listy. Orzeł oznaczał tak, reszka - nie. Dwukrotnie' wyszła reszka. Spróbował jeszcze raz - z tym samym skutkiem. Do diabła z wróżbami. Wrzucił oba listy do skrzynki. Przecież nie mogą mu zaszkodzić.



- Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem dali radę wspiąć się aż na drugie piętro po wistarii.

Rozmowa toczyła się między lekcjami. Morris spotkał -Gregoria zupełnie przypadkiem i teraz siedzieli w kawiarni, przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików na stylowej esplanadzie na Piazza Bra. Gregorio powiedział, że owszem, policja także podejrzewa, iż sprawcą musiał być nastolatek albo zgoła dziecko, gdyż przy szczycie ani jedna gałązka nie została złamana. To też tłumaczyłoby kradzież przedmiotu tak kompletnie pozbawionego wartości.

- Chwała Bogu, że nie wpadł im w oko na przykład ten mały srebrny posążek Neptuna z półki nad kominkiem. Ojciec by się wściekł. Tamto jest warte majątek.

Żeby zamaskować skrzywienie, Morris machnął ręką, jakby odganiał z twarzy muchę. W tym tygodniu przerabiali w szkole czwarty rozdział *Simple English*, traktujący o tym, gdzie ludzie trzymają rozmaite przedmioty („w kuchni, druga szafka po prawej, na górnej półce, za cukrem”), więc dla ubarwienia lekcji pytał swoich uczniów, czy mają w domu jakieś rzeźby i gdzie je przechowują. „W salonie. Renesansowa statuetka wyobrażająca Jowisza pod postacią byka porwijącego Europę”. „A z czego jest wykonana?” (materiał z rozdziału trzeciego, czyli w pełni uprawniona powtórka). „Ze srebra”. Ludzka łatwowierność była wręcz niewiarygodna. Maria Grazia powiedziała, że dziadek kupił tę rzeźbę na pchlim targu, a potem odkrył, że jest ona warta mnóstwo pieniędzy. Morris szybko obliczył, że z końcem czerwca zacznie mu brakować na czynsz.

Podniósł wzrok znad kieliszka i popatrzył na przeciwległą stronę skweru, gdzie powoli sunął tłum przechodniów. Ten właśnie zwyczaj przede wszystkim trzymał go we Włoszech - *la passeggiata*, ów dostojny przepływ bogactwa, z któ-



rego czerpał radość i poczucie przynależności, nawet kiedy tylko siedział i przyglądał się otaczającemu go pięknu: płynnemu, ostremu światłu słonecznemu, błyszczącemu w fontannach i odbijającemu się od starożytnych, niewzruszonych fasad, i ludziom, którym w udziale przypadło tak wiele - kamienie, słońce, styl

- płynącym szeroką, rozbrzmiewającą śmiechem strugą przez wyłoczone deptaki.

Ale jak naprawdę stać się częścią tego świata? Jak miał dostąpić tego on, Morris, który nigdy nigdzie nie przynależał, który nawet powątpiewał, aby taka rzecz była w ogóle możliwa (każdy człowiek jest wyspą...)? A jednak tkwiło w nim to pragnienie, bolesne, bezwstydnie wręcz silne, a jego intensywność - jak nauczyło go doświadczenie - potwierdzała tylko niedostępność upragnionego celu.

Tymczasem Gregorio rozprawiał o swoich wakacyjnych planach. Wybierał się na Sycylię, gdzie rodzina posiadała willę, żeby odpocząć po wyteżonej nauce przed rozpoczęciem studiów uniwersyteckich. O ile oczywiście zda egzaminy.

On i Morris siedzieli w strudze słonecznego światła, popijając wino.

- A pan?

- Nie mam jeszcze sprecyzowanych planów. Wszystko zależy od tego, jak ułoży się z pracą.

- Nie wybiera się pan w jedną ze swoich podróży do krańca ziemi? - Gregorio uśmiechał się łagodnym, trochę zniewieściałym uśmiechem. .

Morris pomyślał, że chłopiec ma raczej osobliwy sposób patrzenia na ludzi. Pełen napięcia. Zupełnie jakby rozmówca był kimś naprawdę interesującym.

Może właśnie za to polubił go w pewien sposób. Przy Gregoriu człowiek czuł się mile połączony.

- Myślałem o wyjeździe do Turcji całą paczką. Miałbyś ochotę się przyłączyć? - Zaproś, abyś sam został zaproszony. Tak, to jest myśl.

TLR

- Ogromną, ale starzy nigdy się nie zgodzą - powiedział Gregorio. - W życiu nie daliby mi forsy na taki wyjazd. - Znowu uśmiech.

- Tak, to zawsze jest problem. - (Teraz ostrożnie.) - Zresztą sam się jeszcze nie zdecydowałem na sto procent. Moi znajomi wybierają się samochodem z nastawą campingową. Obawiam się, że towarzystwo nie będzie zbyt ciekawe.

Długa pauza, kolejny łyk wina i wreszcie:

- W takim razie może wybrałby się pan z nami? Miejsca mamy mnóstwo, przynajmniej przez najbliższe tygodnie. Rodzice zjadą dopiero w sierpniu, natomiast ja wybieram się lada dzień. Może nawet w tę sobotę. Mielibyśmy mnóstwo czasu.

Morris wstrzymał oddech. Zwierzyna sama pchała się w pułapkę, jeszcze zanim zdążył ją dobrze zastawić. Ile zaproszeń otrzymał w swoim życiu? Mógłby je policzyć na palcach jednej ręki.

- Bardzo chciałbym zobaczyć Sardinie, jednak rozumiesz, że w moim wypadku wszystko zależy od pracy. Dostałem propozycję tłumaczenia podczas konferencji.

- Jak pan uważa, ale tam są naprawdę znakomite warunki do pływania i świetne towarzystwo, nie mówiąc już o łódkach.

Czy mogłaby mu się trafić lepsza gratka? Przyjmie zaproszenie, najlepiej od razu, choć bez okazywania nadmiernego entuzjazmu, by nie zdradzić, jak bardzo mu zależy. Może to trochę za wcześnie, na powiedzenie „tak”, ale przynajmniej nie ryzykuje, że Gregorio zmieni zdanie i zostawi go na lodzie. Wyszedłby wtedy na kompletnego głupka. Już otwierał usta, żeby wyrazić zgodę, kiedy usłyszał czyjś głos wykrzykujący jego imię po drugiej stronie ulicy.

- *Morreese! Eccoti qua! Che meraviglioso!* Och, Morris, muszę z tobą porozmawiać. - Dziewczyna miała łzy w oczach, nie wiedział, czy żalu czy radości. - Widziałam twój list, Morrees.

Morris podniósł na nią wzrok. Massimina wyglądała okropnie, z piegowatą twarzą pokrytą rumieńcem, rozmazanym makijażem, rozczochranymi włosami, a przede wszystkim w porozciągany dresie, zniekształcającym figurę. W dodatku była cała zadyszana, nozdrza jej falowały, a oczy prawie występowały z orbit.

Właśnie kiedy miał dokończyć sprawy z Gregoriem! Nawet nie wstał, żeby się przywitać.

- Morrees, dzięki Bogu, że cię spotkałam, naprawdę dzięki Bogu. Gdybyś wiedział, gdybyś tylko wiedział... - urwała, niezdolna mówić dalej, i wybuchnęła płaczem.

Gregorio wstał, wyraźnie zmieszany, aby zaciekawiony, wodząc wzrokiem od dziewczyny do Morrisa. Jego długie, delikatne palce zanurkowały do kieszeni w poszukiwaniu portfela.

- Zostaw, ja zapłacę - powstrzymał go Morris. - W sprawie Sardynii zadzwonię tak szybko, jak się tylko da, zgoda?

Gregorio odwrócił się do Massiminy, najwyraźniej czekając, aż zostanie przedstawiony, jednak Morris nie zareagował. Przedstaw sobie przyjaciół, a skończy się tym, że wystrychną cię na dudka i jeszcze wyśmieją za plecami.

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytał jeszcze Gregorio.

- Jak najbardziej. Dam sobie radę - zapewnił go Morris, wzmacniając swoje słowa dwuznacznym mrugnięciem.

- W takim razie ja się zmywam - uśmiechnął się Gregorio, kłaniając się lekko płaczącej dziewczynie. Najwyraźniej postanowił uznać całą sytuację za zabawną. Jego szczupła sylwetka w białych bermudach i przeraźliwie niebieskim T-shircie szybko oddaliła się skwerem.

Massimina usiadła i wyciągnęła chusteczkę do nosa. Miała na sobie jaskrawoczerwony dres z białymi pasami wzdłuż rękawów. Ciemne, zmierzwione włosy sięgały niemal blatu stolika. Należało okazać współczucie (w końcu była to dziewczyna, którą prosił o rękę). Morris wyciągnął dłoń i delikatnym gestem dotknął jej przegubu.

-Opowiedz mi o wszystkim. Ale rozchmurz się, wszyscy na nas patrzą.

Zamówił u przechodzącego kelnera dwa Martini, choć wiedział, że go to zrujnuje. Dyskretnym spojrzeniem obrzucił sylwetkę Massiminy, jednak nigdzie nie dostrzegł torebki ani portmonetki.

- A teraz opowiadaj.

Zaczęła mówić, popijając Martini i co chwila przykładając to jeden, to drugi przegub do zaczerwienionych oczu. W domu wszystko układa się jak najgorzej, ale naprawdę wszystko.

- Tak? - Morris niecierpliwie postukał nogą w marmurową płytę pod stolikiem. Martini sprawiło, że czuł się raczej beztroski i zdystansowany, zupełnie jakby przyglądał się całej scenie, siedząc po drugiej stronie skweru.

Po pierwsze babcia jest chora, opowiadała Massimina, bardzo chora, może nawet umierająca na tę swoją anginę, a wszyscy zachowują się okropnie, mówiąc, że jeśli ma być taka bezradna, to lepiej żeby od razu odeszła. Po drugie ona, Massimina, zawałiła końcowe egzaminy, dokładnie co do jednego, co ozna-

cza, że przez całe lato będzie musiała wkuwać do wrześnieowych poprawek. Przecież to nie fair, to nawet nie ma sensu, ponieważ ona naprawdę nie jest stworzona do nauki.

- Nie - zgodził się Morris.

Na koniec wreszcie odkryła jego list, który Mamma ukrywała przed nią przez kilka dni i który upewnił ją, że on ją kocha, a tego, że ona kocha go także, była pewna bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. To okropne ze strony Mammy, że opowiadała o nim takie rzeczy. Ona, Massimina, odkryła list zupełnie przez przypadek. Paola zawołała ją w samym środku nocy, żeby przyniosła z torebki mamy tabletki dla babci, i wtedy go znalazła. Tak więc po lunchu założyła dres i powiedziała, że idzie pobiegać, a potem przeczesła całe miasto, szukając go, bo do domu już nie wróci.

Morris przyglądał się paradzie barwnych sukienek po drugiej stronie skweru. Jeśli jej matka nie chciała, by Massimina dowiedziała się o jego liście, dlaczego nie zniszczyła go po prostu? Miałoby to o wiele więcej sensu.

- Co chcesz teraz zrobić?

- Nie wrócę do domu i tyle. Nie będę siedziała przez całe lato, zakuwając, z matką, która nie pozwala mi się z nikim widywać. Nie jestem stworzona do egzaminów.

Za pięć minut zmieni zdanie, pomyślał. Przecież ona nie zna innego łóżka poza matczynym. Czekał, patrząc, jak Massimina ociera łzy z krągłych, piegowanych policzków. Jej skóra powoli odzyskiwała kameliową biel. Cerę miała niesamowicie gładką, jeśli porównać ją z cerą Gregoria albo innego piętnastolatka. To właśnie najbardziej fascynowało go w kobietach, owa gładkość i nieskazitel-

ność cery, jakby już sam fakt, że skóra potrafi być taka delikatna, nadawał życiu świeżości i powabu.

- A do czego jesteś stworzona? - zapytał. Uczciwe pytanie. Wcale nie cyniczne.

Popatrzyła mu prosto w oczy, po dziecinnemu wydymając dolną wargę i uśmiechając się.

- Może do tego, by być z tobą, Morrees!

Kiedy skończył lekcje, Massimina, zgodnie z obietnicą, czekała na niego na przystanku autobusowym. Na jej widok Morris poczuł się schwyty w swoje własne sidła. Skoro rodzina Massiminy nie zaakceptowała go, otaczanie dziewczyny względami traciło jakikolwiek sens. Nie miał na to najmniejszej nawet ochoty. A już z pewnością nie miał ochoty wdawać się w romans, który mógł się skończyć wyłącznie katastrofą. Napisał list, aby samemu wejść do rodziny, a nie, by wyrwać z niej Massiminę. Ta różnica nie była ani akademicka, ani nieważna.

- Powiniennem natychmiast odwieźć cię do domu. Chodź, poszukamy taksówki. - Powinna na to przystać.

- Morri, nie. - Massimina gwałtownym ruchem zarzuciła mu ręce na szyję. - Ja do domu już nie wrócę.

I w tym właśnie momencie napatoczył się Stan. Zatrzymał swój rower pod uliczną latarnią i zwrócił ku nim brodatą twarzą, na której malował się szeroki uśmiech.

- Hej, postanowiłeś już coś w sprawie Turcji? Za tydzień wyjeżdżamy.



Massimina odsunęła się pośpiesznie.

- Przyjaciółkę możesz zabrać ze sobą - roześmiał się Stan. - Wpadnij do nas i powiedz, co i jak, byle szybko.

W tym momencie ulicą przejechał autobus, a kiedy zniknął, Stan zniknął także.

Pomysłem natchnął go widok Massiminy z pieniędzmi — z taką sumą pieniędzy. Nazajutrz, w prozaicznym świetle poranka, zaczął jej nad wyraz rozsądnie tłumaczyć, że nie może zostać u niego, chociażby z powodów finansowych. Massimina sięgnęła wówczas do błyskawicznego zamka dresu, rozsunęła go odrobine, zanurzyła dłoń w środku i po chwili zaprezentowała spory zwitek banknotów, który najwyraźniej musiała trzymać schowany w staniku.

- Wyciągnęłam wczoraj z konta wszystkie oszczędności, tak że pieniędzy mamy mnóstwo. Na kilka miesięcy starczy nam z pewnością. A potem już nie będą mogli zrobić. Mam na myśli, że będą musieli pozwolić ci ożenić się ze mną, bo będą przekonani, że spaliśmy ze sobą.

Morris już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je na powrót.

- A poza tym w sierpniu kończę osiemnaście lat.

Nie, nie spali ze sobą, to z całą pewnością. W gruncie rzeczy wieczór okazał się całkiem przyjemny. Massimina przyrządziła zimną sałatkę, nakryła do stołu, a później posprzątała po kolacji. Następnie poszła się kąpać i kiedy ponownie wyłoniła się z łazienki, miała wprawdzie na sobie dres, ale bez stanika pod spodem, co Morris odnotował nie bez pewnego zdenerwowania. Piersi miała większe i cięższe, niż to sobie wyobrażał; zresztą nikt by nie pomyślał, że mogą być aż takie, biorąc pod uwagę szczupłość jej sylwetki.

Siedzieli w kuchni, bezpiecznie rozdzieleni stołem, i rozmawiali. On zadawał jej pytania, tak jak to zwykle robił, kiedy po zakończeniu lekcji czekali w barze na przyjazd autobusu, a ona, cała rozpromieniona, odpowiadała mu z ożywieniem. Bobo zrobił to albo tamto, tak, wymigał się od służby wojskowej, bo lekarz, który przyjaźni się z jego ojcem, wystawił mu zaświadczenie, że ma wrzody na żołądku, Mamma miała wypadek, po którym ogłuchła na jedno ucho, Antonella studiuje prawo, Paola zakochała się w żonatym mężczyźnie i potem chciała wyjechać na rok, żeby zapomnieć, ale Mamma...

Pomyślał, że właściwie nie jest to wcale takie trudne, pod warunkiem że nieobecność stanika nie stanowi sygnału do tego czy tamtego. O jedenastej oświadczył, dość szorstko zresztą, że musi jutro jechać do Vicenzy, i to z samego rana.

W takim razie lepiej będzie zaraz się położyć, powiedziała Massimina. Znalazła gdzieś jego szczotkę i teraz szczotkowała swoje długie, czarne włosy, które w świetle lampy połyskiwały lekko czerwono. Czy ma położyć się na sofie, czy on tam będzie spał, zapytała. On pójdzie na sofę, odpowiedział, trochę zbyt szybko i zbyt skwapliwie.

Gdzie w Anglii znalazłby tak miłą dziewczynę, zapytał swoją skradzioną driadę, rozbierając się do snu. Ze studenckich imprez pamiętał wyłącznie wampy i dziwki, które najpierw ignorowały człowieka, bo nie umiał tańczyć, a potem, kiedy okazywał się jedyny wolny albo trzeźwy w całym towarzystwie, rzucały się na niego i usiłowały zawlec do łóżka, zupełnie jakby był równie napalony jak one same. Tak, pod tym względem katolickie wychowanie zasługiwało na pochwałę. Naprawdę dobrze wybrał. Choć z tą sofą to może nie był najlepszy wybór. Z ośmiu godzin przespał najwyżej połowę, skulony w znak zapytania, budząc się na każde szczeknięcie psa, z zaciśniętymi zębami i wysuszonym językiem.

Teraz, w strudze słonecznego światła wpadającej do środka i oblewającej jasnością czerwone pokrycie sofy, kręcił głową na wszystkie strony, usiłując rozruszać zeszywniały kark.

- Ile tego jest? - zapytał mimowolnie, wiedząc, że właściwie nie powinien zadawać takiego pytania. Ale w jego głowie tkwił już pomysł, a pomysły są niczym broń - kiedy są dostępne, nie sposób z nich nie skorzystać. (A skoro już mowa o broni, miał ten brzydki nawyk, chorobę niemal - jak czasami sądził - dostrzegania jej prawie wszędzie. Kiedy rano rozsmarowywał masło na chlebie, nigdy nie mógł się powstrzymać, by z szacunkiem nie przesunąć palcami po rękojeści noża, rozkoszując się jego straszliwymi możliwościami.)

- Dwa miliony. Wszystko, co miałam na koncie. Przy oszczędnym życiu powinno wystarczyć, dopóki któreś z nas nie dostanie pracy. - Massimina urwała. — Ale przecież miałaś jechać dzisiaj do Vicenzy.

- Mimi, posłuchaj - Morris po raz pierwszy posłużył się zdrobniałą formą jej imienia - wystarczy godzina, by twoja rodzina obdzwoniła wszystkie twoje przy-

jaciółki i zorientowała się, że jesteś u mnie. Kolejna godzina, a skontaktują się ze szkołą, zdobędą mój adres i przygnają tutaj, żeby zabrać cię do domu.

Massimina milczała.

- Jeśli chcesz u mnie zostać, musimy teraz pojechać razem, w przeciwnym wypadku zmuszą cię do powrotu. Mogą się tutaj pojawić lada chwila.

- Masz rację - przyznała z ociąganiem. - Problem w tym, że powinnam zostać w Weronie, na wypadek, gdyby babci się pogorszyło. Wczoraj po południu mieli ją zabrać do szpitala.

Morris upił łyk zaparzonej przez Massiminę kawy, pilnie bacząc, czy gdzieś w kącikach ust nie czai się jego nowy uśmiech.

- Albo, albo — powiedział łagodnie. - Wyjazd albo powrót do domu. Babcia, nie babcia, tutaj z pewnością nie możemy zostać.

Jeśli powie, że powrót do domu, w porządku, sprawa będzie załatwiona. Jeśli natomiast powie, że podróż... Morris poczuł nagle, że jego ciało nabrzmiewa od krwi; w jednej chwili spodnie wydały mu się za ciasne w kroku.

- Zawsze możesz zadzwonić, gdy już znajdziemy się na miejscu - zauważył. - I w każdej chwili wrócić, gdyby z babcią było naprawdę źle.

- Tak - powiedziała Massimina, uśmiechając się promiennie. - Tak właśnie zrobię. - Stojąc obok stolika z rzeźbą i fotografią jego matki, wyciągnęła rękę i przejechała palcami po jego jasnych włosach. - W takim razie jedźmy. To będzie wspaniałe. - Pochyliła się i pocałowała go w usta.

- Zgoda. - Morris już podnosił z miejsca. Zgoda, zgoda, zgoda!

- Ale pozwól mi najpierw zatelefonować, żeby wiedzieli, że ze mną wszystko w porządku, i nie musieli zamartwiać się niepotrzebnie.

Nie, nie. Jeśli się dowiedzą, że Massimina jest z nim, cały plan straci sens. Morris nie był co prawda pewien, czy rzeczywiście zamierza go zrealizować, za żadną cenę jednak nie chciał się pozbawić tak ekscytującej możliwości. Położył dłonie na ramionach Massiminy i lekko zbliżył je ku sobie, gestem, który podpatrzył w telewizji. Zanim się zorientował, już pieścił jej kark, znacznie delikatniejszy, niż mógł to sobie wyobrazić. Stop, w takim momencie nic nie ma prawa go rozpraszać. (Marnotrawstwo ludzkiego piękna nigdy nie przestawało go zdumiewać. Tyle powabu i tak zupełnie po nic).

- Pozwól, że to ja zadzwonię - zdecydował. - Zapytam o babcię. Jeśli ty zaczniesz rozmawiać z mamą, zmusi cię do powrotu. Wiesz, jaka jest twoja matka. Ani się nie obejrzysz, a znajdziesz się w domu i będziesz zakuwała przez całe lato. - Poczul nagły przyływ serdeczności.

Massimina wahała się jeszcze.

- Zgoda.

Przeszli do przedpokoju, gdzie stał telefon.

- *Trenta-sei, sessanta-sei, novanta-due.*

- *Giusto.* - Morris oblizał wargi.

To jeszcze nie była ta decyzja. Na razie nadal był to zwyczajny żart. Punkt, od którego nie będzie już odwrotu, ciągle leżał o całe mile stąd. W Vicenzy? *Trenta-sei, sessanta-sei, novanta-due.* Ostrożnie wykreślał cyfry. Kiedy doszedł do dziewiątki, uniósł palec w górę, zanim jeszcze skończył wybieranie. Massimina nie zauważyła tego gestu. Wpatrywała się w jego twarz z zakłopotanym

uśmiechem. Biła od niej ta osobliwa, tak bardzo kobieca mieszanina strachu i za-  
lotności, nieśmiałości i odwagi. Przypominała mu matkę, z podekscytowaniem  
szykującą się na wypad do klubu na rzutki i jednocześnie martwiącą się, że ojciec  
znowu się upije. I Massimina, i matka potrafiły w tym samym momencie cieszyć  
się i trapić, miały w sobie jednocześnie coś z dziwki i z męczennicy. Morris po-  
czuł nagły przypływ pewności, że da sobie radę.

Ku swojemu zaskoczeniu usłyszał, że na drugim końcu linii telefon zaczyna  
dzwonić. Przecież oczekiwał po prostu sygnału braku połączenia. A niech to dia-  
bli! Krople potu wystąpiły mu na czoło.

- *Pronto?* — Chwała Bogu, jakiś obcy głos. -*Pronto, Signora Trevisan?*

- Przepraszam, kto taki? Tu nie ma żadnej Signory Trevisan.

Morris stal, czekając, aż tamta odłoży słuchawkę, jednak kobieta nie czyniła  
tego. Massimina pytająco uniosła w górę gęste brwi. Jeśli mają być ze sobą dłu-  
żej, będzie musiał zwrócić jej uwagę, by je wyregulowała. Nakrył dłonią mikro-  
fon.

- To Paola. Poszła po twoją matkę. *Pronto, Signora Trevisan?*

- Tu nie mieszka nikt o takim nazwisku. Wykręcił pan zły numer.

To dlaczego, na miłość boską, nie odłożysz po prostu słuchawki?

- *Sono Morris Duckworth.*

- Tu numer trzydzieści sześć, sześćdziesiąt sześć, siedemdziesiąt dwa. Z ja-  
kim numerem chciał się pan połączyć?

- Signora Trevisan, dzwonię w sprawie Massiminy. — W przypadku pomyłek telefonicznych dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi po prostu rzucało słuchawkę, tymczasem ta kobieta z takim uporem starała się mu pomóc.

- Halo, czy pan mnie słyszy, halo?

- Chciałem tylko powiedzieć, że Massimina jest ze mną.

Wreszcie tamta dała za wygraną. Morris odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się do Massiminy, nerwowo skubiącej mankiet rękawa.

- Nie, Signora, w żaden sposób nie zachęcałem pani córki, a już z całą pewnością nie próbowałem wykorzystać zaistniałej sytuacji. Wręcz przeciwnie, namawiałem Massiminę do powrotu do domu. Ona jednak upiera się przy pozostaniu u mnie. Nie tylko dlatego, że mnie kocha. Po prostu absolutnie nie potrafi zaakceptować pani dyktatorskich zapędów i sposobu, w jaki kieruje pani całym jej życiem.

To ostateczne zdanie było wręcz doskonałe. Przez moment pożałował nawet, że Signora Trevisan naprawdę nie znajduje się na drugim końcu linii. Trudno, przepadło. Zostawił dłuższą pauzę na gniewną odpowiedź.

- Nie, Signora, na ten temat nie zamierzam z panią dyskutować. Pani córka również nie. Po prostu dzwonię, aby poinformować, że nie musi się pani o nią martwić. Poza tym Massimina chciała się dowiedzieć o zdrowie babci.

Znowu chwila przerwy. Massimina złapała go za ramię, chcąc odebrać mu telefon. Przez moment słuchawka znalazła się niebezpiecznie daleko od jego ucha. Przestraszył się, że Massimina mogła usłyszeć wolny sygnał.

- Nie! - Mocniej przycisnął słuchawkę do ucha i zdecydowanie potrząsnął głową, marszcząc przy tym brwi.



- Dziękuję, Signora, rad jestem to słyszeć. A teraz... nie, Signora, mówiłem, już, że nie zamierzam, nie zamierzamy...

Odłożył słuchawkę na widełki.

- Nie miało sensu tego kontynuować. Zaczęła wykrzykiwać różne pogrozki. - Uśmiechnął się smutno. - Zbierajmy się lepiej, bo jeszcze gotowa się tu pojawić.

- A babcia?

- Z babcią lepiej. Dziś po południu zabierają ją do domu. Za jakiś tydzień powinna stanąć na nogi.

W pociągu zaczął obserwować wyglądającą przez okno Massiminę. Kiedy człowiek dłużej przyglądał się jej twarzy - owalnej, z ogromnymi wilgotnymi, ciemnymi oczami - okazywało się, że ma ona swój charakter, wyraz jakby nieustannego zatroskania, w jaki układały się wydatne usta, ocienione lekkim puszkciem nad górną wargą. Na twarzy Massiminy malowała się praktyczność, zrodzona z wycierania kurzy i polerowania mebli, z pewnością nic wyróżniającego czy też stanowiącego oznakę inteligencji. Dla Morrisa Massimina nie posiadała ani umysłu, który chciałby podziwiać, ani urody, z której kontemplowania mógłby czerpać zadowolenie, uznał jednak, że o ile nie będzie mu zbytnio przeszkadzała, pozostanie rozsądna, spokojna i w miarę zadowolona, to właściwie mu to wystarczy.

Spoglądając na przesuwany się za oknem krajobraz, czuł całkowite odprężenie. Jeszcze przez kilka dni nie będzie podejmował żadnej brzemiennej w skutki decyzji, tylko zobaczy, jak sprawy się potoczą. Na razie może się zrelaksować. W porównaniu z tamtym, sprawa, którą ma załatwić w Vicenzy, jest tylko

drobnym, głupim żartem (tak właśnie powie, gdyby doszło do kłopotów, że to miał być dowcip; z pewnością nikt nie weźmie serio jego wygłupu i skończy się co najwyżej na ostrzeżeniu). Kto wie, może jeszcze zanim popołudnie dobiegnie końca, będzie miał do swojej dyspozycji pięć milionów lirów, rozmarzył się. Zraz, czy on czasami nie zażądał sześciu? Podobne listy zawsze powinno się pisać z kopią.

- Morrees!

- *Si, cara?*

- Masz taki dziwny wyraz twarzy.

- Naprawdę? Po prostu zamyśliłem się.

- O czym myślałeś? Powiedz.

Oprócz nich w przedziale siedziało jeszcze dwoje podróżnych, starszy wieśniak i zakonnica, która teraz uśmiechała się pobłaźliwie. Massimina wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Morrisa.

- A co zrobimy z lunchem?

- Właśnie się nad tym zastanawiałem. Może pójdziemy do restauracji, żeby uczcić nasz wyjazd?

Wyraz zatroskania pogłębił się.

- Jeśli pieniędzy ma nam wystarczyć na dłużej, musimy być bardzo ostrożni w wydatkach.

- Ale przynajmniej pierwszy dzień powinniśmy jakoś ufetować. - Morris tęsknił za obfitym, kilkudaniowym posiłkiem. Nie jadł takiego już od wieków.

Massimina uparła się. Będą siedzieli na schodach Mercato Vecchio i karmili gołębie. To będzie wspaniałe. Morris poczuł nagle uderzenie gorąca. Nie miał zamiaru włączyć się po całych Włoszech, udając zakochanego idiotę, zbzikowanego hipisa rozsiadającego się na schodach publicznych budowli i skarmiającego jakieś skrzydlate gryzonie. Niczego na świecie nienawidził tak bardzo, jak ludzi, którzy szpecili piękne otoczenie plecakami i papierkami po kanapkach. Jeśli komuś brak pieniędzy na podróż, powinien siedzieć w domu. Popatrzył na Massiminę, gotując się z gniewu (Morris Duckworth udający słodkiego kochasia, żeby zakonnica mogła rzucić im pełen tłumionej zazdrości uśmiech), jednak powstrzymał się od wybuchu. Najgorszą rzeczą, jaką mógł teraz zrobić, to ściągnąć na siebie uwagę.

- Zrobimy, jak zechcesz, *cara* - powiedział, a stary wieśniak podniósł na niego wzrok i chrząknął znacząco.

Przed nimi rozciągał się cały dzień - wielka, mglista pustka, której wypełnienie trzeba było dopiero wymyślić, nie mając przy tym choćby strzępka rutyny, na którym można by się wesprzeć. Massiminie zdawało się to wcale nie przeszkadzać. Z zapałem zajmowała się chlebem, serem i najtańszą gotowaną szynką. Była zakochana, wyrwała się z domu, wszystko było dla niej nowością i wypełniała ją energia, z pomocą której mogła pożeglować przez tysiące takich dni. Żeby nie było jej tak gorąco, zebrała włosy i upięła je na czubku głowy i teraz siedziała sztywno wyprostowana na schodach pod pomnikiem, wystawiając kremową, gładko toczoną szyję do słońca.

Morris przeciwnie, czuł się znudzony i rozdrażniony. Do otwarcia kościoła Santa Corona po sjeście pozostawały jeszcze dwie albo trzy godziny, których nie

było czym wypełnić. Strzepnął z kolan okruchy chleba i sera. Jego walizkę zostawili na dworcu w przechowalni, ponieważ Massimina nawet nie chciała słyszeć o wzięciu taksówki. Uparła się, że pójda pieszo, znajdą możliwie najtańszy pensjonat, a potem, ciągle pieszo, wrócą po bagaż i będą go dźwigać. Na samą myśl o tym Morris skurczył się cały. Słońce prażyło nieznośnie, powietrze stało całkowicie nieruchomo. Lepszy tydzień pływania się w komforcie i zdmuchnięty powiewem klimatyzacji choćby i milion, niż takie ścibolenie na przyszłość, która nie jawiła mu się jakoś specjalnie atrakcyjnie.

- Będziemy musieli kupić ci jakieś ubrania — powiedział, ale Massimina za-protestowała od razu. Wystarczy jej umywalka, żeby wyprać to, co ma na sobie. Przy tej pogodzie, jeśli wieczorem zrobi się pranie, na rano wszystko będzie suche (to wręcz zdumiewające, jak bardzo ludzie rozpieszczani przez życie pragnęli się umartwiać). Massimina pochyliła się, ścisnęła Morrisa za udo i złożyła głowę na jego kolanie.

- To wspaniałe uczucie, wyrwać się z domu.

- Przesuńmy się do cienia, bo się roztopię.

- Moglibyśmy pójść na Monte Berico. Ze wzgórza rozciąga się wspaniały widok.

Jednak tym razem Morris uparł się, że koniecznie musi napić się piwa, i Massimina ustąpiła, mówiąc ze śmiechem, że to takie typowo angielskie.

Kiedy usiedli w barze, Massimina poruszyła temat katolicyzmu. Jak się szybko zorientował, chodziło jej o to, by mu wytłumaczyć, na czym stoją z seksem. Massimina była bardzo pobożna. Pomagała przy zbiórkach starych ubrań dla biednych dzieci. Za miesiąc albo coś koło tego, kiedy już całkowicie upewnią się o swoich uczuciach, a ona skończy osiemnaście lat, znajdą księdza, który udzieli

im ślubu, i wtedy pójdą razem do łóżka. Morris znajdzie pracę nauczyciela w innym mieście, założą rodzinę, a gdy tylko na świat przyjdzie ich pierwsze dziecko, Mamma natychmiast im wybaczy, gdyż Mamma uwielbia dzieci. Morris z łatwością potrafił wyobrazić sobie własną matkę mówiącą to samo do ojca, z tą tylko różnicą, że ojciec natychmiast zacząłby wkładać jej rękę pod spódnicę.

Na szczęście taki wariant zostawiał mu pewną przestrzeń, pozwalającą w miarę swobodnie oddychać. Chwała Bogu.

- Moja matka była katoliczką - powiedział, a po kolejnym piwie dorzucił - Może powinniśmy pójść do kościoła, żeby się pomodlić. To znaczy ja sam nie jestem katolikiem, ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś pomodliła się w naszej intencji, jeśli tego pragniesz.

Massimina pewnie z miejsca rozpocznie krucjatę, żeby go nawrócić, ekscytując się romantycznością całej sytuacji.

W kościele panował półmrok i słychać było ciche kroki nielicznych zwiedzających. Może ze dwadzieścia osób, rozsianych to tu, to tam, modliło się bezgłośnie. W powietrzu wirowały drobiny kurzu i dym kadzideł. Massimina przeżegnała się i przyklękła. Morrisowi nawet spodobał się ten ceremoniał. Poprowadził dziewczynę na lewą stronę nawy.

- Tu jest obraz, który powinniśmy obejrzeć - szepnął.

- Nie wiedziałam, że interesujesz się sztuką.

- Bardzo.

Jasna cholera! Na krześle, do którego zmierzał, ktoś siedział! Jakaś staruszka w czerni, mamrocąca coś do siebie i żegnająca się co chwila. Morris nie mógł uwierzyć własnym oczom. A niech to szlag! Odwrócił się do Belliniego, podczas

gdy Massimina z nabożnym entuzjazmem ścisnęła go za rękę, co tylko wzmogło jego irytację. Miała takie spocone palce.

Obraz nie przedstawiał sobą niczego nadzwyczajnego. Z Jordanu wynurzał się Chrystus, wznosząc dłonie ku niebu, skąd spływała struga jaskrawego światła, prosto na Jana C. i cały tłum, stojący trochę z tyłu i gapiący się niczym banda idiotów. Staruszka nadal okupowała krzesło.

Massimina wspięła się na palce i wyszeptała mu wprost do ucha: Pomódlmy się.

Podprowadził ją do rzędu krzeseł zaraz za staruszką w czerni i rozejrzał się po turystach, czy przypadkiem któryś z nich nie zachowuje się podejrzanie. Wszystko w porządku. Massimina usiadła i pochyliła się do przodu. Morris poszedł za jej przykładem. Nic z tego. Krzesło przed nim znajdowało się zbyt daleko, by mógł go dosięgnąć. Dlaczego, na Boga, musiało mu się przytrafić coś takiego? Massimina siedziała, mocno zaciskając powieki i bezgłośnie poruszając wargami. Pięć minut, dziesięć. Co za idiotyzm! Modliła się dobry kwadrans, zupełnie jakby Bóg nie miał nic innego do roboty, tylko wysłuchiwać tych wszystkich bzdur o szkole, niemogącej wykitować babce, ucieczce z domu i o tym, czy oddać cnotę Morrisowi. Wreszcie odwróciła się do niego z łagodnym uśmiechem.

- Możemy iść.

- Chciałbym posiedzieć jeszcze przez chwilę - odparł ponuro. - Podoba mi się ten nastrój. Taki poruszający.

- Obawiam się, że muszę skorzystać z toalety - wyznała Massimina z zakłopotaniem.

- Idź, zaraz cię dogonię.

- To musiało ją zdumieć. Morris czymś poruszony. (A może nie zdumiało jej wcale? To, co o nim myślała, wciąż pozostawało dla niego zagadką.)

- Dobrze.

- Massimina wstała i odeszła na palcach, w nawie ponownie przyklękając i odprawiając całą ceremoniał. Pewnie wyobraziła sobie, że skoro on jeszcze zostaje, to może jej modlitwy zostały wysłuchane, pomyślał przelotnie. Obejrzał się szybko. Massimina wyszła już z kościoła. Staruszka w czerni nadal tkwiła na krześle przed nim, ale teraz nie miało to już znaczenia. Policzył do dziesięciu, opadł na kolana, bezczelnie wyciągnął rękę, błyskawicznie przejechał nią pod siedzeniem i szarpnął kopertę. Miał ją wreszcie! Kobieta odwróciła się.

- *Scusi*, pośliznąłem się.

- *Niente, Signore, niente paura.*

W rękach trzymał przesyłkę! Niewiarygodne. Jednak przestępstwo popłaca. Jeśli w środku znajdzie pieniądze, będzie mógł wymknąć się bocznymi drzwiami i zostawić Massiminę, zanim tamto zajdzie za daleko. Pospieszenie rozerwał kopertę, która wydała mu się podejrzanie cienka. Teraz uwaga. W środku znajdował się skrawek papieru i dwa wymięte banknoty, po tysiąc lirów każdy.

Drogi Panie Szantażysto, pomyślałem, że skoro już przejeżdżam przez Vicencę, mogę podrzucić Panu ten liścik. Luigina i Monica, co pewnie z ulgą przyjmie Pan do wiadomości, to moje córki. Moja najdroższa żona zmarła kilka lat temu, tak że z forsy nici. Zależy mi natomiast na odzyskaniu terminarza, gdyż mam zanotowane w nim ważne adresy i telefony. Zechce więc Pan odesłać mi go pocztą, i to jak najprędzej. Jeśli w przeciągu tygodnia nie otrzymam Pańskiej przesyłki,



poinformuję o wszystkim policję, i przekażę jej Pański list wraz z dokładnym opisem Pana osoby.

*Cordialmente*, AMINTORE CARTUCCIO PS. Na wypadek, gdyby cierpiał Pan na brak gotówki, dołączam 2000 lirów na znaczki.

---

## 8

---

Morris już umyty, starannie wycierał flanelą miejsca za uszami, jednocześnie przyglądając się sobie w pękniętym lustrze. Pęknięty Morris. Przystojny, ale ze skazą. Wydał usta w ponurym grymasie. Niewielką łazienkę w pensjonacie wypełniała płatanina rur, z grubą warstwą kurzu w każdym zagięciu i załamaniu. Pierwotnie białe ściany obecnie miały kolor sadzy, bidet znaczyły plamy rdzy i kamienia. W tym samym lustrze miliony ludzi przed nim oglądały swoje pęknięte twarze. Nie mówiąc już o innych lustrach. Miliony i jeszcze raz miliony osób, gorzko wykrzywiających pęknięte usta. Liczby świadczyły przeciwko człowiekowi. Śmiertelny bezkres liczb. Nieskończona ilość zer nieobjętych żadną statystyką. Mdłości, drogi Jeanie-Paulu. Jakież prestiż mógł być związany z byciem Morrisem pomiędzy milionami? Bezrobotnym, bez znaczenia? Żaden. Morris przyglądał się sobie, nic nieznaczącemu. Uśmiechnął się do własnego odbicia swoim specjalnym uśmiechem i wystawił język. To samo dotyczyło przecież także innych. O tak, te same zera przemawiały przeciwko każdemu, aż po ostat-

niego pojedynczego człowieka. Przeciwno Massiminie także. Być może szczególnie przeciwno Massiminie. Dziesięć milionów takich jak ona. Dziesięć miliardów. Zera skazywały człowieka, ale jednocześnie czyniły go wolnym.

- Będę musiał wrócić jutro na jeden dzień do Werony. Jeśli mamy wyjechać na dłuższy czas, muszę jeszcze pozłatwić kilka spraw.

Znajdowali się w małym, obskurnym pokoiku z podwójnym łóżkiem. Morris powiedział, że rozścielił sobie kołdrę na podłodze.

- Dobrze. Podczas twojej nieobecności przepiorę swoje rzeczy i może wyjdę trochę na miasto.

Morris szczodłą ręką nalał sobie wina z butelki, co spowodowało nieodłączny grymas zatroskania na dziewczęcej twarzy.

- Morri, tak nie można!

- To pomaga mi nie myśleć. (Takiemu twierdzeniu ojciec nie mógłby się sprzeciwić.)

- Nie myśleć o czym?

- O tych wszystkich rzeczach, które mogłem i powinienem był zrobić, a których nigdy już nie zrobię.

- Morri, nie mów w ten sposób.

Massimina usiadła przy nim na skraju łóżka i objęła go ramieniem. Dres pod pachami znaczyły plamy potu.

- Mogłem zdobyć naprawdę liczący się zawód, zająć się czymś naprawdę ważnym, tymczasem popatrz tylko na mnie. Gówniany nauczyciel angielskiego.

Dziwnie się czuł, mówiąc to Massiminie. Zwierając się jej z myśli, która tkwiła w jego głowie od tak dawna, natarczywa i nagła, jednocześnie odnosił wrażenie, że jego słowa wcale nie są szczerze.

- Ależ nauczyciel to zawód naprawdę godny szacunku. Ja nie potrafiłabym uczyć.

Tak, to prawda.

Morris wzruszył ramionami, wychylił wino i natychmiast ponownie napełnił szklanekę. Massimina delikatnie położyła dłoń na jego przegubie, żeby go powstrzymać. Stracił ją, rozbawiony tym drobnym aktem przemocy. Zupełnie niczym scena z filmu z Paulem Newmanem według scenariusza Tennessee Williamsa.

- Powiniennem był urządzić to wszystko lepiej - oznajmił, porwany gwałtowną falą żalu nad sobą.

- Więc dlaczego tego nie zrobisz, Morri? - błagała Massimina. - Powiedz, dlaczego?

- Gdyż teraz jest już za późno - oznajmił. W tym momencie szczerze tak uważał. Nieprawda, wcale nie było za późno.

- Posłuchaj, Morri, gdy tylko Mamma zobaczy, że między nami wszystko już postanowione, na pewno znajdzie ci jakieś wspaniałe stanowisko w firmie Boba, jestem tego pewna.

- Po tym, co się stało, twoja rodzina nigdy mnie nie zaakceptuje.

- Ależ na pewno zaakceptuje - upierała się Massimina. - Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Słuchaj, skoro jutro jedziesz do Werony, zajdź do nich i wytłumacz im całą sytuację. Ze ucieczka z domu była moim pomysłem, że

to wyłącznie z powodu szkoły i że ty ze wszystkich sił starałeś się nakłonić mnie do powrotu.

Morris poczuł się nawet wzruszony. Przycisnął piegowatą twarz do swojego ramienia, udając, że odzyskuje dobry nastrój. Dokończył wino, raczej nijakie Soave. Na miłość boską, gdyby tylko udało się namówić tę dziewczynę, żeby nie ścisnęła tak w garści pieniędzy, wszystko ułożyłoby się idealnie.

- Już wiem - powiedziała Massimina - sama napiszę list i wszystko im wytłumaczę, że wcale nie poszliśmy ze sobą do łóżka, że po prostu pragniemy spędzić razem wakacje i że mogą nam zaufać. Ty zabierzesz list i dasz go mamie.

- Znakomity pomysł. - Morris wytarł wargi. - A podczas gdy ty zajmiesz się pisaniem, ja przepiorę twój dres.

- Ależ nie ma takiej potrzeby.

- Chciałbym zrobić coś dla ciebie, *cara*. Do tej pory to ty zajmowałaś się wszystkim, zakupami, przygotowywaniem posiłków, znalezieniem pensjonatu. Pozwól, że teraz ja zrobię coś dla ciebie. Nie jestem jednym z tych włoskich mężczyzn, którym trzeba usługiwać na każdym kroku.

- *Moni, quanto sei caro!*

Odwróciła się, ściągnęła spodnie od dresu i rozpięła zamek błyskawiczny bluzy. Miała na sobie porozciągane, niebieskie, bawełniane majtki i biały stanik, tak ciasno wypełniony, że niemal pękający w szwach. Morris raz tylko zerknął z dyskretnym zainteresowaniem. Massimina pokraśniała. Szybko usiadła na jedynym w pokoju krześle, przy niewielkim, drewnianym stoliku, wyszukała w aktówce Morrisa papier i długopis i jak zwykle lekko wydeła wargi.

W łazience Morris wrzucił dres do wypełnionej zimną wodą wanny i dla lepszego efektu dodał jeszcze trochę mydła. Zostawi go tak przez noc, niech się moczy. Nie mając rano co na siebie włożyć, Massimina przez większość dnia będzie tkwiła w pensjonacie, czekając, aż dres wyschnie. On sam o czwartej albo najdalej o piątej powinien już być z powrotem.

- Morri? - Twarz Massiminy wyłoniła się znad krawędzi łóżka, w chwili gdy miał już odpłynąć w krainę snu. - Nie śpisz, Morri?

Teraz już nie spał. Leżał na wznak, mając nad sobą jej bladą i zatroskaną twarz.

- Morri! - Massimina mówiła szeptem, zupełnie jak dziecko, które nie chce, aby rodzice usłyszeli, że jeszcze nie śpi. - Ale ty nie żałujesz, że przyjechaliśmy tu razem? To znaczy, nie o tym myślałeś, kiedy chciałeś zostać sam w kościele? Po wyjściu stamtąd wydałeś mi się taki odległy. W ogóle nie zwracałeś na mnie uwagi.

- Oczywiście, że nie żałuję. Może to nawet najmądrzejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

- Wiesz, Morri, masz cudowny głos, akcent, sposób mówienia, wszystko. Chyba najpierw zakochałam się w twoim głosie, jeszcze podczas lekcji.

Morris milczał.

- A kiedy jutro wrócisz, czy naprawdę wybierzemy się później w jakieś ekscytyjące miejsce?

- Musimy się zastanowić. Moi przyjaciele planują wyprawę do Turcji. To mogłoby być ciekawe.

- O tak, pojedźmy tam koniecznie. - Pochyliła się i pocałowała go prosto w usta. Morris nie poruszył się.

— *Buona notte.*

— *Sogni d'oro. Złotych snów.*

Jest jeszcze Gregorio i Sardynia. Zawsze może poszukać tam schronienia, jeśli tu zacznie robić się gorąco.

„Tato, czy zdajesz sobie sprawę, że porwałem ją? Mimo wszystkich twoich przechwałek, ty nigdy nie zdobyłeś się na podobny wyczyn. Idealna synteza walki klas i uwodzenia kobiet, nie sądzisz? Nie jesteś teraz zdumiony, że nigdy nie przyszło ci to do głowy?”.

Morris wstał o świcie. W łazience założył czystą, białą koszulę i spodnie, wyciągnięte z walizki. Założył też wąski, skórzany krawat, zawiązany dość luźno, i spinki do mankietów. Mokrym grzebieniem starannie przyczesał włosy. Była szósta rano. Zostawił Massiminie liścik „Wracam o czwartej, Morris”, po czym cicho otworzył drzwi, przez cały czas nasłuchując jej regularnego oddechu.

Na stacji kupił cztery podobnie wyglądające kryminały i bilet powrotny do Werony. Zapowiadał się szalony dzień. Ale czuł radość, że jak do tej pory nie zrobił nic takiego, za co mogliby go wsadzić. Minimum ryzyka aż do końca, to było jego motto.

Najpierw przeczytał list. Massimina zakleiła kopertę i kazała mu przysiąc, że go nie przeczyta, „albo nigdy więcej nie przekroczysz progu tego pokoju”. Jej

litery były równie pełne i zaokrąglone jak jej piersi i uroczo niewinne; wszystkie ogonki kończyły się niewielkim, zalotnym zakrętasem.

*Cara Mamma*, wiem, że postąpiłam okropnie, ale po prostu nie mogłam inaczej. Jestem wystarczająco dorosła, by móc samodzielnie decydować o własnym życiu i bardzo, ale to bardzo kocham Morrisa. Nie dbam o to, co o nim mówisz, wiem, że to dobry człowiek, choć może trochę leniwy. W stosunku do mnie jest bardzo powściągliwy, łagodny i dobry i wcale nie usiłuje mnie zmuszać, abym robiła z nim te rzeczy. Może czasami rzeczywiście kłamie, tak jak mówiłaś, myślę jednak, że jego kłamstwa biorą się z tego, że czuje się gorszy albo też boi się, że inni mogą tak pomyśleć. Należy mu współczuć - i tu ze wszystkich sił będę się starała mu pomóc - a nie obawiać się, że będzie usiłował wyciągnąć od nas pieniądze (nie wziął ode mnie ani jednego lira!). Na razie planujemy wyjechać razem na krótko, żeby się upewnić, czy rzeczywiście pasujemy do siebie. Wyrazy miłości dla wszystkich. Tak się cieszę, że babcia czuje się lepiej.

*Un caro abbraccio a tutle, MASSIMINA*

A więc był leniwy? I kłamał, bo czuł się gorszy? On, Morris, gorszy! I oni to nazywali miłością! Miesiąc wakacji, żeby się upewnić, czy pasują do siebie. To znaczy, czy on pasuje do niej. Zupełnie jakby można go było zważyć niczym worek kartofli i przyznać pięć albo sześć punktów z dziesięciostopniowej skali. To załatwia sprawę. Nie będzie się dłużej wahał. Należy im się wstrząs, i to solidny.

Wysiadł na dworcu Werona Nord, wymachując plastikową torbą z kryminałami. Kupił „Arenę” - lokalną gazetę, złapał autobus do Montorio i krótko po dziewiątej był już w swoim mieszkaniu.



Jeszcze w autobusie przejrzał gazetę i znalazł w niej to, czego szukał.

## LA BELLA MASSIMINA NADAL ZAGINIONA. A poniżej UWIEDZENIE CZY UPROWADZENIE?

Potem następowało kilka szczegółów o nagłym zaginięciu Massiminy w piątkowy wieczór, na szczęście bez wzmianki o jaskrawoczerwonym dresie. Dopóki policji nie uda się skontaktować z Signorem Morrisem Duckworthem, odrzuconym przez rodzinę fidanzato, nadal istnieje nadzieja, że być może chodzi wyłącznie o romantyczną ucieczkę kochanków, jednak z każdą upływającą godziną rośnie prawdopodobieństwo także innej, straszliwej możliwości. (Istotnie rośnie.)

Prowadzący śledztwo inspektor Marangoni powiedział, że policja nie wyklucza porwania, morderstwa czy nawet samobójstwa. W wywiadzie dla prasy dyrektor *Nelson School of English*, Horace Rolandson, opisał Morrisa jako sumiennego, powściągliwego nauczyciela, z pewnością nieulegającego nadmiernym emocjom. Dyrektor wyraził nadzieję, że w przyszłym tygodniu Morris pojawi się w szkole, odebrać wynagrodzenie za ukończone właśnie kursy (akurat, w głębi ducha pewnie modlił się o coś wręcz przeciwnego). Fakt, iż Morris nie odebrał jeszcze zapłaty za ostatnie dwa tygodnie, uznano za główny argument przemawiający przeciwko wersji ucieczki z kochanką (co za cyniczny świat!).

Tajemnica, konkludowała „Arena”, na razie pozostaje nierozwiązana, a obawy rodziny pogłębiają się z każdą chwilą. Signora Trevisan jest przekonana, że jej córka nie odważyłaby się na ucieczkę, a już z całą pewnością dałaby przynajmniej znać, żeby oszczędzić najbliższym straszliwej niepewności.

„Massimina to dobre, tradycyjnie wychowane dziecko - powiedziała nam Signora Trevisan - żadna rozwiedziona, biorąca narkotyki nastolatka. Z pewnością nie opuściłaby domu, kiedy jej babka przebywa w szpitalu, ciężko chora”.

Od razu widać, że na prowincji dzieje się niewiele, pomyślał Morris. „Telegraph” nie poświęciłby takiemu wydarzeniu więcej niż dwie linijki. Jedną kolumnę zajmowała fotografia Massiminy, tak pochlebiona, że naprawdę niemogąca stanowić żadnej pomocy w zidentyfikowaniu dziewczyny. Próżność rodziny stanowczo zwyciężyła w starciu ze zdrowym rozsądkiem. Tak naprawdę problem był tylko jeden, Stan i Gregorio, którzy widzieli go w towarzystwie Massiminy tamtego piątkowego wieczoru. Ale Gregorio pewnie jest już w drodze na Sycylię, a prawdopodobieństwo, by Stan kiedykolwiek sięgnął po włoską gazetę, o ile w ogóle potrafiłby ją przeczytać, było raczej niewielkie. Ale ryzyko istniało. Może powinien więc zacząć od pójścia na policję. Zgłosić się i powiedzieć, że tamtego dnia spędził z Massiminą godzinę albo dwie? Przez dłuższą chwilę zmagał się z tym dylematem, jednak nie doszedł do żadnych sensownych wniosków. Najlepiej zostawić sprawę własnemu biegowi.

Skoro był w mieszkaniu, najpierw załatwił kwestię terminarza. Zapakował go w brązowy papier i załączył następujący liścik, nasmarowany tym samym, zamaszczonym, dziecinny charakterem pisma:

TOUCHE CARTUCCIO! DZIĘKI ZA LIST. NIE CHCĄC SPRAWIAĆ KŁOPOTÓW NAWET TAK ODRAŻAJĄCEJ KREATURZE JAK TY (TEN „PENTHOUSE”), ODSYŁAM TWÓJ TERMINARZ. ALE MOŻESZ BYĆ PEWIEN, MÓJ ŚWIŃSKI PRZYJACIELU, ŻE NA WSZELKI WYPADEK SKOPIOWAŁEM WSZYSTKIE ODPOWIEDNIE STRONY I ŻE MOJE ŚLEDZTWO NA TYM SIĘ NIE SKOŃCZYŁO. JEŚLI MASZ JAKIEKOLWIEK POWODY DO WSTYDU, NIEBAWEM USŁYSZYSZ O MNIE PONOWNIE. UN ABBRACCIO MORTALE, IL TUO AMICO, IL DIPLOMATICO.

Przez chwilę studiował list z uwagą. Nie ze wszystkich zwrotów był zadowolony. Całość kojarzyła mu się raczej z idiotycznymi filmami w telewizji, jednak teraz nie miał czasu, aby stylizować swoje dzieło. Musi wystarczyć to, co jest, i tyle. Ale z wysyłką zaczeka do powrotu do Vicenzy. Nadanie dwóch listów w Weronie byłoby poważnym błędem.

A teraz kryminały. Morris rozsiadł się na kanapie w saloniku i rozłożył je przed sobą. Zaraz jednak podniósł się na powrót i powędrował do sypialni w poszukiwaniu nożyczek. I jeszcze taśmy klejącej. Przecież musi mieć gdzieś taśmę klejącą. Cholera, potrzebuje też rękawiczek! Na taśmie nie mogą zostać jego odciski palców. Poczuł się dumny z siebie, że o tym pomyślał. Nie jest przecież głupcem, co to, to nie.

Przystanął, skręcił do łazienki i przestudiował w lustrze swoje odbicie. Wysocki, jasnowłosy, uśmiechnięty, prezentujący się nienagannie w białej koszuli i spodniach. Czarujący. Wymarzony typ na garden-party. W Cambridge uwielbiał gardenparties, była to jedyna forma życia towarzyskiego, która mu naprawdę odpowiadała. Przez chwilę napawał się poczuciem własnej fizycznej atrakcyjności. Jędrny korpus opięty spodniami, szyja dumna i czysta, wyłaniająca się z czystego, włoskiego kołnierzyka. Na miłość boską, czegoż oni jeszcze chcieli? Sami do tego doprowadzili, więc teraz niech nie mają do niego pretensji. Pospieszenie wrócił do salonu i ponownie zajął się kryminałami.

Oczywiście wszystkie były głupie. Zbrodnie z namiętności, z pobudek politycznych, dla pieniędzy, z miłości(!), dla pozbycia się starych wrogów albo starych długów. Mali, sprytni, ekscentryczni detektywi, rozwiązujący każdą zagadkę metodą grzecznych przesłuchań i uwodzenia kobiet. Gówno i jeszcze raz

gównu. Wszędzie ten sam bełkot, świat jest zły, dobrzy faceci wiecznie obrywają cięgi, ale na końcu i tak udaje im się wygrać, nieważne, czy to Maigret, panna Marple czy James Bond. Bzdury. Ciekawe, czy któryś z tych książkowych bohaterów kiedykolwiek przeczytał gazetę albo ubiega! się o pracę? Bez powodzenia, rzecz jasna. Zawsze bez powodzenia. Czy któremuś z nich nie udało się znaleźć miejsca w życiu? Nie, porażka, była to rzecz, której z pewnością nie zdarzyło im się posmakować. Albo inaczej, gdzieś im tam majaczyła przez pierwsze kilka stron, ale na końcu zawsze wychodzili na swoje - szczęśliwi i zrelaksowani. Jeśli zła passa trwała — widocznie bohater sobie na nią zasłużył. A jeśli zdesperowany chwycił się środków radykalnych, z miejsca okrzykiwano go przestępcą. To nie powieści z lat osiemdziesiątych, zreflektował się, to dopiero z nimi przyszła moda na całkiem nowe motywy, na okrzyczany humanizm.

Ale dni, w których mógłby pozwolić sobie na luksus filozofowania, zostały już policzone. Jeśli chce jeszcze dzisiaj wracać do Vicenzy, czeka go mnóstwo roboty. Poślinił palce i zaczął kartkować idiotycznego Simenona. Posępne namiętności, mroczne paryskie bary, nic z tego, czego szukał. Odpada. Agatha Christie: długie suknie, bileciki miłosne, mężczyźni palący fajki i drapiący się za różowymi uszami, ślady arszeniku w ogryzku jabłka. Pudło. Dopiero trzecia książka okazała się obiecująca, choć jednocześnie najgłupsza, a na trzydziestej piątej stronie Morris znalazł dokładnie to, o co mu chodziło.

Do Szejka Szaktiara. Twój ukochany syn znalazł się w rękach Beduińskich Bojowników o Wolność, którzy nie zawahają się zgotować mu najstraszliwszego losu, jeśli nie wypełnisz wszystkich ich żądań. Zanim słońce wstanie po raz trzeci, złożysz tysiąc dinarów w złocie owiniętych w skórę wielbłądzą w oazie Ouajakd, na grobie Abdullaha Rudobrodego. Wszelka próba podstępu przypie-

czętuje los twojego syna. Zanim zacznie ubywać pierwszego księżyca, będzie uctował w piekle, wśród twoich szubrawych przodków. Mściciele Islamu

To osobliwe żądanie okupu bardzo przypadło mu do gustu. Jako pierwszy cios pasowało w każdym szczególe, nie wyłączając wielbłądziej skóry. Nie ma nic bardziej przerażającego niż farsa, kiedy człowiek nie jest pewien, czy groźbę należy traktować serio czy nie. Założył przyniesione z kuchni gumowe rękawiczki i przystąpił do wycinania całego fragmentu.

Potem już trzeba było tylko znaleźć „córkę” i nakleić ją zamiast „syna” (zdaje się, że jakaś córka występowała u Agathy Christie zaraz na pierwszej stronie. Dziedziczka, no właśnie). Z „jej” zamiast „jego” poszło jeszcze łatwiej. Miejsce, w którym oryginał mówił o Beduińskich Wojownikach o Wolność, uzupełnił o kilka wyciętych znaków zapytania, naklejonych u góry linijki, a z passusem opisującym wysokość i miejsce złożenia okupu rozprawił się przy pomocy odpowiedniego fragmentu z Simenona, gdzie Maigret mówi: „Tym problemem zajmiemy się później”. Wyciął całą linijkę i nakleił ukośnie przez odpowiedni akapit. Kopertę kupi w mieście, dotykając jej tylko przez rękawiczki, a adres wypełni letrasetem, już na poczcie. Licho wie, do czego zdolna jest nauka w dzisiejszych czasach, jednak jeśli zachowa ostrożność, nie złapią go na niczym. Nie będą nawet podejrzewać, że sprawca nie jest Włochem, i pomyślą pewnie, że kidnaping stanowi dzieło jednej z band porywaczy, których - Bóg mu świadkiem - nie brakowało w tym kraju.

Do rozwiązania pozostawał tylko jeszcze jeden drobny problem. Morris aż przygryzł wargę z podekscytowania. (To wreszcie było życie, do którego był stworzony!) Musi pozostawić wskazówkę świadczącą o tym, że Massimina na-

prawdę jest w jego rękach. Jakiś szczegół, niezbyt istotny, jednak wskazujący, że list, z pozoru wyglądający na okrutny żart, może się okazać niebezpieczną prawdą. Wstał z kanapy, podszedł do pojedynczej półki z książkami, ściągnął słownik angielsko- włoski i wyszukał w nim słowa „znamię” i „pacha”. Już zabierał się do ich wycinania, kiedy uderzyła go głupota takiego postępk. A jeśli w jakiś sposób policja rozpozna to wydanie? Jeśli zorientuje się, że posłużył się słownikiem angielsko- włoskim? Odpada. Udał się do sypialni, stanął na stoiku i zaczął grzebać w pawlaczu, w rzeczach pozostawionych przez poprzedniego lokatora. Pamiętał, że widział wśród nich słownik języka włoskiego. Po chwili miał go w rękach. Wystarczyły dwie, trzy minuty, by wyciąć potrzebne mu rzeczowniki i zmieszać z czasownikiem i kilkoma przyimkami z kryminału.

*Lei ha un neo sotto l'ascella sinistra. Ma znamię pod lewą pachą.*

Super!

Gotowy list zawinął w gazetę, po czym przystąpił do sprzątan. Kryminały wylądowały w śmietniku. Ubrania i resztę swoich rzeczy spakował do drugiej walizki i do trzech kartonów, po czym wyniósł to wszystko na wspólny strych. Teraz w mieszkaniu pozostała po nim jedynie bezwartościowa, brązowa statuetka pochodząca z salonu Gregoria, prezentująca się dumnie na półce na książki. Oczywiście było głupotą zostawiać ją tutaj, szaleństwem niemal, Morris jednak, od chwili, gdy odważył się zaryzykować, żywił niejasne przekonanie, że bogowie nagradzają śmiałość i brawurę, że nigdy nie stają po stronie tych, którzy są zbyt ostrożni. (Niechby ojciec nazwał go teraz mięczakiem!) On, Morris, rzucał swój chleb na wody (cokolwiek mogło to oznaczać), ofiarował samego siebie jako zakładnika losu.



W godzinę później wysiadł z autobusu w Quinzano, pokonał dwa ostro idące w górę zakręty powyżej niewielkiego placyku i nacisnął dzwonek przy potężnej bramie z kutego żelaza, broniącej wstępu na długi podjazd prowadzący do *casa Trevisan*. Poważną, szczerą twarz skierował ku niewielkiej kamerze umieszczonej powyżej przycisku dzwonka.

- *Sono io, Morris*. Właśnie dowiedziałem się z gazety i od razu przyszedłem.

Zamek ustąpił i brama otworzyła się automatycznie. Morris ruszył pospiesznie pochyłym, wyłożonym białymi kamieniami podjazdem, wśród kwitnących magnolii. Z nieba lał się żar, więc będą musieli wybaczyć mu krople potu, spływające po czole.

Nie minęły dwie minuty, a Signora Trevisan już dzwoniła do inspektora Marangoni. Ten, zdaje się, nalegał, aby Morris natychmiast zgłosił się do *Questura* w centrum miasta, jednak signora uparła się, że to inspektor ma przyjechać do Quinzano. Ona sama nie miała jeszcze czasu, aby zamienić choćby słowo z tym chłopcem. Wreszcie po dwu- czy trzyminutowej sprzeczce inspektor ustąpił i powiedział, że zaraz będzie.

- Nie, wczoraj pojechałem do Mediolanu do opery - rozpoczął swoje wyjaśnienia Morris - i spóźniłem się na ostatni pociąg do domu. Noc spędziłem na dworcu, gdyż nie miałem pieniędzy na hotel. Dopiero dzisiaj przeczytałem artykuł w „Arenie”, z którego dowiedziałem się o wszystkim.

Gdyby powiedział, że nocował w hotelu, policja natychmiast by to sprawdziła. Zdażył też przeczytać recenzję z wczorajszego przedstawienia *Madame Butterfly* w La Scali, więc z tej strony również nic mu nie groziło.

Signora Trevisan, z twarzą poszarzałą od zmartwienia, przyglądała mu się bacznie.



- Zrób nam kawy - poleciła Paoli. Oczy miała czerwone i napuchnięte. - O Boże, a taką miałam nadzieję, że uciekła z panem albo zrobiła coś równie głupiego.

- Obawiam się, że nie - powiedział Morris uprzejmie, uśmiechając się lekko. Ale Signora Trevisan już odwróciła głowę. Wyjaśnienia skończone i więcej czasu nie miała zamiaru mu poświęcać. Dla niej był wyłącznie „czymś głupim”, nieszkodliwą hipotezą, którą teraz, niestety, trzeba było odrzucić.

- A więc twierdzi pan, że nie widział pan Massiminy? - zapytał szorstko Bobo.

To już było trudniejsze. Morris spojrzał prosto w twarz cherlawego Bobo, przyobleczoną w maskę surowości. Oczywiście z braku innych mężczyzn w rodzinie, Bobo postanowił odegrać rolę jej protektora.

- Zgadza się. - Morris wziął głęboki oddech. - Nie widziałem Massiminy od czasu tamtej kolacji u państwa.

- Gdyby tylko ta głupia dziewczyna nie założyła tego cholernego, czerwonego dresu, nie musiałby się teraz niczym przejmować. Jedyne półgłówek ucieka z domu ubrany w czerwony dres. Poczul się naprawdę zły na Massiminę.

Bobo i matka wymienili się spojrzeniami i w tym momencie odezwał się telefon. Morris siedział w takim napięciu, że aż poczul kurcz, obejmujący prawe ramię aż po bark. A jeśli Massimina...

Ale to była Antonella, prosząca, aby ktoś ją zastąpił, gdyż ona nie wysiedzi w szpitalu ani minuty dłużej.

- A jak się czuję starsza pani? - Morris zwrócił się do Bobo pełnym szacunku, przyciszonym głosem.

- Jest w śpiączce - odparł tamten ponuro. - Umiera.

- Jakże mi przykro - powiedział Morris (szkoda, że nie miał kapelusza, mógłby go trzymać teraz w ręku). - Takie nieszczęścia, jedno po drugim - wyraził swoje współczucie Signorze Trevisan, która właśnie odkładała słuchawkę. - Do prawdy nie wiem, co powiedzieć.

Signora wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. Wysłała Paolę, aby zastąpiła siostrę w szpitalu. Widząc zwilgotniałe oczy, Morris poczuł autentyczne współczucie. Cóż, gdyby zezwoliła na regularne, staroświeckie zaręczyny, nigdy by nie doszło do tego, co się stało.

Zwalisty inspektor Marangoni zachowywał się w sposób zdecydowanie agresywny. Skoro zmuszono go do jazdy do Quinzano w taki upał, wyraźnie postanowił nie okazywać rodzinie żadnych szczególnych względów i nie zważać na jej ból. Ciężko opadłszy na krzesło z boleśnie sztywnym oparciem, zwracał się wyłącznie do Morrisa. Obok usiadł jego asystent, niewysoki i szczupły, z suchą oliwkową, pozbawioną wyrazu twarzą o rozbieganych oczach. Morris z satysfakcją zauważył, że obaj policjanci pocą się równie mocno jak on sam.

- *Parla italiano, Signore, capisce tutto?* Pozostali wpatrywali się w niego.

- Mówi po włosku naprawdę dobrze - wyrwała się Signora Trevisan.

- Signora, pozwoli pani, że sam poprowadzę przesłuchanie. Procedura wymaga, bym usłyszał odpowiedź bezpośrednio z ust tego młodego człowieka.

Morris uśmiechnął się, obojętnie i pobłażliwie zarazem.

- Mówię po włosku całkiem nieźle. Gdybym czegoś nie zrozumiał, zaraz powiem.

- Czy ma pan jakiś dokument potwierdzający pańską tożsamość?

Morris sięgnął do skórzanej aktówki i wydobył z niej swój brytyjski paszport „Korona Brytyjska... domaga się...”. Jakież to miłe ze strony Korony Brytyjskiej.

- *A permesso di soggiorno w Weronie?*

- Niestety, nie mam przy sobie.

- Mniejsza z tym. - Inspektor urwał i popatrzył Morrisowi prosto w oczy. - A więc był pan związany z zaginioną?

- Chciałem. Jej matka zabroniła nam się spotykać. Signora Trevisan, już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale inspektor ubiegł ją.

- Nigdy nie planował pan, aby z nią uciec?

- Skądże znowu. Zresztą Massimina ma zaledwie siedemnaście lat, więc ucieczka z nią zostałaby potraktowana jako przestępstwo. - Morris uśmiechnął się.

- Formalnie rzecz biorąc, owszem. - Inspektor pochylił się i szepnął coś swojemu asystentowi, który sporządzał notatki.

- A czy kiedykolwiek rozmawialiście na ten temat?

- Massimina zastanawiała się nad ucieczką, ja jednak byłem temu przeciwny. Nie traciłem nadziei, że jej matka zmieni zdanie. - Popatrzył na Signorę Trevisan, jakby czynił gest pojednania, ale twarz kobiety pozostała wroga. Tym gorzej dla niej. - Sądziłem, że najlepiej będzie odczekać.

- Kiedy po raz ostatni spotkał pan Massiminę?

- Miesiąc temu, może więcej. Podczas kolacji, na którą zostałem tu zaproszony.

- I od tamtej pory nie widział się pan z nią?

- Nie, ani nie rozmawiałem. - Morris poczuł, że kącik oka zaczyna mu drgać.

Inspektor ponownie zamienił kilka słów ze swoim asystentem.

- Signora, chciałbym porozmawiać z Signorem Duckworthem na osobności. Signor Duckworth, czy możemy przejść do ogrodu i tam kontynuować naszą rozmowę?

- Ależ oczywiście. - Morris wstał, czując, że wzburzone jelita chcą mu wypłynąć na zewnątrz. Wiedzą, że w piątek spotkał się z Massiminą. Pewnie Stan musiał im powiedzieć albo Gregorio. Jak mogliby zapomnieć ten czerwony dres? Jak choć przez chwilę mógł mieć nadzieję, że zapomną? Teraz najważniejsze jest zachować spokój. Powie, że nie wspomniał o tym spotkaniu, bojąc się, że automatycznie zostanie uznany za zamieszanego w zniknięcie Massiminy. Cholera, dlaczego przed przyjściem tutaj nadał ten idiotyczny list? Gdyby nie to albo gdyby jakimś sposobem udało mu się go odzyskać, nie dysponowałiby niczym, co mogłoby go pogrzyźć. Parę kłamstewek za ledwie. Ale kiedy już przyjdzie list... albo kiedy Signor Cartuccio przeczyta w gazecie...

- Signor Duckworth. - Morris i obaj policjanci przysiedli niewygodnie na niewielkim stoliku z marmurowym blatem, pod rozpiętą na siatce wistarią, rzucającą zielonkawą cień, dający przyjemny chłód i orzeźwienie. - Signor Duckworth, muszę pana ostrzec, iż Signora Trevisan poinformowała nas, że okłamał pan rodzinę, mówiąc o swoim życiu prywatnym, i że w jej przekonaniu absolutnie nie zasługuje pan na zaufanie. To samo twierdzi Bobo, to znaczy Signore Posenato.

Morris z trudem ukrył westchnienie ulgi. Uniósł dłoń ku włosom, chcąc zasłonić twarz, ułożyć rysy w wyraz łagodnej irytacji połączonej z rezygnacją.

- Owszem, zgadza się. Skłamałem, mówiąc o swojej pracy, pozycji ojca i widokach na przyszłość.

- A mogę zapytać, dlaczego? - Na topornej, spływającej potem twarzy inspektora pojawił się cień uśmiechu. Morris dostrzegł go natychmiast.

- Są bogaci. Bałem się, że jeśli powiem prawdę, jak skromna w rzeczywistości jest moja pozycja, nastawi ich to nieprzychylnie do mnie. Tak więc sporo ubarwiłem. Miałem nadzieję, że z czasem, zanim nasz związek przekształci się w coś poważnego, moja sytuacja również się poprawi.

Inspektor chrząknął, a jego asystent pochylił głowę nad notatkami, żeby ukryć uśmiech.

- Nie miałem pojęcia, że okażą się tak podejrzliwi, że zaraz wszystko sprawdzą. To znaczy, pan nie...

- Nie, Signor Duckworth. Korzystając z chwili, kiedy jesteśmy tu sami, chciałem zadać panu jeszcze kilka pytań, a potem będzie pan wolny.

Łatwe żeglowanie.

- Bardzo proszę.

- Czy istnieje możliwość, że Massimina jest w ciąży? Morris był autentycznie zaskoczony i nie omieszkał tego zademonstrować.

- Ależ skądże! To absolutnie wykluczone.

- Proszę mi wybaczyć, Signor Duckworth, ale do mojego zawodu należy zadawanie czasami nieprzyjemnych pytań.

Marangoni wyjął chusteczkę i starannie osuszył wielką, spoconą, jakby woskową twarz. Wyraźnie cierpiał, myśląc o swoim wygodnym, klimatyzowanym

gabinecie. Biedny człowiek, jakież on miał kiepskie zęby. On, Morris, na jego miejscu czym prędzej pobiegłby do dentysty, nieważne, ile miałyby to kosztować.

- Tak więc nie żyliście ze sobą?

- Nie, nie. Pod tym względem Massimina jest bardziej papieska niż sam papież. Nawet nie chciała o tym słyszeć. Marzyły jej się zaręczyny i zaraz potem ślub.

- Rozumiem. A teraz drugie pytanie. Czy widzi pan jakiś powód, dla którego Massimina mogłaby targnąć się na życie?

Morris szybko potrząsnął głową.

- Żadnego. To nie był ten typ dziewczyny.

- Signore, proszę się dobrze zastanowić. Czy ostatnio była może czymś zdenerwowana albo przygnębiona?

Morris odegrał całe przedstawienie z zastanawianiem się.

- Cóż, wiem, że bardzo ją martwiło oblanie egzaminów i choroba babki. Tym się naprawdę gryzła. Odniosłem wrażenie, że babka była jej jedynym prawdziwym przyjacielem. Pozostali członkowie rodziny traktowali ją trochę jak popychadło, gdyż nie odznaczała się zbyt dużą bystrością.

W tym momencie Morris uświadomił sobie nagle, że skoro jakoby nie rozmawiał z dziewczyną od ponad miesiąca, nie miał prawa wiedzieć o wynikach egzaminów ani o reakcji Massiminy na chorobę babki. Nie pozostało mu więc nic innego, jak brawurowo ciągnąć dalej.

- Myślę też, że przygnębiało ją, że nie możemy się spotykać. Napisała do mnie kilka desperacko brzmiących listów. Mimo to nie sądzę...

- Czy mógłby pokazać nam pan te listy? Nawet najmniejszy strzęp dowodu może się okazać pomocny.

- Cóż, zachowałem chyba tylko jeden, w dodatku pisany jeszcze przed egzaminami. - Niech to diabli! - Postaram się go odszukać i przyniosę do *Questura* jeszcze dziś po południu. - Gdzież on mógł go wetknąć? I dlaczego tak beztrósco chlapnął, że listów było kilka? Na miłość boską, mów prawdę, kiedy tylko możesz. Inaczej zupełnie niepotrzebnie wzbudzisz podejrzenia.

- Byłbym bardzo zobowiązany. I wreszcie ostatnie pytanie. Jak pan sądzi, gdzie Massimina może przebywać w tej chwili?

Morris wzruszył ramionami, przygryzł wargi i przesunął rękami po włosach w bardziej niż czytelnym geście z wątpienia.

- Pojęcia nie mam. Mogę się obawiać, ale tak naprawdę to przecież nie wiem.

- A czego się pan obawia?

- Cóż - Morris zawahał się - morderstwa na tle seksualnym.

Zapadło przedłużające się milczenie.

- A nie bierze pan pod uwagę możliwości porwania?

- Tak - przyznał Morris po krótkim namyśle. - Tak, to także jest możliwe. Czy rodzina naprawdę jest aż tak bogata? - dorzucił po chwili, udając zdumienie.

- Tak sądzę - powiedział Marangoni spokojnie.



Inspektor zapytał jeszcze, jak będzie mógł skontaktować się z Morrisem w przeciągu kilku najbliższych dni, gdyby zaszła taka konieczność, na co Morris odparł, że to może stanowić pewien problem. Lekcje się skończyły i teraz wybierał się z przyjaciółmi do Turcji. Inspektor zastanowił się przez chwilę, po czym przyznał, że nie ma żadnych podstaw, aby zabronić Morrisowi wyjazdu, natomiast byłby wdzięczny, gdyby Morris pozostał z nim w kontakcie telefonicznym, tak aby można go było ściągnąć do Werony, w razie gdyby zaszło coś nieoczekiwanego. Czysto rutynowe postępowanie, wyjaśnił. W przypadku kłopotów z pieniędzmi, Morris ma prawo wystąpić o zwrot kosztów podróży.

Morris zgodził się pozostać w kontakcie. Zresztą, dodał, po tym wszystkim, co się wydarzyło, sam jeszcze nie jest pewien, czy pojedzie. Co prawda nie widział Massiminy od ponad miesiąca i właściwie stracił już nadzieję, nadal jednak była mu bardzo bliska. Tak więc teraz ma dylemat, jechać do Turcji, czy nie jechać. W każdym razie po południu pojawi się w *Questura* z listem od Massiminy i wówczas poinformuje policję o swoich dalszych zamierzeniach. Takie rozwiązanie zdawało się w pełni satysfakcjonować inspektora i jego asystenta. Obaj wrócili jeszcze do domu, aby zamienić słowo z Signorą Trevisan.

Dziwne, ale nikt zdawał się nie wiedzieć o tym, że Massimina podjęła z banku wszystkie oszczędności. A wydawałoby się, że policja sprawdzi przede wszystkim to. Chyba że dziewczyna go okłamała.

Zaproszenia na lunch Morris najpierw odmówił, jednak naciskany (nie całkiem szczerze) przyjął je w końcu (przy Massiminie nigdy się porządnie nie na-je). Zasiedli do dwóch pieczonych kurczaków, zawdzięczanych zapewne szczodrości Bobo i spółki, i jedli niemal w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie

blahymi uwagami (dzięki czemu przynajmniej jeden z uczestników lunchu mógł oddać sprawiedliwość jedzeniu).

Dopiero, kiedy Morris już wychodził, Signora Trevisan powiedziała, że chciałaby go przeprosić, jeśli uraziła go czymkolwiek, na co on odparł, że tak naprawdę, to on jest winny przeprosiny, i zapewnił, że jeśli mógłby w czymś pomóc w przeciągu nadchodzących dni, z radością to uczyni. Miał nadzieję, że okażą choć tyle przyzwoitości, by zaproponować, aby wpadał regularnie, dowiadywać się o nowiny i dzielić ich ból, skoro jakoby kochał tę dziewczynę. Usłyszał tylko zdawkowe zapewnienie, że w niczym nie może im pomóc, więc wyszedł, spiesząc do innych spraw.

Popołudnie upłynęło mu w nastroju, który najlepiej oddawało określenie: bitewne opanowanie. Był to gorączkowy, szalony spokój, któremu towarzyszyła świadomość każdego, najdrobniejszego nawet szczegółu, form, ciał, poruszeń, odciskających się w mózgu z fotograficzną wręcz dokładnością, podczas gdy w głowie kłębiło się od myśli. Każda jego czynność nacechowana była starannością i dokładnością, zupełnie jakby stapał po rozwieszanej nad przepaścią linie. Mówiąc krótko, Morris bawił się doskonale.

Wysiadł z autobusu przy Ponte delia Victoria i zanurzył się w płątanie uliczek Dietro Duomo. Dwukrotnie przystanął na rogu, chcąc się upewnić, czy przypadkiem nie wysłali za nim ogona. Powietrze było aż gęste od gorąca i nieprzyjemnych zapachów bijących ze studzienek kanalizacyjnych i śmietników. Bruk był rozgrzany, a w krętych alejkach w pobliżu Via Emilei unosił się kwaśny odór. Nie szkodzi, jeśli dopisze mu szczęście, za kilka dni będzie już nad morzem. Będzie wylegiwał się na plaży, wystawiał twarz na słońce i w spokoju układał dalsze plany. Bo tak naprawdę czeka go jeszcze długa droga. O drugiej

piętnaście wspinał się po połamanych stopniach domu numer 7 przy ulicy Via Accoliti.

- Wypływamy promem z Brindisi, gdzieś koło trzydziestego - poinformował go Stan, sącząc wino z kostkami lodu. Na sobie miał tylko bieliznę. - Jeśli uda ci się do nas dołączyć, to świetnie. Tydzień wcześniej wpadniemy jeszcze do Rzymu, odwiedzić gminę Emmaus. Dam ci adres, gdybyś chciał łapać nas tam.

Morris powiedział, że ma jeszcze kilka lekcji prywatnych, ale może uda mu się je jakoś poupychać. Chętnie wybrałby się z nimi.

- A właśnie, Morris - odezwała się Marion Robertson, zajęta malowaniem czegoś na ścianie - czytałam o tobie w gazecie. O tobie i o jakiejś dziewczynie, która zniknęła. O co tu chodzi?

Pod makijażem w kolorach sygnalizacji świetlnej miała szeroki uśmiech; najwyraźniej cieszyło ją, że udało się jej wygrzebać jakiś szczegół z jego prywatnego życia. Dlaczego ludzi zawsze tak pasjonowały osobiste sprawy innych? Jemu, Morrisowi, było naprawdę wszystko jedno, czy Stan sypia z Marion, tą dziewczyną z Pinnington, żalostną Simonettą czy nawet ze wszystkimi na raz. Albo z żadną. Naprawdę nic go to nie obchodziło. Podboje Stana to wyłącznie jego sprawa. Tymczasem innym wydawało się, że przygwoździli człowieka do ściany, jeśli odkryli przypadkiem, że ma dziewczynę. Morris do dziś pamiętał rozbawienie kolegów z klasy, którzy znaleźli w jego portfelu fotografię matki. Złapali ją i tańczyli z nią jak wariaci, nie chcąc jej oddać.

- Och, nic takiego. Gazeta jak zwykle rozdmuchwała całą sprawę. Widywałem się z nią wieki temu, więc teraz komuś przyszło do głowy, że uciekliśmy razem.

Stan wyprostował się nagle.

- Czy to ta, z którą widziałem cię kiedyś wieczorem na przystanku autobusowym?

- Skądże, inna - odparł Morris, uważnie wsłuchując się w ton swojego głosu (czy aby zabrzmiał przekonująco?). Jak do tej pory nikt nie wspomniał o czerwonym dresie.

- A to kochliwy chłopak - zachichotała Marion, dodając czerwoną linię do abstrakcyjnego bałaganu, który tworzyła na ścianie.

Niech ją wszyscy diabli. Morris poczuł, że oblewa się rumieńcem. Był wściekły. Takich typów jak Marion po prostu nie trawił. Po jaką cholereę ona w ogóle maluje tę ścianę?

- Massimina zniknęła w piątek wieczorem - wyjaśnił, bacznie spoglądając na Stana.

- Ejże, Massimina? Najlepsza towarzyska śmietanka. Massi-mini-mina. Bogata?

- Dobrze sytuowana.

- A to dopiero. Założę się, że ją porwali albo coś podobnego.

- Nie byłbym zdziwiony - powiedział Morris sztywno.

- Zabierzesz do Turcji tę drugą laskę? - indagował Stan, mrugając znacząco i drapiąc się po brodzie. - Zawsze twierdzę, że im więcej, tym weselej.

Morris zawahał się. Nie był jeszcze pewien, co zrobi ze sobą, nie mówiąc już o Massiminie. Gdzieś przecież trzeba będzie ją upchnąć.

- Zależy, czy uda jej się wyrwać - rzucił. - Kłopoty z rodzicami.

Stan zrobił współczujący grymas.

- Wiecznie te same problemy. Rodzina, rodzina i jeszcze raz rodzina. Nie można się od niej uwolnić. Założę się, że większość tych dziewczyn aż przebiera nogami, żeby je ktoś porwał.

- Może być i tak - zgodził się Morris.

W pół godziny później obudził dyrektora szkoły angielskiej z ciężkiej, popołudniowej drzemki i wymusił na nim podpisanie czeku za ostatni miesiąc i wypłacenie pięćdziesięciu tysięcy w gotówce. Powiedział mu, że rozmawiał już z policją, a Horace Rolandson, z zaczerwienioną twarzą, najwyraźniej wciąż jeszcze dochodzący do siebie po niedzielnym picciu, odparł, iż spadł mu kamień z serca, że obeszło się bez skandalu. Rolandson należał do wymierającej już starej gwardii emigrantów o mentalności ukształtowanej w czasach podbojów kolonialnych: nigdy nie pozbył się ciężkiego akcentu z Yorkshire i żył wyłącznie reputacją swojej kiepskiej szkółki, w której pielęgnował metody nauczania języków obcych rodem z lat pięćdziesiątych, jakie przywiózł ze sobą wiele lat temu. Energicznie potrząsnął dłonią Morrisa.

- Do zobaczenia w przyszłym semestrze, chłopcze. - Na pożegnanie posłał mu przesycony ginem uśmiech.

Kwadrans po trzeciej Morris był już z powrotem na przystanku autobusowym, wyczerpany upałem, napięciem i euforią. Za piętnaście czwarta po raz drugi wyładował w swoim mieszkaniu. Z walizki na strychu wygrzebał list Massimini i popędził z powrotem na przystanek. List zostawił w głównej *Questura* Werony, wraz z notką dla inspektora Marangoniego, obiecującą, że będzie się z nim kontaktował w przeciągu kilku najbliższych dni. Wreszcie o siedemnastej

trzydzieści złapał pociąg powrotny do Vicenzy. Dwie godziny później niż planował, ale tak to czasami bywa. Nic nie szkodzi. Massimina i tak poczeka.

---

## 9

---

Przede wszystkim pomysłowość. To na niej się wszystko opierało i ona właśnie sprawi, że na koniec obejdzie się bez kary. Błyskotliwość i finezja. Trevisanin nie zaszkodzi rozstać się z odrobiną swoich ziemskich dóbr. Nawet inspektor dał mu to mniej lub bardziej do zrozumienia. Może nawet wyjdzie im to na korzyść. Jeśli Signora poczuje choć odrobinę skruchy z powodu tego, jak wychowała i traktowała swoje dzieci (nie mówiąc już o tym, jak traktowała Morrisa), tym lepiej dla niej.

Dziesięć procent sumy przeznaczy na cele dobroczynne. Gdyby kiedyś miał sprzedać całą historię do „Mirror”, będzie to nawet ładnie wyglądało. Kidnaper płaci dziesięcinę. Tak, nie ulegało wątpliwości, że miał hojną rękę, pod warunkiem oczywiście że miał z czego być hojny.

Siedząc u fryzjera, zaczął szkicować list z żądaniem okupu. Najważniejsze to dopracować wszystko dokładnie, w najdrobniejszym nawet szczególe. Przede wszystkim odpowiednia suma, wystarczająco duża, by można z niej zrobić użytek i by wyglądała wiarygodnie, a jednocześnie na tyle mała, by dało się ją zebrać szybko i bez kłopotu. Nie chodziło przecież o to, by rodzina w rozpaczę za-

łamała ręce, a potem pobiegła prosto na policję. List koniecznie trzeba dostarczyć tak, by inspektor Marangoni o niczym się nie dowiedział. Poczta Trevisanich z pewnością jest prześwietlana. Tak, to jest drobny problem. Nad sposobem dostarczenia pieniędzy też trzeba będzie popracować, wymyślić metodę wykluczającą jakąkolwiek interwencję. I wszystko podać w odpowiednim tonie; groźącym i uspokajającym jednocześnie, prawdziwie autorytarnym. Tu potrzeba prawdziwego artyzmu (zresztą artyzm zawsze jest wymagany, tato, jeśli ktoś pragnie się wybić ponad tłum).

Morris uniósł wzrok i popatrzył na Massiminę, która uśmiechnęła się do niego z fotela. Fryzjerka w średnim wieku zręcznie kręciła się koło jej głowy. Na wyraźne żądanie Morrisa, Massimina miała obcinane i rozjaśniane włosy i robioną trwałą. W ten sposób będzie wyglądała znacznie atrakcyjniej, tłumaczył jej cierpliwie, bardziej szykownie i doroślej, a krótka fryzura jest praktyczniejsza na lato. Nowe uczesanie to także jakby zmiana osobowości. Obcinając włosy, poczuje się zupełnie nową, niezależną osobą, uwolnioną spod władzy matki, która z pewnością sprzeciwiłaby się podobnemu pomysłowi. I zupełnie słusznie, dodał w duchu. Massimina miała wspaniałe włosy i była z nich bardzo dumna. Sam z trudem mógł uwierzyć, że udało mu się ją przekonać, by się ich pozbyła. Jeśli odczuwał jakieś wyrzuty sumienia, to wyłącznie z tego powodu. Popęłił zbrodnię przeciwko pięknu.

Massimina przyglądała mu się, zawzięcie coś piszącemu srebrnym długopisem.

- List do papy? - uśmiechnęła się, prezentując dołeczki w piegawatych policzkach.



W każdym mieście, przez które przejeżdżali, Morris urządzał przedstawienie z wysyłaniem pocztówki do ojca, co Massimina najwyraźniej uznała za najlepszy dowód, że jest człowiekiem, któremu można ufać. Massimina także pisywała kartki do rodziny, ale tak się składało, że to Morris zanosił je zawsze na pocztę.

- Właśnie się zastanawiałem, czy nie zaprosić go tutaj pod koniec lata, kiedy trochę się ochłodzi. Może we wrześniu, wtedy upały są już łatwiejsze do zniesienia.

- *Morrees, meraviglioso.* Bardzo chciałabym go poznać.

- Do tego czasu zdążymy już wrócić do Werony, do mojego mieszkania. Ojciec mógłby spać w salonie.

- *Ottimo!*

W błysku szczękających nożyc widział jej rumieniec. Z pewnością pomyślała, że skoro ojciec ma spać w salonie, oznacza to, że oni oboje będą spali w sypialni, w jednym łóżku. Związani małżeńskim węzłem. Może nawet spodziewający się potomka. Dziesiątego sierpnia przypadały jej osiemnaste urodziny. Prawdopodobnie marzy jej się zostać matką, zanim skończy dziewiętnaście lat. Już otwierała usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale fryzjerka delikatnie pochyliła jej głowę do przodu, tak że musiała odwrócić wzrok.

DRODZY CIERPIĄCY spróbował Morris. Pierwszy szkic sporządzał po angielsku, na wypadek gdyby Massimina miała go zobaczyć. Ale w końcu pisał do ojca. Przy jej antytalencie do języków nawet nie będzie się starała tego rozszyfrować. DRODZY CIERPIĄCY, NA ILE MAM WYCENIĆ WASZĄ STRATĘ? SZCZERZE MÓWIĄC, NIE SĄDZĘ, ABY OKRĄGŁY MILIARD TO BYŁO ZA MAŁO ZA TO MŁODE, SŁODKIE, ROZKOSZNE STWORZENIE - WŁAŚNIE W TEJ CHWILI SPOGLĄDAM NA TĘ UROCZĄ TWARZYCZKĘ

I WSPANIAŁE DŁUGIE WŁOSY! (Włoży do koperty jeden pukiel - tak, to jest myśl! Pochylił się, żeby podnieść leżące na podłodze pasmo. Kiedy się prostował, podchwycił w lustrze spojrzenie Massiminy, nie pozostało mu więc nic innego, tylko przycisnąć lok do warg i ucałować. Massimina uśmiechnęła się. Miłość jest taka słodka, nieprawdaż?)

OKRĄGŁY MILIARD, WCAŁE NIE TAK DROGO. MOI PRZYJACIELE PRZEKONALI MNIE JEDNAK, BY OFEROWAĆ WAM, DUSIGROSZE, NIEWIELKI UPUST. (To będzie nauczka dla gnojków za sprawdzanie i szpiegowanie Morrisa, po tym jak zachował się tak cholernie uprzejmie i formalnie, że nawet ofiarował ramię biednej, ledwo powłóczącej nogami babce.) TAK WIĘC JESTEŚMY SKŁONNI OGRANICZYĆ SWOJE ŻĄDANIE DO OŚMIUSET MILIONÓW LIRÓW - 800000000 - POD WARUNKIEM, ŻE ZOSTANĄ DOSTARCZONE SZYBKO I UCZCIWIE. ŻADNYCH SZTUCZEK. PRÓBA ZAWIADOMIENIA POLICJI ALBO ZASTAWIENIA PUŁAPKI MOŻE SKOŃCZYĆ SIĘ TYM, ŻE ZROBIMY SIĘ W NAJWYŻSZYM STOPNIU NERWOWI, CO MOŻE MIEĆ FATALNE, ŻE SIĘ TAK WYRAŻĘ, KONSEKWENCJE DLA KOGOŚ, KOGO TAK DOBRZE ZNAMY. (PRZESZUKIWANIE DNA RZEKI? ROZGRZEBYWANIE WYSYPISKA ŚMIECI? ZBIERANIE PLASTIKOWYCH TOREB Z ODCIĘTYMI KOŃCZYNAMI SPOD ESTAKADY NA AUTOSTRADZIE? CO SĄDZICIE O TYCH POMYSŁACH?) DLA RODZINY I ODDANYCH PRZYJACIOŁ ZEBRANIE OŚMIUSET MILIONÓW NIE POWINNO NASTRĘCZAĆ JAKICHŚ SPECJALNYCH TRUDNOŚCI. (W końcu to zaledwie czterysta tysięcy funtów. Może jednak zażądał za mało?) W BANKNOTACH NAJWYŻEJ PO PIĘDZIESIĄT TYSIĘCY, UŻYWANYCH OCZYWIŚCIE.

Przyglądając się w lustrze twarzy Massiminy, Morris usiłował podzielić osiemset milionów przez pięćdziesiąt tysięcy. Boże, co za kretyńska waluta. Trzeba odrzucić zera. Osiemset tysięcy dzielone przez pięćdziesiąt albo osiemdziesiąt tysięcy, dzielone przez pięć. Wychodzi szesnaście tysięcy. Przez chwilę usiłował sobie wyobrazić szesnaście tysięcy banknotów. Wyjdzie z tego spora paczka. Gdzie ją upchać? Jeden jedyny skok, a potem, Boże drogi, potem już tylko przemyślane inwestycje i człowiek jest urządzony do końca życia i może się poświęcać wyłącznie sztuce i przyjemnościom. Jeśli wszystko się uda, może nawet napisze książkę. A ile pewności siebie nabierze! Po takim wyczynie człowiek staje się zdolny nawet do chodzenia po wodzie! Ojcu kupi nowoczesne mieszkanie w Ealing, żeby pokazać staremu, że on, Morris Duckworth, wcale nie jest taki głupi. Książka, książkę musi napisać koniecznie. Będzie nosiła tytuł „Twierdza do zdobycia”. Mając pieniądze, zajmie się działalnością charytatywną, może domami dziecka, czymś, za co ludzie będą go szanować i...

- Morri! - Massimina z głową owiniętą ręcznikiem przechodziła właśnie pod suszarkę. - Morri, dlaczego piszesz takimi wielkimi literami, w dodatku drukowanymi? - Jej twarz, z włosami odgarniętymi do tyłu, miała psotny, chochlikowaty wygląd, oczy zdawały się być ciemniejsze i bardziej promienne, nos ostrzejszy, a policzki pełniejsze.

Morris poczuł, że się czerwieni.

- Ojciec... ojciec ma kiepski wzrok. Daje radę przeczytać jedną, najwyżej dwie linijki pisanego – dorzucił szybko, przypominając sobie zapełnione drobnym maczkiem widokówki.

- Czy piszesz mu o mnie?

- *Naturalmente.*

- Ale co? Przetłumacz.

Ale szum suszarki zagłuszył dalszą rozmowę i Morris mógł wrócić do pracy.

...W BANKNOTACH NAJWYŻEJ PO PIĘCDZIESIĄT TYSIĘCY, UŻYWANYCH OCZYWIŚCIE. PIENIĄDZE MAJĄ BYĆ OWINIĘTE W PAPIER PAKOWY I ZŁOŻONE... Nie, źle, papier pakowy to takie trywialne. Tu potrzebny jest przebłysk geniuszu. Najważniejsze jest wybrać miejsce, którego nie da się obserwować. Coś ruchomego może?

Rozejrzył się po wnętrzu ciemnego salonu. Obcięte pukle długich włosów Massiminy zalegały wykładaną kafelkami podłogę. Piękne, zmasakrowane pasma czerni i złota, połyskujące w przyćmionym świetle. Gdzie? Gdzie? Gdzie? Przy porwaniach najczęściej wszystko rozbijało się o miejsce złożenia okupu. Rozwiązanie, jakie widywał na filmach - osoba z pieniędzmi ma udać się do budki telefonicznej, dokąd dzwoni porywacz z poleceniem udania się do następnego automatu telefonicznego i tak dalej - w jego przypadku nie wchodziło w grę. Nie z Massiminą u boku. Ssąc końcówkę długopisu, uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Massiminy, siedzącej z głową uwięzioną w metalowym hełmie i z uśmiechem przesyłającej mu całusy. Odpowiedział jej uśmiechem mówiącym na-pewno-będziesz-wyglądała-wspaniale. I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł.

PIENIĄDZE MAJĄ BYĆ OWINIĘTE W PAPIER I WŁOŻONE DO ZWYKŁEJ, BRĄZOWEJ, PODRĘCZNEJ TORBY, POD WARSTWĘ STARANNIE ZŁOŻONYCH UBRAŃ. TORBA MA BYĆ ZAMKNIĘTA NA ZWYKŁY ZAMEK BŁYSKAWICZNY I TO WSZYSTKO. ŻADNYCH WYMYŚLNYCH ZAMKNIĘĆ, ŻADNYCH BOMB ANI INNYCH SZTUCZEK. TO MASSIMINA BĘDZIE JĄ OTWIERAĆ.

TORBĘ NALEŻY UMIEŚCIĆ NA PÓLCE NA BAGAŻE W PIERWSZYM OD LOKOMOTYWY PRZEDZIALE PIERWSZEJ KLASY EKSPRESU MEDIOLAN-PALERMO, ODJEŹDŻAJĄCYM Z MEDIOLANU W DNIU (Godzinę odjazdu będzie musiał jeszcze sprawdzić, podobnie jak zdecydować się na datę. Wszystko zależy od tego, kiedy wyśle list.) JEŚLI KTOŚ ZOSTANIE W PRZEDZIALE ALBO W OGÓLE W CAŁYM POCIĄGU, WASZ SŁODKI, MAŁY SKARB NIGDY NIE ODZYSKA WOLNOŚCI.

Człowiek faktycznie zaczynał czuć się jak zbrodniarz, pisząc coś takiego, ale przecież list z żądaniem okupu musiał brzmieć okrutnie.

POWTÓRNEJ SZANSY NIE BĘDZIE. DOTARŁO? NIE UJRZYCIE DRUGIEGO LISTU ODE MNIE. (Nie, nie ode mnie. Od nas). OD NAS. TYLKO WASZĄ CÓRKĘ, ŻYWA ALBO MARTWA. WYBÓR NALEŻY DO WAS.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie namówić Massiminy, aby podpisała się na dole listu do ojca, a potem przekopiować podpis na końcową, włoską wersję listu, żeby udowodnić, że ma ją żywą. To jednak było zbyt ryzykowne. Zaraz zaczęliby się zastanawiać, dlaczego nie podpisała się na oryginale. Zdecydował podpisać się sam. I VENDICATORI DELLA POVERTÀ.

Jaki miły wydźwięk, enigmatyczny, z subtelną pogrózką. Idealny mylny trop. Potem przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł.

ŻEBY UDOWODNIĆ, ŻE MASSIMINA NAPRAWDĘ ZNAJDUJE SIĘ ŻYWA W MOICH RĘKACH, KAZAŁEM JEJ ZDRADZIĆ JAKIŚ SZCZEGÓŁ ZNANY WYŁĄCZNIE JEJ. POWIEDZIAŁA, ŻE SIGNORA MATKA WSTAJE CO NOC CO NAJMNIEJ PIĘĆ RAZY, ŻEBY SIĘ WYSIKAĆ. OD

## LAT MA SŁABY PĘCZERZ. NIKT O TYM NIE WIE, POZA LEKARZEM I RODZINĄ.

To sprawi, że nie będą tacy chętni, aby pokazywać list prasie.

- Czterdzieści pięć tysięcy lirów - obwieściła fryzjerka, z uśmiechem podziwiając własne dzieło.

W istocie Morris pomylił się w ocenie włosów Massiminy, podobnie jak uprzednio fałszywie ocenił brązową statuetkę Gregoria. Z krótkimi, rozjaśnionymi lokami, zalotnie opadającymi na jedno oko kręconą, puszystą falą, dziewczyna prezentowała się wspaniale. Twarz sprawiała wrażenie okrągłej, ale jednocześnie bardziej pełnej życia; uszy wyglądały niczym dwie muszelki. Kto mógłby przypuszczać? Jednym słowem, zmiana na lepsze, której z życia by się nie spodziewał. Obawiał się najgorszego, czegoś ostentacyjnego i wulgarnego, co kazałoby mu się wstydzić pokazywać się z nią na ulicy. Ale z brwiami miałem rację, pomyślał. Wyregulowane do cienkich łuków odbierały twarzy Massiminy całą dziecinność, a nawet przydawały pewnego wyrafinowania. Ale co liczyło się naprawdę - mniejsza z tym, czy efekt był w dobrym czy złym guście - to że Massimina była teraz zmieniona nie do poznania.

- Tyle pieniędzy - nadała się, kiedy wyszli od fryzjera prosto pod rozpalone słońce. Na wprost nich rozciągał się długi, lśniący białą pas plaży w Rimini.

- Za to wyglądasz rewelacyjnie (rewelacyjnie inaczej) - wykrzyknął Morris i ogarnięty nagłą euforią pochylił się i wycisnął głośny pocałunek na policzku Massiminy, tuż obok ust. Nawet mu się to spodobało.

- Morri! - Przyłgnęła do niego gwałtownie, przebiegając palcami po jego piersi. - Czy wiesz, że zrobiłeś to po raz pierwszy?

-Nie!

- Tak. Czasami zastanawiałam się już, czy ty mnie naprawdę kochasz. Jesteś taki pełen rezerwy.

Znowu leciutki dąs. Nie, tak naprawdę nie zastanawiała się nad tym wcale. Była pewna, że zdobyła go już na zawsze. (Ten upokarzający list, który napisała do Mammy). Dąs był wywołany faktem, że właśnie przechodzili obok wielkiej, lśniącej witryny sklepowej, trzeba więc było sprawdzić, jak będzie się prezentowała z nowym uczesaniem. Próżność już podnosiła głowę. Ale właściwie Massimina stawała się dzięki temu jakby sympatyczniejsza.

- Nie chcę, abyś poczuła się w jakikolwiek sposób zmuszana do czegoś, czego mogłabyś później żałować - odparł zdecydowanie. - A poza tym jestem Anglikiem. Sama wiesz, jacy są Anglicy. (Bóg raczy wiedzieć, jak udałoby mu się ją przekonać, gdyby był na przykład Francuzem.)

- *Come sei comico, Morri* - roześmiała się. - *Come sei comico! Ti amo sai.*

Ramię w ramię zeszli po kamiennych stopniach na rozpalony piasek i zmieniające się niczym w kalejdoskopie plamy światła i cienia na plaży. Morris obawiał się tylko jednego, że skoro tyle kobiet opalało się topless, Massimina może zechcieć zrobić to samo. Ostatnio zdradzała niezwykle jak na siebie upodobanie do awanturnicznych przygód. Topless z piersiami, jakie posiadała, był dokładnie takim sposobem zwracania na siebie uwagi, bez którego mógł się doskonale obejść.



Następnego dnia po powrocie Morrisa do Vicenzy kupili Massiminie nowe ubrania. Początkowo dziewczyna gwałtownie protestowała, aż doszło między nimi do pierwszej poważnej sprzeczki. Morris chętnie by ustąpił, tak wielka była jego niechęć do otwartych konfliktów, jednak czerwony dres nazbyt rzucał się w oczy. Na koniec zaproponował, że zapłaci za wszystko z własnych pieniędzy (żeby jej udowodnić, jaki jest szczodry. Leć i opowiedz o tym swojej podejrzliwej mamusi), na co Massimina poczerwieniała i zalała się łzami.

- Po pierwsze jest za gorąco na dres, po drugie, kocham cię, Mimi, i chcę, abyś wyglądała ślicznie. - Najważniejsze, to potrać strunę próżności. - Nie, wiecznie w tym porozciągającym, przepoconym dresie, okrywającym cię od stóp do głów. Jak masz wyglądać w nim kobieco? A poza tym nie chcę, żebyś co drugi dzień parę godzin spędzała w zamknięciu, czekając, aż ci dres wyschnie. (Tak naprawdę to akurat było zaletą. Dawało mu szansę wyskoczenia gdzieś samemu i załatwienia swoich spraw, z miłą pewnością, że Massimina w międzyczasie nie zadzwoni do domu, nie wyśle pocztówki ani też nie przeczyta niczego w gazecie.)

Tak więc Massimina została pokonana. Uparła się jednak, aby wszystkich zakupów dokonać w UPIM, zwykłym domu towarowym, a nie w którymś z drogich, szykownych butików. Skoro miał płacić, z wdzięcznością zgodził się na takie rozwiązanie. Kiedy jednak dotarli do kasy, obładowani całym naręczem bluzek i spódnic, nie chciała nawet słyszeć o płaceniu przez Morrisa i sama zapłaciła za wszystko, buląc okrągłe dwieście tysięcy lirów. Podczas, gdy zręczne palce kasjerki z gracją operowały przyciskami, wspięła się na palce i pocałowała Morrisa w szyję.

To było takie miłe, co powiedział, że chciałby ją widzieć wyglądającą ślicznie, szepnęła. Oczywiście miał rację. Ale dlaczego miałby wydawać na nią pie-

niądze, na które tak ciężko pracował? Ona zapłaci ze swoich, gdyż ona swoje pieniądze po prostu dostała. Cóż, sam nie wyraziłby tego lepiej. Czując się jednak nie do końca rozgrzeszony, uparł się, że zafunduje jej przynajmniej dwie pary butów (nadal w UPIM). Ich wybieranie sprawiało mu nawet przyjemność. Czerwone, bo będą pasowały do tej perłowszarej spódnicy; nie, nie na wysokich obcasach, obcasy już dawno wyszły z mody, całkiem płaskie i z odkrytą górą. I jeszcze sandały na plażę. W końcu piękno stanowiło jego prawdziwe królestwo, a ubieranie szalowej kobiety okazało się wcale zabawne. Wybrał dla niej także duży, słomkowy kapelusz z szerokim rondem, tak korzystnie ocieniający twarz. Po tym wszystkim musiał przystać na skromny lunch, złożony z mozzareili z supermarketu, chleba i butelki taniego merlo ta.

Mówiąc szczerze, przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny po powrocie z Werony i spaleniu łodzi miał spore obawy, że ugryzł zbyt duży kawałek i teraz nie da rady go strawić. Przyłapał się na tym, że co chwila oglądał się za siebie, sprawdzając z drzeniem, czy zza rogu nie wyłoni się samochód policyjny. Massimina zdjęła dres już przed lunchem, ale Morris nadal był tak zdenerwowany, że jeszcze po południu czuł oblewające go poty. Dostał też lekkiej biegunki, przez co musiał odwiedzać niemal każdą mijaną kawiarnię, nie po to, żeby coś zamówić, tylko żeby skorzystać z toalety. To było okropne, gdyż Massimina zostawała wówczas na ulicy, wolna i niepilnowana.

Kiedy wyszedł z kawiarni po jednej z takich wizyt, zobaczył ją rozmawiającą z jakimś młodym człowiekiem i natychmiast pomyślał, że to już koniec. Przez przypadek spotkała kogoś z krewnych albo znajomych i zaraz wszystko się sypnie. Okazało się, że był to tylko amerykański turysta, pytający o drogę do Bazyliki. Massimina usiłowała mu odpowiedzieć w swojej fatalnej, łamanej angielszczyźnie. Zorientowawszy się w sytuacji, Morris odprawił gościa szybko:

- W prawo, w lewo, potem znowu w prawo i dalej prosto - rzucił, nie przejmując się, że nie zna wcale miasta, po czym stanowczo pociągnął Massiminę za sobą. W żołądku czuł mrowienie, a jego jelita były w tej chwili równie nieprzewidywalne jak angielska wiosna.

- Ty jesteś po prostu zazdrosny - oznajmiła Massimina uszczęśliwiona.

Najwyraźniej bawiła się lepiej niż kiedykolwiek przedtem, mimo wszystkich nieprzyjemnych wieści, którymi uraczył ją poprzedniego wieczoru: złe przyjęcie w domu Trevisanich, gwałtowna reakcja matki i tak dalej. Życzyła sobie lodów, i to zaraz: *stracciatella*, *amaretto* i koniecznie *bacio* (*Bacio*, *Morri!*), chciała, żeby objął ją ramieniem, chciała pójść do kina, chciała mieć zrobione manicure.

- Och, *Morri*, gdyby to wszystko nie kosztowało tak okropnie dużo.

Im była szczęśliwsza, tym trudniejsze i bardziej irytujące stawało się tłumaczenie, że ma biegunkę, stąd co chwila musi wpadać do kawiarni, żeby się wypróżnić nad kolejną, brudną, niehigieniczną dziurą w podłodze. To była wyłącznie jej wina (o, znowu poczuł kręcenie w brzuchu), bo upierała się przy tej żalnej, bezsensownej diecie. Ale Massimina roześmiała się tylko i powiedziała, że powinien nauczyć się dostrzegać humorystyczną stronę takich przypadłości. Okręciła się w śmiałym piruecie, od którego uniosły się fałdy nowej zielonej spódniczki, aż mężczyźni zaczęli się oglądać, żeby podziwiać jej nogi. *Morris* położył dłoń na jej biodrze. To nie było wcale niemiłe, czuć jej udo tuż przy swoim. Ale publicznych piruetów stanowczo należało unikać.

Do wieczora nerwowość i biegunka minęły, zupełnie jakby *Morris* przywykł do stąpania po kołyszącym się pokładzie. Po kolacji wymknął się z pensjonatu, obiecując wysłać kolejny list do matki (z pewnością mówiący o tym, jak bardzo jest jej przykro, że *Mamma* tak źle przyjęła nowinę i wyrzuciła *Morrisa* z domu).

Kiedy stojąc na rogu Giardino Salvi i Corso Andrea darł go na strzępy, czuł niewiarygodną wprost pewność siebie.

Jak elegancko w półmroku prezentowały się ogrody. Były tak klasyczne, tak typowo włoskie, z zapachem cyprysów i wodą szemrzącą w fontannach. Wspaniale, wspaniale się czuł. Musi namówić Massiminę, żeby wysłała kartkę do babci, to będzie takie miłe. Kochana staruszka pewnie już nie żyje; śmierć przynajmniej oszczędziła jej troski o wnuczkę (tak, był naprawdę ludzki i uważający!), ale pomysł z kartką rozczerli Mimi. Żeby wypełnić jakoś czas, który spędziłby na szukaniu skrzynki pocztowej w tak bałaganiarskim mieście jak Vicenza, wszedł do najbliższej trafiki i zaczął przeglądać kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Wybrał jedną, na której był wyrysowany człowiek zabandażowany po same oczy, co prawdopodobnie miało być dowcipne.

Uświadomił sobie, że większość rzeczy układa się po jego myśli. Najtańsze *pensioni*, przy których upierała się Massimina, stanowiły najprostszą możliwość wymigania się od pokazywania paszportu. Wystarczyło powiedzieć, że się go zgubiło albo że został skradziony. Pytać Massiminę o paszport nikomu nie przyszłoby nawet do głowy.

Zgodnie z południową etykietą kobiety nigdy nie pytano o nic. I bez względu na to, czy właściciel wierzył w te opowiadki czy nie, na koniec i tak człowiek dostawał pokój, bo tak naprawdę właściciela interesowała wyłącznie forsa. Poza tym w przeciwieństwie do lepszych hoteli w tanich pensjonatach nie było radia ani telewizji, więc nie istniało niebezpieczeństwo, że Massimina usłyszy jakąś informację o swoim zaginięciu. Gazety nie interesowały jej wcale, zresztą największe włoskie dzienniki ukazywały się głównie lokalnie i zwykle na pierwszej stronie umieszczały wiadomości ogólnokrajowe, a miejscowe w środku. Było wysoce nieprawdopodobne, aby gazety wychodzące w Vicenzy, a nawet któ-

ryś z quasi krajowych dzienników typu „Corriere della sera” albo „La Stampa”, zajmowały się porwaniem, które miało miejsce w Weronie, a jeśli nawet, to z pewnością nie dłużej niż dzień czy dwa. Na miłość boską, ten kraj miał mafię, terrorystów i obfitował w bardziej spektakularne porwania i inne dramatyczne przypadki, które jego małą przygodę redukowały nieledwie do zwykłego spaceru w niedzielne popołudnie (kiedy człowiek pomyślał o tym w ten sposób, po prostu nie mógł nie odczuwać wesołości). Na dodatek jeszcze zbliżały się wybory. (Inspektor Marangoni też pewnie nie zaprzęta sobie zbytnio głowy śledztwem. Ot, jeszcze jeden papier więcej do przełożenia między jedną a drugą filiżanką kawy.)

Czyli wyjąwszy szansę (może milion do jednego) przypadkowego natknięcia się na kogoś ze znajomych, mógł się czuć całkowicie bezpiecznie. Wystarczy nie spuszczać z oka Massiminy, uważać, żeby nie zadzwoniła do domu albo nie napisała jakiegoś listu w tajemnicy przed nim, a wszystko będzie dobrze. Prawdziwy urok całego przedsięwzięcia polegał na tym, że nikomu nie przynosiło ono krzywdy, a Massiminie nawet przeciwnie - dawało najpiękniejszy okres w życiu. Nie „zbecześci!” jej przy tym ani nic w tym stylu. Nie był przecież żadnym Kalibanem.

Pogwizdując, pokonywał ciemne schody pensjonatu. Miał zajęty umysł, w tym rzecz. Zajęty w stu procentach. Koniec z nudą i harówką, koniec z ogłupiającą beczynnością i psem budzącym go każdej nocy. (Teraz zabiłby tego psa, był tego pewien. Jeśli kiedykolwiek wróci do starego mieszkania, psa czeka gąbka nasączona sokiem z mięsa. Koniec z cierpieniem w milczeniu.)

- Ktoś jest szczęśliwy - zauważyła Massimina, zajęta przymierzaniem szaroparłowej spódniczki, czerwonego T-shirta i czerwonych pantofelków.

Morris urwał gwizdanie w pół tonu.

- A jak myślisz, dlaczego?

- Dlatego, że jesteś ze mną - odpowiedziała od razu. Był w tym element prawdy.

- Wyglądasz wspaniale - zapewnił ją.

- Dziękuję, Morri - powiedziała i zaraz dodała z nowym akcentem w głosie - Dziękuję ci bardzo.

- Ale za co? Za to, że powiedziałem, że świetnie wyglądasz?

- Nie, nie, za to wszystko, za te ubrania.

- *Cara*, przecież to ty za nie zapłaciłaś, nie ja.

- Tak, ale nigdy bym ich nie kupiła gdyby nie ty. Rozumiesz, co mam na myśli? Nie odważyłabym się. Nigdy przedtem nie kupowałam ubrań bez mamy.

Uniosła nad głowę złączone dłonie i znowu okręciła się dookoła, aż pokazały się majtki. Mógł tylko mieć nadzieję, że sprawy nie zaczną się komplikować.

- Morrees? -Tak?

- Wiesz co? Nigdy przedtem nie spałam tak dobrze, jak w ostatnich dniach.

- Naprawdę? To wyśmienicie.

- Czuję się taka odprężona.

Morris nie odpowiadał. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to z zazdrości. Zresztą co tu odpowiadać.

- Naprawdę. Nie masz pojęcia, jakie to okropne, musieć spać z matką.

- Mogę sobie wyobrazić.

Massimina zaczęła się rozwodzić nad szczegółami czyniącymi noc z Signorą Trevisan tak nieprzyjemną, ustawicznymi wędrówkami do łazienki i chrapaniem (pierdzeniem także? - zastanowił się przelotnie Morris), kiedy nagle przyszło mu do głowy zadać jej jedno pytanie.

- A czy miewałaś kiedyś złe sny?

Jeszcze dobrze nie przebrzmiało, kiedy zdał sobie sprawę, że wywołała je podświadoma chęć zwierzenia się - tak naprawdę szukał pretekstu, by opowiedzieć jej o własnych onirycznych udrękach. Lecz wraz z tą świadomością przyszła i pewność, że nigdy, przenigdy nie wolno mu odkryć przed nią swoich koszmarnych wizji, chociażby tych z ostatniej nocy. Przemocy, upodlenia. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek śniło mu się coś równie wstrząsającego. To pewnie z powodu warunków, w jakich przyszło mu sypiać. Prawdę mówiąc, miał już dosyć kołdry rozkładanej na podłodze.

Massimina zanurzyła dłonie w jego włosach. Gest tak nieskrępowanego uczucia był dla jego ciała niczym elektryczny szok.

- Czasami. Za to ty ostatniej nocy śmiałaś się przez sen.

Śmiałaś się?

Czy to możliwe?

Dobrze, że przynajmniej nie mówił.

- Morrees - powtórzyła Massimina, nie mając na myśli nic konkretnego i jednocześnie w tym jednym słowie zawierając wszystko. Zamknął oczy, udając całkowite odprężenie.



Leżeli na plaży w Rimini, Morris pod parasolem, oddalona od niego o stopę albo dwie Massimina w pełnym słońcu. Morris wstydził się trochę swojej trupio-bladej, angielskiej skóry. Od lat tak naprawdę nigdy się nie opalał, więc teraz kupił sobie sięgające niemal kolan bermudy, żeby osłonić się choć trochę. Massimina miała na sobie biało-zielony, jednoczęściowy kostium, przy którym się upierał, twierdząc, że ten model jest jakby dla niej stworzony (przynajmniej nie przyjdzie jej do głowy zdejmować stanika), i żółty czepek, dla ochrony nowej fryzury.

Powietrze drgało od upału, pod parasolami i na leżakach koczowały zastępy piękności i bestii, roześmianych i rozplotkowanych; od czasu do czasu od grupy odrywała się jakaś sylwetka, żeby zanurzyć się w chłodnych jeszcze wodach Adriatyku. Powietrze przesycił intensywny zapach olejku kokosowego, wysoko w górze dwupłatowiec ciągnął za sobą wielką reklamę Crodino. Spod parasoli oczy starszych mężczyzn strzelały za dziewczętami. Komu by się śniło szukać ofiary porwania na plaży, w tłumie rozbawionych, spragnionych rozrywki urlopowiczów?

- A poza tym, jak tu się wypaść przy kimś, kto leżenie w łóżku po godzinie siódmej rano uważa za grzech - podjęła Massimina. - Sama jestem katoliczką, wiem, ale co to szkodzi poleżeć sobie trochę dłużej w niedzielę?

- A właśnie, przykro mi, że nie mogłaś pójść na mszę w niedzielę - powiedział Morris. - Gdybym pomyślał o tym wcześniej, nie zostawiłbym twojego dresu na noc do zamoczenia.

Massimina roześmiała się tylko. (No i niech ktoś powie, że ona nie jest teraz szczęśliwa.)

- Och, jestem pewna, że Bóg nie miał mi tego za złe. Bóg to nie stary, zasuszony belfer, zainteresowany wyłącznie nakazami i zakazami. Wie, co czuję w sercu, i to wystarczy.

No tak, żadna z niej katoliczka. Protestantka, i tyle. Niedługo zacznie głosić, że mogą spokojnie pójść ze sobą do łóżka, o ile w swoich małych serduszkach czują, że to jest właściwe.

Po chwili milczenia Massimina zapytała o jego rodzinę i Morris, bez żadnego właściwie powodu zaczął jej opowiadać o wypadku samochodowym, w którym zginęła jego matka. Nauczył się wygłaszać tę historię z całkowitym opanowaniem, bez drżącego głosu czy zaczerwienionych oczu, wiedząc, że w ten sposób wywiera większe wrażenie.

- Mama wracała do domu ze spółdzielni, wioząc w wózku zakupy na cały tydzień, kiedy jakiś idiota ze słabym sercem stracił panowanie nad kierownicą i wjechał na chodnik. Samochód dosłownie wgniółł mamę w ścianę Barclays Bank. - (Czyż wszyscy nie zostajemy wgniecenii w ścianę tego albo innego banku?)

Morris wsparł się na łokciu i przejechał językiem po spierzchniętych wargach. Koniecznie musi kupić jakiś balsam do ust. To przez ten upał i morską wodę. Sól wysusza.

- I tak zostaliśmy tylko we dwóch, ojciec i ja. Massimina milczała przez chwilę, najwyraźniej nie

wiedząc, co powiedzieć. W końcu odezwała się:

- Zobacz, ty straciłeś matkę, a ja ojca. Potem dodała jeszcze:

- Bardzo bym chciała poznać twojego tatę. Mam nadzieję, że nas odwiedzi. Musi być bardzo dzielny, skoro doszedł do siebie po tej tragedii.

A co miał zrobić? - zapytał w duchu Morris. Zabić się? To nie ojciec. Wstawał rano, szedł do pracy na siódmą trzydzieści, jadł lunch w kantynie, wracał do domu, wypijał herbatę, szedł do pubu pograć w rzutki i siedział tam aż do zamknięcia. Tak samo jak przed wypadkiem. Jakież znaczenie miało dla niego, czy matka jest w domu czy nie? Jeśli już, to uznał pewnie, że teraz ma na drodze o jedną przeszkodę mniej. Jedynym, który odczuł brak matki, był Morris.

- On mną pogardzał - rzucił, raczej nierozważnie.

- *Cosa, Morri?*

- Ojciec. Zwykł powtarzać, że skoro nie poszedłem do pracy w wieku szesnastu lat, nie jestem prawdziwym mężczyzną. - W końcu dlaczego nie miałyby tego wysłuchać? - Gardził mną też dlatego, że mnóstwo czasu spędzałem nad książkami. Miał obsesję na temat prawdziwych mężczyzn, pracy i kobiet. Najpierw powtarzał, że jest socjalistą, a potem wymagał od każdego, aby zginał kark, pracując od świtu do nocy dla jakiegoś kapitalistycznego kandydata do zawału serca (jak ten, który zabił matkę, na przykład), zupełnie jakby...

Jednak wypowiedziane słowa przestawały oznaczać cokolwiek. Nie przybliżyły go ani o krok do wyjaśnienia całego problemu. Podobnie było z taśmami. Sedno gdzieś umykało, pozostawały puste słowa.

Oczywiście Massimina nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale o to doprawdy nie można jej było winić. W końcu trudno oczekiwać od ofiary porwania, by zabawiała człowieka inteligentną, dodającą otuchy rozmową i znajdowała lekarstwo na wszystkie jego bolączki, prawda? To się jeszcze nigdy nikomu nie udało,

więc dlaczego miałby się spodziewać pomocy akurat po Massiminie. Mimo to poczuł nagle, że jest bliski płaczu.

Przez chwilę milczeli oboje, w końcu Massimina odezwała się.

- To trochę tak jak ze mną i z mamą, która tak bardzo upierała się przy moich studiach, choć to nie miało najmniejszego sensu. Tyle że w waszym przypadku było akurat odwrotnie. Nie smuć się, Morri - dodała jeszcze i nagim ramieniem oplotła jego barki, tak że ich rozgrzane ciała stykały się teraz ze sobą. Pocałowała go wargami i językiem, w kącik ust. Morris poczuł smak soli.

- Och, Morri - szepnęła - jestem taka szczęśliwa, że nie muszę więcej zdawać żadnych egzaminów.

Największy problem polegał na tym, że bezustannie musiał jej pilnować, przez co nie pozostawało mu zbyt wiele czasu dla siebie. A tyle roboty go jeszcze czekało! Kiedy więc Massimina oznajmiła, że jest jej za gorąco i chciałaby jeszcze raz zanurzyć się w wodzie, Morris odmówił przyłączenia się do niej. Powiedział, że z powodu delikatnej skóry nie chce kąpać się zbyt często, i kazał iść jej samej, obiecując, że będzie na nią uważał.

Gdy tylko popędziła do wody, dołączając do tłumu innych spragnionych kąpielni plażowiczów, wyciągnął z jej torby plażowej nożyczki do paznokci i przystąpił do pracy. Wyszukiwał w egzemplarzu „Panoramy” odpowiednie wyrazy, wycinał je i wkładał między dwie starannie złożone strony gazety. Nie było to wcale takie proste; nigdzie na przykład nie mógł znaleźć „owinięte”, brakowało mu „torby podręcznej”, „zasuwanej na zamek” i „półki na bagaże”. Będzie musiał kupić jakieś magazyny. Albo może poskładać brakujące słowa z poszczególnych liter? To by mu zajęło całe wieki. Cóż, przede wszystkim cierpliwość. Właśną ręką nie wolno mu napisać ani jednej sylaby. Nie tylko ze względu na cha-

rakter pisma. Taka słowna składanka pomoże ukryć wszystkie jego językowe niedociągnięcia. W którymś z hoteli będzie musiał pożyczyć maszynę do pisania do zaadresowania koperty. Powie, że nie chce ręcznie adresować przesyłki zawierającej służbową korespondencję. Adres oczywiście Boba, w żadnym wypadku Trevisanich, żeby policja nie dostała listu w swoje ręce. Potrzebna mu będzie książka telefoniczna Werony, aby go zdobyć (albo podsunie Massiminie, żeby napisała do gościa kartkę). Musi też pójść albo zatelefonować na stację i dowiedzieć się o godziny odjazdu ekspresu Mediolan-Palermo. Pójść będzie lepiej, bo przynajmniej zobaczy wszystko wypisane. Żadnego pośpiechu, żadnych gorączkowych działań. Czas przecież nie pracuje przeciwko niemu. Przy tym tempie wydawania pieniędzy starczy im na jakiś miesiąc. Po południu kupi werońską „Arenę” (najlepiej na stacji; dwie pieczenie na jednym ogniu). Wczoraj powinni byli otrzymać jego pierwszy list i dzisiejsza gazeta pewnie już o tym napisze.

**PORWANIE CZY OKRUTNY ŻART. ROSNĄ OBAWY O LOS MASSIMINY.** Tego typu bzdury. Musiał jednak wiedzieć, do jakich wniosków doszła policja. W gruncie rzeczy dla niego byłoby korzystniejsze, aby całą sprawę uznano za zwykłe porwanie. Sprowadzono by specjalne oddziały, o których zawsze tyle rozpisywały się gazety, zaczęłoby się przeczesywanie milionów grup przestępczych, które kiedykolwiek były zamieszane w kidnaping, węszenie za wrogami rodziny albo za ludźmi, których interesy mocno kulały ostatnio, i tak dalej, i tak dalej. Policja nie miałaby pojęcia, że tym razem ściga prawdziwą indywidualność, mistrza nad mistrzami. Przetrzęsałaby każde opuszczone domostwo wokół Werony (słusznie postąpił, wysyłając list właśnie z tego miasta), bo przecież nikt nie szuka ofiary porwania po hotelach, choćby i najtańszych, prawda? A zresztą tak naprawdę wcale jej nie porwał. Listu się wyprze - nigdy nie uda im się udowodnić, że to on go napisał - i co wtedy będą mieli przeciwko niemu?

Nic. Jedno kłamstwo wobec inspektora Marangoniego i rodziny. Zniknie wszystkim z oczu i policji nawet nie będzie się chciało go ścigać.

- *Morri, ti presento Sandra. Ma che chosa stai facendo con...?*

- Co takiego? - Mimo upału Morris zadrżał nagle. Gwałtownie zaatakował nożyczkami stronę, z której przedtem tak pracowicie wycinał. - Usiłowałem sobie przypomnieć te wycinanki z dzieciństwa, ale jakoś mi to nie wychodzi.

- Morrees, Sandra; Sandra, Morrees.

Morris zerwał się na równe nogi; pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa i między pośladkami. Kim, na Boga, mogła być ta kobieta, wysoka, o płowych włosach, z wielkimi końskimi zębami, wystającymi chyba na milę, i ostrym, arystokratycznym nosem? Automatycznie wyciągnął do niej rękę, mając nadzieję, że grymas, jaki udało mu się przywołać na twarz, przypomina czarujący uśmiech. Boże, spuścić tę dziewczynę z oka choćby na pół godziny, a od razu jest gotowa zaprzyjaźnić się z połową plaży. Chyba że to ktoś z jej znajomych z...

- *Piacere* - wykrztusił. Dłoń obcej kobiety była mokra od wody, jego własna lepka od potu. Będzie się starał sprawiać wrażenie powściągliwego i nieśmiałego, gdyż to zwykle odstręczało od niego ludzi. - *Scusi se sembro un po'...*

Massimina wybuchnęła śmiechem.

- Morri, to przecież Angielka. Dlatego właśnie ją zaprosiłam, żeby cię poznała. To Angielka!

- Miło mi panią poznać - rzucił opryskliwie. - Obawiam się, że nie zorientowałem się w pierwszej chwili.

Okazało się, że kobieta zapytała Massiminę o prysznic. (Dlaczego tę głupią dziewczuchę wiecznie ktoś o coś pytał? Do niego jakoś nigdy nie zwracano się z żadnym pytaniem.) Tak więc Massimina zaprowadziła tamtą do łazienek i nawet skorzystały z jednego prysznicza, bo miały przy sobie tylko sto lirów. Opowiedziała jej wszystko o Morrisie, że jest taki typowo angielski, że kryje się w cieńcu niczym kret, podczas gdy wszyscy dookoła wystawiają się na słońce. A potem zaprosiła ją, żeby mogła go poznać, ponieważ wakacje są właśnie po to, żeby poznawać nowych ludzi i dobrze się bawić, prawda? Morris z pewnością będzie zachwycony, mogąc porozmawiać po angielsku z prawdziwą Angielką.

- Z Bar net, a właściwie z Hadley. To pod Londynem.

Złoty pas, pomyślał, Morris. Połowa członków konserwatywnego gabinetu wyprowadza tam swoje psy, pod warunkiem że nie pada, bo w czasie deszczu z psami wychodzi służba.

- Ja pochodzę z South Ken. - Akurat możesz w to uwierzyć.

Sandra nosiła niebieskie bikini, które wisiało na czymś, co nawet trudno było nazwać biustem. Za to tyłek miała stanowczo za duży. Jej opalenizna miała kolor żółto-cistobrazowy. Pewnie sztuczna, pomyślał (ale może to była tylko zazdrość). Poruszała się z kokieterią. Liczyła sobie jakieś dwadzieścia cztery lata, czyli była znacznie starsza od Massiminy i miała kiepską cerę, z mocno rozszerzonymi porami. Usiadła na ręczniku obok Morrisa i zaczęła opowiadać o swoim uwielbieniu dla słońca. Ze względu na Massiminę przeszła z angielskiego na okropny, łamany włoski.

- *Vengo in Italia ogni anno.* — Zabrzmiało to jak „ano”, ale Massimina nie roześmiała się.



Morris usiłował się zrelaksować. W końcu co złego się stanie, jeśli dziewczyny chwilę sobie porozmawiają? Turyści, nawet jeśli nieźle mówią po włosku, co w przypadku biednej Sandry akurat nie wchodziło w grę, zazwyczaj nie czytują lokalnej prasy. Może lepiej niech Massimina pokonwersuje sobie z tą Angielką, niżby miała uganiać się swobodnie za jakimiś Włochami. Uznajmy to za szczęśliwe zrządzenie losu.

- Od jak dawna tu jesteś? - zwrócił się do Sandry.

- Ja? Och, od niedawna - odparła zębata kobieta.

- Przyjechaliśmy z Wenecji dziś rano. - I zaraz zaczęła się rozwodzić, jak bardzo oczarowała ją *La Serenissima*, słońce, cytadela, falująca woda... - *Per me è stato meraviglioso!*

Morris dostrzegł nadarzącą się sposobność.

- Idę kupić dzisiejszą gazetę - przerwał raptownie.

- Zostawiam was, żebyście mogły sobie poplotkować.

Starannie złożył egzemplarz „Panoramy”, tak aby nie wypadły z niego wycięte słowa, i wziął go ze sobą. Miał nadzieję, że jego odejście wypadło na tyle niegrzecznie, by zniechęcić Angielkę.

Za to Massimina okazała się odporna na wszelkie afronty.

- Przynieś nam lody, Morri, dobrze? Sandra, jaki chcesz smak?

- *Zabaglione* - zawołała za nim Miss Hadley, niemal nie wymawiając „g”.

"Morris z trudem brnął przez rozgrzany piach. Plaża wokół niego tętniła życiem, rozbrzmiewała śmiechem, okrzykami i odgłosami grających radiodbiorników. Musiał uważać na śmigające w powietrzu piłki i co chwila przestępować

przez czyjeś naoliwione ciało. Przystanął, aby popatrzeć na dwóch wyrostków w zapiaszczonych kąpielówkach, uganiających się za piłką, potem znowu na leżącą na brzuchu dziewczynę, z jasnym puszkami pokrywającym delikatną skórę na ramionach. Jutro koniecznie musi kupić okulary przeciwsłoneczne. Postara się rozluźnić, zrelaksować trochę. Dlaczego nigdy mu się to nie udawało?

Dotarł do stopni wiodących na ulicę i wsunął stopy w sandały. Na dworze było stanowczo za gorąco. Za duży upał, by dało się logicznie myśleć. Teraz musi pognać do najbliższego kiosku z gazetami, kupić „Arenę” (o ile oczywiście dostanie) i „Corriere della sera”. „Arenę” przejrzeć i od razu wyrzucić, a z „Corriere” wrócić na plażę, kupując jeszcze lody po drodze. Nie mógł zostawiać Massiminy zbyt długo z tamtą. Musi odciągnąć ją jak najprędzej i potem pójść na lunch. Jeśli szczęście mu dopisze, może uda mu się ją namówić na zjedzenie ryby. W końcu są nad morzem.

Przeszedł na drugą stronę ruchliwej, nadmorskiej ulicy i skierował się do centrum, nadal w obezwładniającym upale. Jakże chętnie zwolniłby teraz kroku i przysiadł gdzieś samotnie nad zimnym piwem, ale absolutnie nie miał na to czasu. Obszedł aż trzy kioski, zanim udało mu się kupić „Arenę”.

Już miał zacząć kartkować gazetę w poszukiwaniu wiadomości lokalnych, kiedy jego wzrok padł na niewielki nagłówek na samej górze frontowej strony:

**ODNALEZIONO UBRANIE ZAGINIONEJ DZIEWCZYNY.**

Nie posiadał się ze zdumienia.

Czerwony dres Massiminy Trevisan, która zniknęła w piątek wieczorem ze swojego domu w Quinzano, został znaleziony wczoraj rano w śmietniku na stacji

kolejowej w Vicenzy. Franco Galeardo, który opróżnia dworcowe kosze na śmieci już od ponad dziesięciu lat, powiedział: „Od razu zauważyłem, że dres jest w całkiem dobrym stanie, i postanowiłem go zatrzymać. Pokazałem go żonie, myśląc, że można go przecież wyprać i będzie w sam raz na naszą córkę. Żona powiedziała mi jednak, że w lokalnych wiadomościach podawali, że policja poszukuje zaginionej dziewczyny w czerwonym dresie, więc od razu zadzwoniłem na posterunek”.

Po kilku godzinach w policyjnym laboratorium ustalono, że przyczepione do dresu włosy są takie same jak te, które znaleziono w pokoju Massiminy.

Czytaj w środku numeru: BÓL RODZINY, KTÓRA CZEKA.

Morris przeszedł przez ulicę, wpadł do pierwszego napotkanego baru i zamówił podwójną szkocką z lodem. Ciężko usiadł na barowym stołku. Wyrzuciła dres! Do kosza na śmieci w miejscu publicznym! Nic mu nie mówiąc, na dodatek! (I tak, dziękować Bogu, że nie zostawiła go w pokoju!) A jeśli na dresie są także jego włosy? Wystarczy jeden jasny włos. Czy zaraz pierwszego dnia nie oparł głowy o jej ramię? A jeśli potrafią też zbadać łupież? Na pewno na dresie znalazło się kilka płatków jego łupieżu. Nie ma siły, człowiek zawsze rozsiewa dookoła jakieś strzępki siebie samego. To po prostu nieuniknione.

Jednym łykiem dokończył drinka i otworzył gazetę na środkowej stronie. Szybko przebiegł wzrokiem kolumny.

...brak śladów krwi, ale policja obawia się najgorszego...

A list? O liście ani słowa. Widocznie poczta jak zwykle nie dopisała. Trzy dni, a list jeszcze nie dotarł. Następnym razem trzeba będzie wysłać ekspresem. Chyba że z jakiegoś powodu policja nie poinformowała prasy o nadejściu listu.

W lustrze między butelkami z alkoholem uchwycił swoje odbicie. Twarz zaczerwieniona od upału, szkockiej i poirytowania, włosy nastroszone i sztywne od soli. Po prostu takie jego szczęście. Ze wszystkich koszy na śmieci musiała wybrać akurat ten opróżniany przez chciwą gnidę polującą na używane ubrania. (I w dodatku dla własnej córki! Gdyby on, Morris, kiedykolwiek miał mieć dzieci, dawałby im wszystko, co najlepsze. Inaczej po co w ogóle sprowadzać je na świat? Po co ojciec sprowadził jego na ten świat?)

Podniósł się i opuścił bar, gotując się z wściekłości.

- Ty jesteś po prostu zazdrosny. On wcale nie był mną zainteresowany. On tylko...
- Nie idę z nimi na żaden obiad.
- Od kilku dni namawiasz mnie na wyjście do restauracji, a kiedy się wreszcie zgodziłam, ty nie masz ochoty. Daj spokój, Morri.
- Z nimi nie pójdę. Jeśli mamy iść, to sami!

Jego życie stanowczo przeradzało się w farsę. Prawdziwe porwanie, z przepaską na oczy, namiotem na środku pokoju i niewypuszczanym z dłoni rewolwerem, dawałoby człowiekowi przynajmniej przyjemne poczucie, że to on naprawdę rządzi. Gdyby ojcu kiedykolwiek przyszło do głowy kogoś porwać, z pewnością rozegrałby to w ten sposób, a metodę Morrisa nazwał pedalską.

Massimina wcierała balsam w jego spieczony kark (jej wina), w tanim pokoiku, w którym roiło się od much. Morris był pewien, że pod idiotyczną, modną trwałą z ogromnym lokiem spływającym na wyskubaną brew uśmiecha się łagodnie. Ona naprawdę myślała, że jest zazdrosny. Doprawdy próżność kobiet nie zna granic. Teraz, kiedy miała wymyślną fryzurę i kilka nowych łaszków, uroiła sobie, że jest samą Wenus, i przez całe popołudnie ciągała go po sklepach w poszukiwaniu perfum i kosmetyków. („Mamma nigdy nie pozwalała mi kupować kosmetyków, jakie bym chciała. Musiałam podbierać siostrom".) A jeszcze dwa dni wcześniej uszczęśliwiała ją perspektywa spędzenia całego czerwca, nie mówiąc już o lipcu, a może i o sierpniu, pocąc się jak świnia w czerwonym dresie.

- Co u licha zrobiłaś ze swoim dressem? - wybuchnął.

- Wyrzuciłam go.

- Ale dlaczego, na litość boską?

Gniew pomógł mu zamarkować konieczne w tej sytuacji zdumienie. Błyskawicznie odwrócił głowę. Massimina uśmiechała się. Uduś ją natychmiast, pomyślał nagle. Teraz. To załatwi sprawę. Potem wystarczyłoby tylko pozbyć się ciała, odebrać okup i mógłby spokojnie wracać do swojego mieszkania w Weronie, bez tego całego zamieszania.

- Ale dlaczego? Tyle gędzisz o konieczności oszczędzania, a potem wyrzucasz zupełnie przyzwoity ciuch.

Uduś tę dziewczynę. To było dziwne, ale wraz z tą straszliwą myślą całe jego ciało ogarnęła nagła fala gorąca. (Akurat kiedy zaczynał ją lubić. Kiedy nawet zaczynał się przelotnie zastanawiać, czy to aby nie miłość - podczas tamtego spaceru wzdłuż nabrzeża, kiedy roześmiana przycisnęła biodro do jego biodra.) Uduś ją. Nic prostszego. Kogo by to tak naprawdę obeszło? (Czy życie po śmierci matki nie stało się prostsze, mimo całej jego ostentacyjnej żałoby, mimo że była jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochał? Skończyły się konflikty, skończyło się poczucie winy z powodu co-mama-by-powiedziała. Poczul się wolny. Może wszyscy kochankowie czują się szczęśliwsi, kiedy ktoś, kogo kochają, umiera?) Zabij ją. Ona jest zerem. Zawaliła wszystkie egzaminy. (Czy Morris kiedykolwiek oblał jakiś egzamin? I proszę, gdzie go to zaprowadziło?) Zresztą zasłużyła sobie na to.

Ten list, który napisała do matki („...może czasami kłamie”). A na dodatek jeszcze wyrzuciła dres.

Nagle poczuł wzbierającą w mózgu falę mdłości, biorącą się z gniewu, poparzenia słonecznego i nieznośnego, zatechłego powietrza w najtańszym z tanich pokoików, gdzie roiło się od much. Z łatwością mógł to zrobić, był od niej znacznie silniejszy. Wystarczyłoby tylko...

- Powiedziałaś, że źle w nim wyglądam. Postanowiłam nosić tylko takie ubrania, w których ci się podobam. Ja...

Zresztą i tak co miał z nią zrobić, kiedy sprawa się zakończy? Założmy, że zdobędzie te pieniądze i co wtedy...

- Widzisz, zrobiłam to dla ciebie.

Massimina klęczała na łóżku, na którym leżał rozciągnięty na brzuchu, i wcierała balsam w jego udręczone plecy, rozsmarowując go delikatnie na ramionach, tam gdzie poparzył się najsilniej.

- Masz wspaniałe plecy - wyszeptała, pochylając się do jego ucha.

Zgiął spotniałe palce ułożonych nad głową dłoni, czując na przemian fale zimna i gorąca. Głos Massiminy brzmiał ochryple:

- Tak bardzo chciałabym kochać się z tobą. Morri, gdybyś tylko...

Nie poruszył się. Z każdą chwilą robiło mu się goręcej.

- Nie idę na żaden obiad z tamtymi. Wgapiął się w ciebie przez cały czas.

- Będzie tak, jak mówisz, szefie - roześmiała się. Jej śliskie palce przesunęły się po jego natłuszczonych balsamem plecach i wśliznęły się pod gumkę bermudów.

Morris poczuł, że cały sztywnieje.

-Morri...

Jeszcze chwila, jeśli ona tylko... Żar bijący od jego ciała stawał się nie do zniesienia. Jeśli ona...

Rozległo się pukanie do drzwi. Morris odwrócił się na plecy i poderwał gwałtownie, niczym ktoś przyłapany w połowie aktu miłosnego. Podobnie zareagowała Massimina. Zeskoczyła z łóżka z taką szybkością, że uderzyła go przegubem w szczękę.

- *Avanti!* - Któż to mógł być, na litość boską? Policja? Nakrył rękami twarz. Z wargi mu krwawiło, widocznie jeden z pierścionków Massiminy uderzył go w usta.



- *Avanti, prego!*

W drzwiach stanęła Sandra i jej przyjaciel Giacomo.

Pozbywszy się egzemplarza „Areny”, Morris wrócił na plażę, niosąc trzy pudełka lodów zabaglione. Ujrzał coś, czego się absolutnie nie spodziewał (a przecież uważał się za tak bystrego i przewidującego). Przyjaciela Sandry. Włoskiego przyjaciela Sandry. Przypomnił sobie, że kiedy przedtem mówiła „my”, wyobrażał sobie angielskiego przyjaciela czy też przyjaciółkę, a w najgorszym razie całą grupę Anglików, z których żaden nie mógł stanowić najmniejszego nawet zagrożenia. Było nieprawdopodobne, by któryś z angielskich turystów słyszał kiedykolwiek o porwanej Massiminie Trevisan. Natomiast z włoskim przyjacielem sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. A już zwłaszcza z takim, który znacznie więcej uwagi zdawał się poświęcać Massiminie niż własnej towarzyszce. (Morris wcale nie uważał, by Massimina była aż tak atrakcyjna, by zasłużyć sobie na tyle względów Włocha - owszem, biust miała niesamowity, a tu akurat biedna Sandra nie miała się czym pochwalić.

Giacomo był o parę ładnych lat starszy od Sandry i sporo niższy. Kulał też wyraźnie i nosił długie spodnie, pewnie żeby ukryć swój problem z nogami. Nieodłączny, wymuskany włoski wąsik miał mocno szpakowaty. Co chwila strzelał palcami i zacierał ręce, nie dopuszczając nikogo do głosu, a z jego ust płynął nieprzerwany potok żartów, złośliwych uwag i aluzji na granicy dobrego smaku. Okazało się, że był fotografem, artystą-fotografem, co tłumaczyło, dlaczego Panna-Złoty-Pas-Afektowany-Głosik-Hadley wzięła sobie takiego karzełka, pomyślał Morris, podczas gdy część jego umysłu nadal była zajęta rozważaniem, czy znalazłszy dres, policja okaże się na tyle sprytna, by przeszukać hotele i *pen-*

*sioni* w Vicenzy, czy też nie będzie sobie zawracała tym głowy, obstając przy hipotezie porwania. Niechby już wreszcie dostali jego list. I gdyby tylko ów list był napisany w nieco poważniejszym tonie. Bez tych wszystkich uników i wykrętów, przez które mógł zostać uznany za zwyczajny żart. Ponieważ jeśli policja tak właśnie go potraktuje, skupi się przede wszystkim na hipotezie „ucieczki”, a to oznacza sprawdzanie w hotelach. Cholera, cholera, cholera!

- Z Neapolu — mówił Giacomo, zajądając się lodami, które Morris kupił dla siebie. - Po dobrych dziesięciu latach wróciłem wreszcie na stare śmieci i obecnie mieszkam w Weronie.

W Weronie? Na ułamek sekundy Morris skamieniał, po czym z gracją słonia w składzie porcelany wtrącił się do rozmowy. Zanim Massimina zdążyła przekłnąć swoje *zabaglione* i zacząć dociekać, czy aby nie mają jakichś wspólnych znajomych, zapytał z desperacją.

- Od dawna spędzacie wspólnie wakacje?

Giacomo zmieszał się na moment, niepewny, czy ewidentnie fałszywy ton w głosie Morrisa oznacza jedynie brak obycia towarzyskiego czy też celową niegrzeczność. Sandra jednak zbyt słabo mówiła po włosku, by wyczuć podobne subtelności.

-Od tygodnia - odparła. - Najpierw cztery dni w Wenecji, potem dwa w Rawennie...

Morris odetchnął. Czyli wyjechali, zanim jeszcze zaczęła się cała afera. Teraz tylko szybko się ich pozbyć i można spokojnie pożeglować dalej. Sandra właśnie opowiadała, jak bardzo zachwyciły ją mozaiki w Rawennie.

- Naprawdę zapierające dech w piersiach - zakończyła po angielsku, zwracając się bezpośrednio do Morrisa.

Spojrzenia, jakimi Giacomo, z typowo południowym, lubieżnym uśmiechem, obrzucał piersi Massiminy, i to miejsce, gdzie jej biało-zielony kostium kąpielowy zwęzał się, schodząc od bioder ku kroczu, stawały się coraz bardziej ambarasujące. A to mały kuternoga, wieczny nienasyceniec. Zupełne przeciwieństwo jego, Morrisa, który potrafił doskonale obywać się bez kobiet. Przynajmniej nie był niewolnikiem zwierzęcych instynktów.

- Przepraszam - powiedział teraz, podnosząc dłoń do czoła. - Obawiam się, że nie czuję się najlepiej. To pewnie z przegrzania. Mimi - dodał, zwracając się do Massiminy - niestety muszę pójść i położyć się na trochę w chłodzie i cieniu. Idziesz?

- Zjedźmy razem kolację - zaproponował Giacomo z ożywieniem.

- Dobra. O siódmej na końcu nabrzeża - zgodził się Morris, wyłącznie po to, aby się ich pozbyć. I pociągnął za sobą Massiminę przez całe miasto, aż do ich pensjonatu.

- Jak nas tu odnaleźli, do cholery? - wysyczał wściekle Morris, gdy tylko zajęli miejsca z tyłu samochodu.

Postawiony przed faktem dokonany - tamtą dwójką w progu pokoju - nie miał innego wyjścia, tylko przyjąć zaproszenie na kolację w podmiejskiej restauracji. Czuł się jak ktoś, kto musi przebiec ścieżkę zdrowia między dwoma rzędami chłuszczących, zanim znowu będzie mógł oddychać swobodnie. Cały wieczór na wstrzymywanym oddechu.

- Kiedy poszedłeś kupować lody, powiedziałam Sandrze, gdzie mieszkamy.

- Na miłość boską, dlaczego przyszło ci do głowy rozpowiadać o tym wszystkim?

- Ale dlaczego nie? - sprzeciwiła się żywo. Faktycznie, dlaczego nie.

Zrobienie makijażu kupionymi po południu kosmetykami, zajęło Massiminie dobre pół godziny. Wbrew swojemu estetycznemu osądowi Morris namówił ją na ostre kolory, krzyczące błękity i czerwienie, w nadziei, że nadadzą jej pospolity wygląd, uczynią niepodobną do dawnej Massiminy. Tymczasem Massimina nałożyła je delikatnie i niezwykle umiejętnie, niemal idealnie podkreślając swoją naturalną urodę, przez co jej twarz upodobniła się do twarzy klasycznej piękności ze zdjęcia, które gazety opublikowały zaraz pierwszego dnia i które bez wątpienia będą przedrukowywać przy każdej wzmiance dotyczącej porwania. Morris poczuł, że ogarnia go rozpacz (owszem, zmienił ją, ale zupełnie nie w tym kierunku, co trzeba). Był gotów się założyć, że do tej kameliowej, olśniewająco mlecznej cery, usianej piegami niczym okruszkami chleba najodpowiedniejsze będą delikatne, pastelowe cienie, tymczasem Massimina wyglądała niczym anioł w neonowych czerwieniach i błękitach, skupiając na sobie zupełnie niepotrzebną uwagę. Uwagę Giacoma. Giacoma weroneńczyka.

- A nie przyszło ci do głowy, jak szybko wiadomość o tym, gdzie mieszkamy, może dotrzeć do twojej matki? - I jeszcze uperfumowała się tak obficie. Zapach perfum zdawał się wypełniać cały samochód. - O tym nie pomyślałaś?

- Nie - roześmiała się, wtulając się w jego ramiona.

- Morri, naprawdę nie ma powodu, aby wpadać w manię prześladowczą. Niech sobie dociera. Powiemy, że już za późno, że jestem w ciąży i musimy się pobrać.

- Bo my uciekliśmy - oznajmiła głośno jadącej z przodu dwójce. - Moja mama nie lubi Morreesa, więc zdecydowaliśmy się na wspólną ucieczkę.

Morris z całej siły wbił palce w udo, aż poczuł tętniącą gniewem krew.

- Zamknij się - syknął.

Samochód Giacoma gładko sunął wąską drogą, wijącą się zboczami Apeninów. Słońce wyzierające spomiędzy szczytów rzucało ostre błyski. Giacomo chciał ich zabrać do restauracji na stromym, tarasowatym zboczu tuż poniżej San Marino, gdzie był już kiedyś i gdzie bardzo dobrze karmili.

- Właściwie to my też uciekamy, prawda, Giacomo? - powiedziała Sandra, mierzwiąc siwe, kręcone włosy na karku kochanka.

- *Proprio cosi* — zgodził się Giacomo. - Niczym te turkawki. - I nie bacząc na zakręt na drodze, odwrócił się do tyłu i mrugnął znacząco.

Co oznaczało, że łajdak zdradza swoją biedną żonę, pomyślał Morris. Podobnie jak kiedyś ojciec matkę. Ile czasu upłynęło od jej śmierci, by ta Eileen już leżała rozchichotana na kanapie na dole, usiłując wyjąć rękę taty ze swoich majtek? Cartuccio pewnie robił dokładnie to samo. Nieżyjąca żona, rzeczywiście. Do diabła, jak niby miał to sprawdzić? Nieżyjąca, bo może sam ją zabił. To bardzo prawdopodobne. Kiedy samochód brał kolejny zakręt, niemal przywierając do zbocza, Morris zerkał w przepaść po przeciwnej stronie. A gdyby tak skrócić odrobinę kierownicę, a samemu wyskoczyć, zanim...? Niestety, to był dwudrzwiowy model, a on siedział z tyłu. (Czy on oszalał, czy co? W końcu cóż on takiego zrobił? Uciekł z nią, napisał list z pogrózkami i skłamał policji. To była wyłącznie ich wina, skoro tak mu wszystko ułatwiali. Inaczej nawet by się za to nie brał.)

W perspektywie ukazało się San Marino. O tysiąc stóp nad nimi oblane różowym zachodem słońca obwarowania i zamki jak z bajki wyrastały wprost z kamiennego zbocza, wyglądając niczym przesłodzona ilustracja do *Władcy pierścieni* albo scenografia do telewizyjnego widowiska kostiumowego. Spokojnie, spokojnie, rozegrasz to, w miarę jak się potoczy. Opony zazgrzytały na żwirze, którym wysypany był parking przed restauracją. Wyszli z samochodu i skierowali się ku obrośniętej winoroślą pergoli, skąd rozlegał się widok na wynurzające się z półmroku San Marino, częściowo przesłonięte sylwetką parkującej w nieodzwolonym miejscu holenderskiej przyczepy mieszkalnej.

- Istnieje pewien gatunek turystów, którego po prostu nienawidzę - odezwała się Sandra swoją afektowaną angielszczyzną, wskazując Morrisowi przyczepę.

Zdażył się już dowiedzieć, że pracowała dla BBC jako asystentka produkcji, a jej ojciec dostarczał komentarzy politycznych dla Radio Four. (Niespodzianka za niespodzianką.)

- Tak, wiem, co masz na myśli. - Morris desperacko starał się złowić, o czym konwersują po włosku Massimina i Giacomo, gotów w każdej chwili interweniować, gdyby tylko rozmowa miała pozełgować w stronę wymiany adresów. Jednak, być może ze względu na własną delikatną sytuację, Giacomo wyraźnie sterował jak najdalej od takich tematów, jak poszukiwanie wspólnych znajomych. O ile Morris mógł się zorientować, nie zapytał Massiminy nawet o nazwisko. Zresztą dlaczego niby miałby pytać? Czy on, Morris znał, na przykład, nazwisko Stanę? Albo takiej Marion?

- Przyjeżdżają tu aż z Holandii - ciągnęła Sandra - a potem całymi dniami wylegują się na plaży, jedzą pizzę i psują widoki swoimi cholernymi przyczepami kempingowymi.

Giacomo na moment położył dłoń na nagim ramieniu Massiminy, niby to po przyjacielsku. To doprawdy niewiarygodne, na co ludzie sobie pozwalali. Morris nigdy by tak nie postąpił w stosunku do czyjejś przyjaciółki. Do Sandry, na przykład. Chwilami wydawało mu się, że jako jedyny ma wpojone jakieś moralne zasady, świadomość tego, co można, a czego nie wolno. -Podstarzały Giacomo szeptał coś do ucha Massiminy, ale to chyba nie mogło być pytanie o nazwisko.

- Nawet jeśli wybiorą się do muzeum, to pokręcą się tam dziesięć minut i już im się wydaje, że zobaczyli całe Włochy. Nie próbują wchłonąć w siebie prawdziwej sztuki życia, jaką posiadli Włosi, nie usiłują zrozumieć jej związków z pełną chwałą przeszłością. Na przykład takie mozaiki z Rawenny...

Morris dolał sobie wina. Za dużo pił. Powinien bardziej uważać. Nie wolno mu zapominać, że jest lepszy od tamtych. Lepszy, szybszy, mądrzejszy. Pod każdym względem, umysłowym i moralnym. Naprawdę nie musi się tak denerwować.

- Dolać ci? - podsunął Sandrze butelkę. Przynajmniej było to ekscytujące.

- O tak, proszę. - Sandra skinęła głową i opróżniła swój kieliszek. - Żadnego *savoir faire*. Piwo, plaża, telewizja i zero względów dla innych. Czasami myślę, że w artystach najważniejsza jest wrażliwość, jaką mają wobec innych. To znaczy sądzę, że są bardziej uważający, gdyż...

Co za bzdury. Wystarczy popatrzeć, jak bardzo uważający był kuternoga Giacomo. A zresztą, co mogła wiedzieć o sztuce dziewczucha w źle skrojonej fiołkowo - różowej kiece, mocno powycinanej w miejscu teoretycznego biustu, z geometrycznymi kolczykami w uszach, przypominającymi raczej elementy jakiejś intelektualnej układanki, którą bogacze kupują swoim dzieciom u Harrodsa w cha-



rakterze gwiazdkowego prezentu. Dać takiej pannicy z efektownym głosem kij hokejowy na dziesiąte urodziny, a na szesnaste konia, a możesz być pewny, że za kilka lat będzie przekonana, że dostała carte blanche na gadanie o sztuce, dopóki wszystkich nie zamęczy.

- Bo wiesz - ciągnęła Sandra niezmordowanie - połowa ludzi pracujących dla BBC jest dokładnie taka sama. Mój ojciec zwykł powtarzać, że dla nich kultura to tylko cieniutka otoczka. Mimo tej ich całej aury.

Podciągnęła ramiączka sukni i przysunęła się do Morrisa, odsłaniając w porozumiewawczym uśmiechu swoje zęby a la księżniczka Anna. „Otoczka” i „aura” najwidoczniej musiały należeć do rodzinnych bon motów.

- Tak że w rezultacie wolę prawdziwy plebs niż połowę tych wszystkich cymbałów i mięczaków, którzy w telewizji przez cały dzień opowiadają o teatrze i kulturze, a tak naprawdę nie mają pojęcia o niczym. Nie ma w nich żadnej jurności, żadnego kontaktu z życiem, podczas gdy w pospółstwie jest pewna naturalność, bezpośredniość i dosadność. Zaparkuje taki swoją przyczepę, tak że zasłoni pół San Marino, a potem wysiądzie i powie: „O, kurwa, ale widok”.

Czyli zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, choć nawet nie usiłował z nią dyskutować. Już ojciec by cię odpowiednio wygrzmocił, pomyślał Morris. A potem kazał pakować manatki, tak jak to było w przypadku Eileen i tylu innych.

A jednak wielu kobietom takie traktowanie zdawało się sprawiać przyjemność.

Sandra przechyliła się do tyłu, wybuchając śmiechem. Sama wypila prawie całą karafkę i teraz wydawało jej się, że promienieje urokiem.

- Giacomo to prawdziwy artysta. Powinieneś obejrzeć jego album *Półmrok Średniowiecza*. To jest naprawdę coś, prawda, Giacomo? - Wykorzystała okazję, żeby przerwać rozmowę kochanka z Massiminą, i złapała go za ramię.

- Poszukam gdzieś egzemplarza - obiecał Morris. I olać to wszystko.

W tym momencie uświadomił sobie desperacką potrzebę skorzystania z toalety. Pójść jednak nie mógł, bo nie wiadomo, w którą stronę mogłaby się potoczyć konwersacja podczas jego nieobecności. Przyjdzie mu wstrzymać się przez cały wieczór, co zepsuje jego pierwszy od tygodnia porządny posiłek.

Jedenasta rano. Zaskakująco posepny poranek, z odrobiną deszczu nawet, dla Morrisa okazał się wyjątkowo promienny. Wyszędłszy z pensjonatu na obrzeżach miasta, skierował się na główną ulicę i teraz zmierzał do kiosku z gazetami, myśląc przy tym, że zdecydowanie podoba mu się chaotyczne morze plakatów, jakimi Włosi pokrywali każdy wolny kawałek muru. Wszystkie możliwe kolory, wszystkie możliwe przesłania, od lekcji tańca, przez damską bieliznę, po Partię Radykalną. I to dosłownie wszędzie, nawet na najstarszych budynkach. W ten sposób mieszkańcy Włoch demonstrowali, że nie żywią przesadnego respektu do przeszłości, że żyją terażniejszością, dniem dzisiejszym, wieczorną demonstracją *Democrazia Proletaria* na przykład. *Forza campagna!* Tak trzymać.

Trzymającym się pod rękę młodym Włoszkom także lubił się przyglądać. Nie bały się okazywać wzajemnej, niewinnej sympatii, nie groziło im, że zostaną uznane za lesbijki, kiedy szły ze złączonymi dłońmi albo całowały się w policzek. W tym kraju nawet chłopcy mogli objąć się serdecznie i nie wywoływało to żadnych potępiających uwag, z jakimi taki gest bez wątpienia spotkałby się na przedmieściach Londynu.

Morris zanurzył się w porannym, orzeźwiającym wirze, czując jedność z otaczającym go światem. Ostatniej nocy miał sen o ojcu. Śniło mu się, że siedzą razem na sofie i oglądają telewizję. Nic więcej, tylko on i tata, wspólnie gapiący się w szklany ekran i zaśmiewający się serdecznie, zupełnie jakby nigdy nie darzyli się nienawiścią. A najważniejsze było to - co uświadomił sobie dopiero teraz — że na ekranie pokazany był on sam i Mass i-mina, on leżący na łóżku i ona wcierająca balsam w jego plecy. „Ależ ta ma cycki” - zaśmiewał się ojciec, a Morris wtórował mu z jakiegoś powodu.

Tak, poranek zaczął się wyjątkowo dobrze. Massimina przeleżała w łóżku aż do dziesiątej, pielęgnując straszliwy ból głowy, co dało mu mnóstwo czasu na dokończenie listu. Powycinał wszystkie brakujące słowa z magazynów, specjalnie kupił ich cały stos, i nakleił całość na kartkę. O wpół do jedenastej zostawił biedną Massiminę w pensjonacie, zajętą napełnianiem koszyka piknikowego wczorajszymi bułkami, a sam wyszedł. Najwyraźniej oprócz kaca Massiminę dręczył także szok z powodu sumy, jaką wydali poprzedniego wieczoru.

- Czterdzieści tysięcy lirów! Morri, toż to szaleństwo.

- Mówiłem ci, że nie powinniśmy nigdzie z nimi chodzić. Próbował cię spić, a powód miał aż nadto wyraźny.

Natomiast jeśli szło o niego samego, wieczór nie mógł być bardziej udany. Żadnej wymiany adresów, żadnego doszukiwania się wspólnych znajomych, nawet żadnego wymieniania nazwisk, a co najważniejsze, po demonstracyjnym chłodzie Morrisa i urzędzonej pod sam koniec kolacji scenie zazdrości, żadnej sugestii, że mogliby się jeszcze spotkać. Zważywszy, że za kilka dni tamtych dwoje odpływało z Brindisi do Grecji, istniało doprawdy niewielkie prawdopodobieństwo, by mogli stać się w jakiś sposób niebezpieczni. Czyli wszystko dobrze i w dodatku nie musiał nikogo zabijać. (Zresztą cóż to był za idiotyczny pomysł. On, Morris, był przecież za sprytny, żeby zabijać.) Uśmiechnął się swoim nowym uśmiechem, lekko unosząc kąciki ust. Wyjdzie z tej przygody czysty, z masą pieniędzy i będzie żył długo i szczęśliwie, bez żadnej skazy na sumieniu. Przeciwnie, będzie z siebie dumny. Ale jednocześnie przez cały czas nie opuszczała go pamięć o tym dziwnym stężeniu mięśni, jakiego doznał poprzedniego wieczoru, o wszechogarniającym poczuciu gorąca, o tamtej chwili ślepej determinacji. Zastanawiające.

Wszedł do tej samej trafiki co wczoraj i kupił jeden z dwóch leżących tam egzemplarzy „Areny”. Jest. Dostali jego list. Nieduży nagłówek z boku pierwszej strony odsyłał do artykułu wewnątrz numeru. Obecnie policja z całą powagą traktowała sprawę jako porwanie - wyśmienie - acz zważywszy osobliwą formę listu, nie wykluczyła jednak do końca możliwości makabrycznego żartu. W porządku. To przez te arabskie ozdobniki. Ale zamię musiało ich przekonać. (Chyba że rodzina nigdy go nie zauważyła. Ludzie bywają czasami tacy ślepi.) Gazeta donosiła dalej, że poszukiwania koncentrują się na okolicach Vicenzy, gdzie znaleziono dres, cytowała też inspektora Marangoniego, mówiącego, że w ciągu najbliższych dni spodziewa się przełomu. Zwykły kit wciskany prasie. Jedynym minusem artykułu było ponowne zamieszczenie zdjęcia Massiminy, na szczęście już mniejszych rozmiarów. Tym razem jednak dziewczyna na fotogra-

fii była zdumiewająco podobna do tej z falującymi włosami, wyskubanymi brwiami i pięknie umalowanej, która poprzedniego wieczoru siedziała obok niego w restauracji. (Jak ten fotograf tego dokonał? Ciekawe, ile musieli mu zapłacić?) Takiej, jaka była teraz, mógł nie rozpoznać przyjaciel czy nawet krewny, za to połowa świata rozpoznałaby ją z tego zdjęcia, pod warunkiem że połowa świata miałaby zwyczaj uważnego studiowania zdjęć zamieszczanych w gazetach. Jednak w ten ponury, wilgotny poranek Morris czuł się tak pewny siebie, że wyzwanie przyjął nawet z pewnego rodzaju radością. Na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech. Przystanął na chwilę, by podzielić się tym uśmiechem z własnym odbiciem, widocznym w sklepowej witrynie wypełnionej dziecięcymi ubrankami. Wysoki, jasnowłosy, raczej przystojny - odrobinę nijaki, to był jedyny mankament. Jego twarz nie wyróżniała się niczym, była nieco nudna. Dzięki Bogu, że nie musiał porywać takiej Sandry, na przykład. Dopiero miałby za swoje, musząc dzień po dniu znosząc rozmowy podobne do wczorajszej. Licz swoje błogosławieństwa, Morrisie Duckworth.

Kupił znaczki i nalepkę na list ekspresowy, po czym skierował się do tej części urzędu pocztowego, gdzie znajdowały się aparaty telefoniczne. Zainstalowawszy się bezpiecznie w jednej z kabin, wybrał numer otrzymany od inspektora Marangoniego. Czuł się całkowicie odprężony, gotowy do długiej rozmowy, do dzielenia się swoimi przemyśleniami, a nawet do zaproponowania powrotu do Werony, gdyby policja uznała, że w ten sposób może im jakoś pomóc.

- *Pronto, Questura di Verona.*

- *Pronto, vorrei parlare con l'Inspettore Marangoni.* Inspektor był zajęty, może Morris zechciałby zostawić

wiadomość?

Nie, nie zechciałby. Nie życzył sobie rozmowy przez pośredników i nieodłącznych przy tym nieporozumień.

- Proszę powiedzieć inspektorowi, że to rozmowa zamiejscowa w sprawie porwania Massiminy Trevisan. Mówi Morris Duckworth. Mam dla inspektora nowe wiadomości. - To powinno poruszyć ich trochę.

- *Pronto*. - Inspektor znalazł się na linii w przeciągu dosłownie kilku sekund.  
- Ach, Signor Duckworth, *come va*?

- *Non c'è male*. Jestem w Bari.

- Znakomicie. Jaka tam pogoda?

- Gorąco - odparł Morris. Strzelał, oczywiście, ale to przecież był pewny strzał. - Proszę posłuchać, dziś rano zobaczyłem wiadomość w sprawie Massiminy. Nie wiem, co powiedzieć, jestem naprawdę zszokowany. Czy policja jest pewna, że to porwanie? Czy w liście była jakaś wzmianka o pieniądzach, to znaczy...

- Obawiam się, że nie mogę podać panu szczegółów. Tajemnica śledztwa. Autor listu był zdeterminowany, aby nie zdradzić swojego charakteru pisma. Posłużył się słowami wyciętymi z gazet i letrasetem.

- Och, a czy to jest takie niezwykle? - zapytał Morris.

- Niezupełnie. Widocznie miał jakiś powód, aby ukryć swój charakter pisma. Może to ktoś bliski rodzinie. Albo jest leworęczny, co z liter, także drukowanych, łatwo daje się odczytać. Tam, gdzie nie znalazł odpowiednich słów w gazecie, posłużył się letrasetem.

- Rozumiem - Morris poczuł się lekko wytrącony z równowagi. Głos inspektora był ciężki i powolny, w pełni profesjonalny. Morris przypomniał sobie zachowanie policjanta wówczas w ogrodzie w Quinzano, rzeczowe, wskazujące na ogromne doświadczenie. Ile czasu zajmie inspektorowi rozszyfrowanie prawdziwego powodu tego collage'u?

- W każdym razie zostawienie dresu w koszu na śmieci w Vicenzy — słyszał pan o tym, prawda? - zostawienie dresu w koszu na stacji kolejowej może stanowić jedynie mylny trop, mający odwrócić naszą uwagę od kręgu najbliższej rodziny. Ale mój asystent podpowiada mi, że ma pan jakieś nowe informacje.

- Cóż, nie jestem pewien, czy to, co powiem, może okazać się przydatne, ale przypomniałem sobie wczoraj i kiedy później usłyszałem o porwaniu... - Cholera! W jaki sposób mógł dowiedzieć się czegoś o porwaniu, będąc w Bari? W tym mieście z pewnością nie dostałby „Areny”. Rimini to co innego - około dwustu kilometrów od Werony, pełne turystów z północy, ale Bari? Morris zadrżał, przekładając słuchawkę z jednej spoconej dłoni do drugiej. Ależ ciasnota w tej kabinie. W Bari z pewnością nikomu nie przyszłoby do głowy pytać o „Arenę”.

- Tak? *Pronto?*

- Massimina wspominała mi, że kiedy wracała ze szkoły, w autobusie napastował ją jakiś typ. Siadał albo stał obok niej i przez całą drogę wlepił w nią wzrok.

- Czy opisała go panu?

- Nie, napomknęła tylko, że był mocno owłosiony i miał dziwnie rozbiegane oczy. Chyba koło czterdziestki, ale może to tylko moje wrażenie, może sama nawet nie wspominała mi o tym. Poradziłem jej, żeby trzymała się blisko kie-



rowcy albo innych pasażerów i nie przejmowała się zbytnio. Świat jest pełen podobnych dziwaków, w większości zupełnie nieszkodliwych. Natomiast teraz...

- I nie posiada pan dokładniejszego opisu? Nie wspominała, gdzie Wsiadał albo gdzie wysiadał i o jakiej porze dnia się to odbywało?

Przez dłuższą chwilę Morris zastanawiał się naprawdę. Teraz na powrót czuł się pewnie. Inspektor połykał wszystko.

- Cóż, Massimina chodziła do szkoły w Stimato. Lekcje kończyła o pierwszej i jechała prosto do domu. Myślę więc, że było to mniej więcej o tej porze. Gdzie wsiadał i wysiadał, nie mam pojęcia. Nie wyobrażam sobie, by mógł wysiadać w Quinzano, bo wówczas pewnie by go znała. Tam wszyscy znają wszystkich.

- To prawda. - Inspektor najwyraźniej robił notatki, co dawało Morrisowi czas na zebranie myśli. — To prawda. Poślę kilku moich ludzi, aby przez kilka dni sprawdzali ten autobus, właśnie koło pierwszej.

- Ale jeśli to on jest owym porywaczem, z pewnością nie jeździ już tamtędy. - Morrisowi udało się nadać swojemu głosowi wyraz autentycznego zatroskania i obawy. - Gdybym tylko potraktował wszystko poważnie, wypytał ją o każdy szczegół...

- Przesłuchamy pasażerów regularnie korzystających z tej linii, może od nich uzyskamy jakieś informacje.

- Czuję, że powinienem jak najprędzej wracać do Werony - powiedział Morris z determinacją w głowie.

- A to czemu, Signor Duckworth?

- Sam nie wiem. Tak się tym wszystkim martwię, że nawet wakacje przestały mnie cieszyć. Może gdybym był w Weronie, potrafiłbym w jakiś sposób pomóc. Może mógłbym...

- Signor Duckworth, niech mnie pan posłucha. Naprawdę nie wiem, w jaki sposób mógłby nam pan pomóc bardziej, niż pan to uczynił do tej pory. Proszę pamiętać, że ostatnio widział pan Massiminę ponad miesiąc przed porwaniem. Natomiast jeśli idzie o jej rodzinę, jestem pewien, że nie byłiby szczęśliwi, widząc pana w pobliżu. Czują się trochę nie w porządku wobec pana, stąd pewna wrogość. - Inspektor zachichotał po ojcowsku. - Takie jest życie. W Bari jest pan z przyjaciółmi, prawda? -Tak.

- To dobrze. Ich towarzystwo pomoże panu oderwać myśli od tamtego.

- Ale... - W gruncie rzeczy było coś wzruszającego w trosce inspektora o stan jego ducha.

- Decyzja należy oczywiście do pana, ja jednak odradzałbym powrót. I naprawdę nie musi się pan czuć winny, że nie wraca pan na łeb na szyję. W tej chwili w Weronie naprawdę na nic się pan nie przyda.

- A gdybym jednak zdecydował się na wyjazd do Turcji?

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań. Jeśli będzie pan chciał uzyskać jakieś informacje, proszę bez skrupowania dzwonić na ten numer i mój asystent zawsze panu powie, jak sprawy stoją. Pamięta pan Tolainiego? Był ze mną, kiedy spotkaliśmy się w Quinzano.

- Pomyślę nad tym - powiedział Morris żalonym tonem i na tym mniej więcej rozmowa się skończyła.

Pod wpływem impulsu postanowił zadzwonić jeszcze do ojca. Wybrał kierunkowy do Anglii i potem numer Ac-ton, wsłuchując się w trzaski i echa międzynarodowych połączeń, aż wreszcie rozległ się angielski sygnał, tak znajomy, tak bliski, że Morris doznał czegoś w rodzaju wstrząsu. Zupełnie jakby znajdował się na dworcu Victoria, zapowiadając swój powrót do domu i nędznej posadki w Milk Marketing Board. Może powie ojcu, że zarobił mnóstwo forsy na giełdzie i kupuje dom na wzgórzach pod Florencją? Może ojciec miałby ochotę wpaść we wrześniu na tydzień albo dwa, złapać trochę opalenizny? To by dopiero wstrząsnęło starym.

Ale nikt nie podnosił słuchawki. Dopiero po chwili Morris uświadomił sobie, że jest dzień powszedni, czwartek rano i że ojciec właśnie poci się przy jakiejś frezarce w Park Royal. Wstyd. Cóż każdemu swoje. *Unicuique faber est...* i tak dalej. Wyszedł z budki, zapłacił za rozmowę, poprosił o książkę telefoniczną Werony i spisał adres Boba.

Właściwie nadawałby się na detektywa, pomyślał, wychodząc na ulicę. Jemu z całą pewnością nie umknąłby drobiazg w rodzaju: jak ktoś przebywający w Bari, mógł się dowiedzieć o szczegółach porwania w Weronie. Może nawet nie jest jeszcze za późno? Jeszcze mógłby wrócić, zapisać się do szkoły i przed ukończeniem trzydziestego piątego roku życia byłby detektywem. Całkiem wykonalne. W policji z pewnością by go nie odrzucili. Jedyna udręka to te dwa lata, które każdy policjant musi spędzić, patrolując rewir, no i sam kurs, który raczej nie przystawał do jego wyobrażeń o kulturalnym... chyba że o porwaniu informowały ogólnokrajowe wiadomości radiowe i telewizyjne... To by tłumaczyło, że inspektor wcale nie był zdumiony. Nadali wiadomość w programie krajowym, z twarzą Massiminy na cały ekran!

Morris zatrzymał się w pół kroku na środku zatłoczonego chodnika, potrącany przez rozczarowanych amatorów plaży. Nie, z pewnością nie zrobili tego. Cóż to za ogólnokrajowa wiadomość? Tu nie Anglia, gdzie trzeba było urządzać prawdziwe polowania na sensację. Tu były Włochy, z rządem upadającym i zmartwychwstającym każdego dnia i mafią posiadającą więcej broni niż cały Układ Warszawski. Niepotrzebna im była historia z uprowadzeniem jakiejś tam Massiminy. Uspokojony podjął marsz w kierunku pensjonatu. Zwykła ociężałość umysłowa Marangoniego, i tyle. Mimo wszystko lepiej będzie jak najszybciej wynieść się z Rimini. Nie jest dobrze pozostawać zbyt długo w jednym miejscu. Inni zaczynają człowieka rozpoznawać.

- *Ehi!. Eh la'!*

Morris doszedł do końca głównej alei i zapuścił się w plątaninę wąskich, starych uliczek, kiedy usłyszał pospieszne, utykające kroki.

- Morris!

Nie zdążył się nawet odwrócić, kiedy czyjaś dłoń spadła na jego ramię. Giacomo. Kuternoga Jackie. Morris poczuł, że drży. Akurat to!

- Właśnie szedłem do twojego pensjonatu, kiedy cię zobaczyłem... - Giacomo z trudem łapał oddech. Na moment przytrzymał się Morrisa, żeby nie stracić równowagi.

Umysł Morrisa prędkością światła poszybował w poszukiwaniu jakiegoś powodu, dla którego Giacomo chciał z nim porozmawiać. Czyżby miał zamiar przeprosić? Może za to, że wczoraj zachował się jak świnia?

- O co chodzi?

- Powiedziałaś, że Massimina uciekła z domu, pamiętasz?

- To ona tak powiedziała.

- Owszem. Zgadza się. Jak brzmi jej nazwisko?

Morris zdecydował się w ułamku sekundy. Lodowatymi, błękitnymi oczami spojrzał prosto w ciemne oczy Giacomu, jakby mierzył się z własnym przeznaczeniem.

- Trevisan. Massimina Trevisan.

- Z Quinzano? Na wzgórzach koło Werony?

-Tak.

Giacomo wybuchnął śmiechem.

- Człowieku, wszyscy myślą, że ona została porwana. Nie dajcie jakoś znać rodzinie, że wszystko z nią w porządku?

- Co ty mówisz?

- Rodzina myśli, że ona została porwana - powtórzył Giacomo. — Porwana, uprowadzona. Posłuchaj, dziś rano udało mi się zdobyć „Arenę”, cudem chyba, bo był to ostatni egzemplarz, a tam artykuł o uprowadzeniu Massiminy.

- Nie! - Morris przejechał dłonią po włosach, żeby ukryć twarz choć na chwilę. Ze też nie kupił obu egzemplarzy gazety! - Ależ Massimina dzwoniła do domu. I pisała. Sam zanośliem list na pocztę. To musi być jakaś pomyłka.

- Nie wiem - mówił podekscytowany Giacomo. Cała sprawa najwyraźniej wydawała mu się szalenie zabawna.

- Chodź ze mną do hotelu, pokażę ci gazetę i sam się przekonasz. Może bała się zatelefonować do domu? Wiesz, jakie potrafią być dziewczyny. A przy naszej poczcie list mógł zwyczajnie nie zostać jeszcze doręczony. Kiedy go wysłała?

Morris ruszył za Giacomem w kierunku hotelu. Twarz opływała mu potem, nogi miał jak z waty. Myśl, myśl, myśl! powtarzał, przygryzając dolną wargę.

- Prawie od razu. W sobotę rano. Chcieliśmy... Giacomo zanosił się śmiechem.

- Zdaje się, że połowa policji okręgu Veneto, przeszukuje właśnie okolice Vicenzy, gdyż tam znaleziono jakiś dres, który zdaniem policji należał do Masiminy.

- Och, nie. - Morris zapadał w otchłań.

- Lepiej od razu dzwoń na policję albo do rodziny czy gdzie tam jeszcze. Choćby z hotelu. - Roześmiany Giacomo odwrócił się do Morrisa i poklepał go po plecach.

- Hej, nie ma się czym tak bardzo przejmować. Człowieku, zrobiłeś się błąd jak śmierć. W końcu to jej wina, skoro powiedziała, że zatelefonowała do domu, a nie zrobiła tego. Jeden telefon na policję i wszystko się wyjaśni w przeciągu kilku sekund.

- Tak, pewnie. - Dzięki Bogu, że w artykule nie było ani słowa o nim samym.

Giacomo i Sandra zatrzymali się w *Albergo degli Ulivi*. Szeroka, płaska ulica, z rzadka obrośnięta piniami i po obu stronach zabudowana wysokimi na dziesięć pięter nowoczesnymi blokami mieszkalnymi i hotelami, w niczym nie usprawiedliwiała tej nazwy. Do morza było stąd pięć minut spacerem.

- Bardzo trafna nazwa - skomentował Morris z uśmiechem, czując nawet coś w rodzaju dumy z siebie. Nadal był żywy. Nadal zauważał każdy drobiazg i potrafił czynić cięte uwagi. A kiedy Giacomo pochylił się nad kontuarem, prosząc o klucz, od razu uświadomił sobie najważniejszą rzecz. Sandra musiała gdzieś wyjść. Gwałtownym ruchem odwrócił się od recepcjonistki. Lepiej, żeby go nie zapamiętała.

- A gdzie Sandra? - zapytał niewinnie, kiedy znaleźli się w windzie. Pot spływał z niego strumieniami.

- Wyszła. Z jakiegoś sobie tylko znanego powodu uznała, że potrzebny jej nowy kostium kąpielowy. Stary ma podobno nieodpowiednie ramiączka. Zupełnie jakby od nowych ramiączek mogły jej urosnąć nowe cycki.

Giacomo zaczął czynić raczej nieprzyjemne uwagi na temat kobiet. Nie, to z Sandrą wcale nie jest na poważnie. Zwykła podrywka. Szczerze mówiąc kobiety są dobre wyłącznie do seksu. Spróbujesz innego układu, będą ci przeszkadzać w pracy, zawracać głowę dziećmi, małżeństwem i domem, za wszelką cenę będą chciały wywołać w tobie poczucie winy, że nie poświęcasz im stu procent swojego czasu i stu procent uwagi, albo też wdadzą się w romans z innym mężczyzną, w nadziei, że cię to obejdzie. Jego żona była zwyczajną suką i tyle. Z kobietami nigdy nie dojdzie się do ładu. Tak więc on, Giacomo, zdecydował się na separację, i teraz sam jest sobie panem, ma wolną głowę do pracy, a energię seksualną wyładowuje podczas numerków z takimi gorącymi sztukami jak Sandra. Ona może nie ma cycków, biedna dziewczyna, za to w łóżku niczego jej nie brakuje. Dymanko ekstra.

Dokładnie tego typu rozmów z mężczyznami Morris starał się unikać.



- Czy ona o tym wie? - zapytał uprzejmie. - To znaczy, czy wie, że nie planujesz z nią niczego serio.

- Sandra? Skądże. Wydaje jej się, że zamieszka ze mną w Weronie jako muza artysty.

Giacomo roześmiał się. (Boże drogi, przecież ten człowiek jest szpetny jak grzech, pomyślał Morris. Mały, kulawy, włochaty niczym diabeł, z twarzą typowego południowca, przypominającą przeżuty cukierek toffi. Istna pokraka.)

Na miłość boską, co on miał teraz robić?

- Ale nie zawracam sobie głowy powiadamianiem jej o tym. Wiesz, człowiek musi być czasami okrutny wobec kobiet, żeby potem móc być dla nich miły, takie jest moje motto. A jak jest między tobą a Massiminą? Miła dziewczyna. Cycyki świetne. - I nie czekając nawet na odpowiedź Morrisa, Giacomo ciągnął swobodnie. - Nie jesteś przypadkiem zainteresowany podzieleniem się? - Na twarzy Włocha pojawił się figlarny, w pół przepraszający uśmiech. - Wakacje moglibyśmy spędzić we czwórkę. Sandra nie byłaby od tego, zresztą bardzo jej się spodobałeś. Uważa, że jesteś słodki. Powiedziała, że stanowiłbyś przyjemną odmianę po tych wszystkich ważniakach, z którymi normalnie ma do czynienia. Moglibyśmy nawet porobić jakieś zdjęcia. Żadnych pustych dziurek. Zyski na pół. Ekstra wakacje, obiecuję.

Morris był zszokowany. Z trudem przełknął ślinę. Tego typu brudy spotykało się w najpodlejszych magazynach. (Coś podobnego widział w należącym do Cartuccia egzemplarzu „Penthouse'a”: trójka ludzi uprawiająca seks i ktoś robiący im zdjęcie. Obrzydlistwo.)

- I co ty na to? - podjął Giacomo. - We czwórkę to naprawdę świetna zabawa. - Roześmiał się. - Masz wszystko na raz, ssanie, dymanie, orai, anal, mozesz...

- My się bardzo kochamy - wykrztusił Morris chrapliwie. Czuł, że robi mu się niedobrze. - My naprawdę...

- Żołądek podjechał mu do gardła. Z najwyższym tylko wysiłkiem trzymał się prosto, starając się zachować pełną kontrolę nad głosem i ciałem. - Zamierzamy się pobrać, gdy tylko Massimina skończy osiemnaście lat. To już za sześć tygodni.

Nie dotykać niczego w tym pokoju. Niczego, niczego!

- Och, w takim razie moje gratulacje. - Nie wiadomo dlaczego, Giacomo skłonił się idiotycznie, po czym zmienił temat. - Mam nadzieję, że policja nie przyczepi się do ciebie z powodu tego porwania. Tu masz gazetę, przejrzyj sobie. Zrobię nam po drinku. Może być martini?

Giacomo zniknął za drzwiami, za którymi prawdopodobnie znajdowała się łazienka. Morris błyskawicznie rozejrzał się po pokoju. Co, gdzie, jak?

Musi być jakiś inny sposób, jakieś wyjście...

-Niewiarygodne, co? Aż trudno w to uwierzyć.

- Głos Giacoma wybił się ponad dźwięczenie szklaneczek. - W informacji telefonicznej musimy się spytać o numer *Questura* w Weronie. Gdybyś zadzwonił na lokalny posterunek, nie wiedzieliby nawet, o czym mówisz. Jedyne, co potrafi tutejsza policja, to aresztować nudystów na plaży.

Gazeta leżała na łóżku, otwarta na oskarżycielskiej stronie. Morris wziął ją do ręki i celowo zaszeleścił kartkami. Lampka nocna odpada, krzesło odpada, radio odpada. Pokój był tak skromnie umeblowany. Egzemplarz „Il Fotografo” z obrzydliwym aktem na pierwszej stronie. Miał tylko kilka sekund! Dobry Boże, przecież musi coś znaleźć. Przycisk do papieru? Przycisk do papieru to klasyka.

Ale tu nie było przycisku. (Coś do zrobienia - czego? Co on planował zrobić? On, Morris!).

- Z wódką czy bez?

- Z wódką - wychrypiał.

Powinien skomentować jakoś ten artykuł, krzyknąć z oburzeniem! „Ależ to zdumiewające! I jeszcze jakiś łajdak ośmiela się wysyłać list z żądaniem okupu!”. Doniczka, pozostała mu tylko doniczka. Co za farsa!

W kącie pokoju stała jakaś tropikalna roślina w ceramicznej doniczce, wysokiej może na dziesięć cali. Morris podniósł ją ostrożnie. Tak, z pewnością była wystarczająco ciężka, ale czy uda mu się odpowiednio zamachnąć? Nie, przecież on wcale nie ma zamiaru tego robić. On, Morris Duckworth, zawsze pierwszy uczeń w klasie, pieścioszek mamusi, mięczak, jak zwykł nazywać go ojciec...

Stanął za drzwiami łazienki. Giacomo właśnie ustawiał szklaneczki na tacy. Absurd. Telewizyjna farsa. Przykład złego smaku. Uniósł doniczkę nad głowę, zaciskając zęby i starając się zapanować nad drżeniem ramion. Nie czuł wczorajszego gorąca, zamiast tego dygotał cały. Mięśnie i ścięgna nie chciały się naprężyć. Pośladki miał jak z waty.

Najwyższe liście rośliny z szelestem otarły się o sufit i odłamały się. W tym samym momencie w drzwiach ukazała się kudłata głowa Giacomina. Morris opuścił doniczkę z całą siłą, na jaką potrafił się zdobyć. Rozpadła się na kawałki, a Giacomo zwałił się na podłogę w sam środek potłuczonego szkła i rozsypanej ziemi. Nawet nie krzyknął, tylko szarpnął całym ciałem, przetoczył się na bok i wydał z siebie przeciągły jęk. Nadal żył. Morris rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, którym mógłby go uderzyć. Nie da się przecież kopnąć kogoś, gdy człowiek ma na nogach sandały. Czuł się niczym kucharz,

któremu po kuchni szaleje żywy pstrąg i który nie może znaleźć wałka. Wreszcie w przeblysku geniuszu (był przecież geniuszem) odwrócił się w stronę łóżka. Poduszka! Oczywiście, że poduszka.

Odwrócił pojękującego i kwilącego Giacoma na plecy i nakrył mu twarz cytrynową poduszką. Przycisnął ją, mocno, jak najmocniej. Ciało zaprotestowało jedynie przelotnym skurczem i nieznacznym uniesieniem bezwładnej ręki. Spoglądając na zegarek, Morris odliczył dwie pełne minuty, po czym zwolnił uścisk. Z głowy pociekła wąska strużka krwi. Złapał przegub i usiłował zmacać puls. Nic. Dziesięć sekund, potem dwadzieścia, nic. Wstał. Nie będzie usuwał poduszki z twarzy. Obejdzie się bez tego widoku. Słaby i wyczerpany dowlóknął się do łóżka, położył na plecach zamknął oczy, usiłując zapanować nad nagłym atakiem mdłości.

W pięć minut później był już na nogach. Przecież musi stąd wyjść, zanim wróci Sandra. Albo nie? A może by tak zaczekać do jej powrotu? Zaraz, przecież to szaleństwo. Dzięki Bogu, nie byli porządnymi ludźmi. Wymiana partnerów! „Sandra nie byłaby od tego...” Bagno. „Powiedziała, że stanowiłbyś przyjemną odmianę po tych wszystkich waśniakach, z którymi normalnie ma do czynienia”. Dno. Iść? Zostać? Dłonie drżały mu gwałtownie. A Massimina? Bóg raczy wiedzieć, na co ta byłaby gotowa. Czyli iść. Najpierw jednak musi dodać kilka wymownych szczegółów do tego bałaganu.

Zbliżył się do Giacoma i obszukał przednie kieszenie jego džinsów. Na materiale nie powinny zostać odciski palców, prawda? Nic. Wsunął dłoń pod zwłoki. W tylnej kieszeni namacał portfel, ale nie potrafił go wyciągnąć.

Przytrzymał poduszkę przy twarzy i spróbował odwrócić ciało. Wydawało się nieprawdopodobnie ciężkie. Musiał puścić poduszkę i użyć obu rąk, żeby je po-

ruszyć. Poduszka obsunęła się, ale twarz zmarłego była teraz skierowana ku dołowi. Wyszarpnął portfel i wsunął go do własnej kieszeni. Teraz biureczko pod oknem. Wyciągnął szufladę i wysypał na podłogę kosmetyki, perfumy i trochę drobnych monet. Nic specjalnie wartościowego. Co innego aparaty fotograficzne z całym wyposażeniem w szafce poniżej. Szybko wyjrzał przez okno na ulicę. Niebo przecierało się stopniowo, na chwilę nawet błysnęło słońce, ale zaraz zaszło. Torba plastikowa, oto, czego było mu teraz potrzeba. Rozejrzał się dookoła. Żadnych toreb. Może w łazience? Jest. Zawieszona na klamce niedużej szafki i służąca do wrzucania brudnych chusteczek i tym podobnych. Zużytych gumek nawet. A to świnie. Wytrząsnął zawartość na podłogę. Wody. Koniecznie musiał napić się wody. Kiedy pił, prosto spod kranu, nagle przypomniał sobie, że na biurku zostały odciski jego palców. Cholera. Trzeba znaleźć jakąś ścierkę i powycierać wszystko porządnie. Ścierkę, prześcieradło z łóżka. Wrócił z torbą do sypialni, władował do niej aparaty fotograficzne i portfel. Jeszcze tylko usunąć odciski palców. ...

Pukanie do drzwi.

- Giacomo?

Jak to się stało, że nie usłyszał kroków? O Jezu Chryste.

- Giacomo, to ja.

- *Vengo*.

Tym razem nie miał nawet czasu pomyśleć, jakoś przygotować się w duchu. Podeszedł do drzwi, po drodze wyciągając z torby obły obiektyw. Nacisnął przycisk zwalniający klamkę i otworzył. Sandra miała na sobie biały T-shirt i krótką, białą, plisowaną spódniczkę. Stanika nie nosiła. W ręku trzymała jakąś paczkę. Nowy kostium kąpielowy, cóżby innego?

- Morris! - Nie zauważyła leżącego na podłodze ciała, gdyż znajdowało się poza polem jej widzenia, nie mogła jednak nie wyczuć, że coś jest nie tak.

- Morris, co ty tu...?

Szybko odstąpił na bok. Niech już ma ją w pokoju i przy zamkniętych drzwiach.

- Giacomo zaprosił mnie na drinka.

Sandra przestąpiła próg i znalazła się w środku. Teraz nie mogła już nie zauważyć rozsypanej ziemi i potłuczonego szkła. Szarpnęła się, próbując otworzyć znajdujące się za nią drzwi. Morris jednak był szybszy. Przytrzymał drzwi stopą, złapał spoczywającą na klamce dłoń i z siłą, jakiej nie spodziewał się po sobie, wciągnął Sandrę do pokoju.

- Na miłość boską! - wrzasnęła.

Obiektyw wypadł Morrisowi z ręki, więc błyskawicznie położył obie dłonie na piersiach dziewczyny i pchnął ją mocno. Upadła, uderzając głową o podłogę. Krzyknęła. Obiektyw toczył się po podłodze, wreszcie zatrzymał się tuż przy chromej nodze Giacomina. Morris rzucił się za nim.

- Nie - krzyczała Sandra. Z jakichś niezrozumiałych powodów, zamiast się bronić, złapała rąbek białej spódnicy, która przy upadku zadarła się odsłaniając majtki, i starała się naciągnąć ją na kolana. Jej wąska, arystokratyczna twarz nosiła wyraz najwyższego osłupienia. Zupełnie jakby miał ją zgwałcić. Co za próżność.

Uderzył w sam czubek jasnowłosej głowy. Tak mocno, jak tylko potrafił.

- Nie - krzyknęła Sandra ponownie, unosząc ręce.

Uderzył drugi raz, tym razem w skroń, a potem trzeci, czwarty, piąty i jeszcze, dopóki nie opadł z sił. Wreszcie trysnęła krew, ciemna, prawie czarna. Sięgnął po poduszkę, ale uświadomił sobie, że to przecież nie ma sensu. Twarz Sandry była zupełnie nieruchoma, oczy wywrócone do góry, usta wykrzywione, wargi i zęby potrzaskane. Morris głęboko zaczerpnął powietrza, podszedł do ciągle uchylonych drzwi - na litość boską, przecież ktoś mógł przechodzić korytarzem i zajrzeć do środka - podniósł torbę, wrzucił do niej obiektyw i opuścił pokój, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Po wejściu Sandry winda stała jeszcze na piętrze. Morris wszedł do kabiny, zjechał na dół, niezauważony przez nikogo (tak mu się przynajmniej wydawało) minął recepcję i wyszedł na ulicę. W tym momencie przypomniał sobie, że przecież nie zabrał z pokoju gazety! Jezu Chryste! Zatrzymał się na zewnątrz przeszklonych drzwi, oparty o ścianę. Gazety otwartej na tej właśnie stronie. Pierwszemu policjantowi, który wejdzie do pokoju, rzuci się w oczy artykuł o porwaniu. Musi wrócić na górę.

Na litość boską, dlaczego on to zrobił? Po co? Przecież mógł jeszcze się wycofać, złapać pierwszy samolot do domu.

Zaryzykował, bo chciał zostać z Massiminą? Nie, to nie to.

Spoglądając na zegarek, odczekał wlokące się w nieskończoność dziesięć minut, żeby być absolutnie pewnym, że nikt nie wszczął alarmu. Najwyraźniej nikt jednak nie zwrócił uwagi na krzyki. Może nie były aż tak głośne, jak mu się wydawało. Szybko wszedł powrotem do holu. Recepcjonistka chichotała do słuchawki telefonu i nawet nie podniosła na niego wzroku. Ale na parterze windy nie było.



Po prawej zobaczył schody, więc ruszył nimi, starając się, zmuszając się wręcz, by wszystkie trzy piętra pokonać wolnym, swobodnym krokiem, bez zadyszki. Pójdzie prosto do pokoju, złapie leżącą na łóżku gazetę i wpakuje do plastikowej torby, powyciera uchwyty szuflad biurka (i kran, oczywiście, nie wolno mu przeoczyć kranu) i zaraz wyjdzie.

Ale drzwi okazały się zamknięte. Morris wpadł w panikę. Upuścił torbę, złapał klamkę i uwiesił się na niej. Jak mógł być tak głupi i zapomnieć, że te drzwi zatrzaszczają się automatycznie? Dlaczego, na miłość boską, nie zabrał ze sobą klucza? Był nikiem, zwyczajnym amatorem, zaplątanym po samą szyję. Jeśli go teraz złapią, będzie to naprawdę koniec. Powinien był przyznać się Giacomowi do wszystkiego, postarać się wypłatać z całej historii najlepiej, jak potrafił, zawieźć dziewczynę do domu i sprawa załatwiona. Albo też przystać na owe wakacje we czworo i zaoferować Włochowi połowę okupu w zamian za milczenie. Ten szczur, ta świnka, poszedłby na to z pewnością; po jego twarzy widać było, że zrobiłby wszystko, byleby tylko móc zdjąć dziewczynie majtki. On, Morris, nie był taki. Jemu przynajmniej nieobce było poczucie przyzwoitości.

Rozmyślając gorączkowo, nie przestawał ciągnąć i szarpać klamki, dopóki nie usłyszał, że we wnęce po prawej zwalnia winda. Szybko porwał torbę i popędził ku znajdującej się po przeciwnej stronie klatce schodowej. Ledwo zdążył skryć się za ścianą, kiedy na korytarzu ukazała się dwójka ludzi, mężczyzna i kobieta. Zatrzymali się przy drzwiach pokoju sąsiadującego z pokojem Giacomu, śmiejąc się i mówiąc coś po niemiecku. Morris wyjrzał ostrożnie, żeby sprawdzić, kiedy tamci znikną w środku, a on będzie mógł na powrót zająć się drzwiami (może uda mu się jakoś sforsować zamek). Para, oboje dobrze po trzydziestce, obejmowała się mocno, oparta o ścianę.

I właśnie w tym momencie, kiedy czekał, aż otworzą drzwi i wejdą do pokoju, zauważył serię ciemnych czerwonych smug, znaczących lśniący marmur, jakim wyłożony był korytarz. Przez kilka sekund wpatrywał się w nie, jeszcze nie do końca rozumiejąc, wreszcie podniósł nogę, żeby obejrzeć sandał od spodu. Podeszwa pod palcami lepiła się od krwi. Stojąc na jednej nodze, zachwiał się i omal nie upadł. Złapał się metalowej poręczy, żeby utrzymać równowagę, i kilka razy wciągnął głęboko powietrze. Jego pole widzenia skurczyło się gwałtownie, ze wszystkich stron otoczone wielką plamą ciemności. Po chwili ciemność ustąpiła, pozostał tylko przenikliwy ból, tętniący gdzieś w samym centrum czaszki. Jak to się stało, że tamtych dwoje nie zauważyło krwawych śladów? W recepcji pewnie też je pozostawił. Drżąc cały, zdjął najpierw zakrwawiony sandał, potem drugi i wsunął oba do plastikowej torby, obok portfela, aparatów fotograficznych i pokrytego krwią obiektywu, do którego przyłgnęła też - co odkrył dopiero teraz - kępka jasnych włosów. Oddychając ciężko - Boże, ileż powietrza potrzebują młode płuca — zbiegł boso po schodach. Na klatce schodowej nie spotkał nikogo, za to w hotelowym foyer kręciły się tłumy. Zbliżała się pora lunchu, więc goście zmierzali do restauracji znajdującej się za przeszklonymi drzwiami w głębi holu. Morris wyminął niewielką grupkę stojących przy recepcji i wypadł na ulicę.

Chmury ustąpiły olśniewającemu słońcu i od świeżego, czarnego asfaltu chodnika aż buchał żar. Morris spieszenie przeszedł kilka kroków, po czym zatrzymał się w wąłym cieniu pinii i dyskretnie obejrzał swoje ubranie. Białe bawełniane spodnie były lekko splamione pod kolanem, plamka krwi znaczyła też prawy mankiet rękawa koszuli. Ułóż plan. Tak, koniecznie musi ułożyć plan, znaleźć jakieś sensowne wyjście. Popatrzył na zegarek. Dwunasta piętnaście. Zostawił Massiminę samą na ponad półtorej godziny. Bóg raczy wiedzieć, co będzie myślała.

Skierował się w stronę kanału, po chwili zorientował się, że idzie w przeciwnym kierunku, więc zawrócił. Pół szedł, pół biegł, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Rozgrzany chodnik parzył go w stopy. Jakiś pies prowadzony na smyczy, rozszczękał się na jego widok i zaczął szarpać w jego kierunku.

- Nie lubi bosych stóp - roześmiał się właściciel.

Morris usiłował odpowiedzieć mu uśmiechem. Nie potrafił. Obrzucił mężczyznę morderczym spojrzeniem.

Woda w kanale błyszczała w słońcu, pachniało ropą, zdechłymi rybami i morzem. Morris szybko ruszył wzdłuż kei, przy której cumowały rybackie łodzie, pomalowane na różne kolory. Gdzieniedzie stukotała pompa, jakiś rybak przeglądał sieci, inny pociągał farbą reling. Wszędzie spokój. Morris przeszedł jeszcze ze dwieście jardów, niemal do ostatnich łodzi, tam gdzie ścieżka wydawała się kompletnie opuszczona, i przystanął. Sięgnął do plastikowej torby, ostrożnie by nie zawadzić o zakrwawiony sandał i obiektyw, i wyciągnął portfel Giacomina.

Skoro zbrodnia została już popełniona, niech przynajmniej ma z niej jakąś korzyść. Ale w środku znalazł zaledwie dwadzieścia tysięcy lirów, a oprócz tego dokumenty, prawo jazdy, bilet na prom Brindisi-Igoumenisa i dwie fotografie z polaroidu, jedną miłej kobiety w średnim wieku z dwójką dzieci i drugą młodej, ciemnowłosej dziewczyny, leżącej nago, ze skrzyżowanymi nogami na podwójnym łóżku, z rękami wyciągniętymi nad głową i piersiami preżącymi się wprost do obiektywu. Nie była to ani Sandra, ani kobieta z pierwszego zdjęcia i Morris poczuł zadowolenie, że oto natrafił na kolejny dowód wiarygodności Giacomina. (Załóżmy, że zrobił to dla dobra tej żony - kogo Bóg złączył...) Wreszcie w małej kieszonce zapinanej na zatrzask, natrafił na nieduży medalik ze świętym Krzysz-

tofem na srebrnym łańcuszku owiniętym wokół wytartej obrączki ślubnej, starannie zapakowany w bibułę.

Wziął dwadzieścia tysięcy, cokolwiek były warte, bilety na prom, na wszelki wypadek, i świętego Krzysztofa, bez specjalnego powodu. Dokumenty i obrączkę włożył z powrotem do portfela, a portfel do plastikowej torby. Starannie związał uchwyty. Rozglądając się dookoła, przeszedł jeszcze kilka kroków, po czym opuścił torbę do wody, między dwie łodzie. Pod ciężarem aparatów poszła na dno jak kamień.

- Morrees! To dla mnie? - Massimina nie posiadała się z zachwytu.

- Dlatego nie było mnie tak długo. - Morris był kompletnie wyczerpany. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek w życiu odczuwał aż takie zmęczenie. Odkrywszy zwłoki, a przy nich gazetę otwartą na artykule o porwaniu, policja szybko doda dwa do dwóch. Ciężko opadł na łóżko.

- Och i jeszcze potknąłem się o krawężnik i rozwaliłem jeden z tych cholernych sandałów. Pół godziny zajęło mi szukanie nowych, a kiedy wreszcie znalazłem takie, jakie chciałem, przypomniałem sobie, że wszystkie pieniądze wydałem przecież na świętego Krzysztofa.

- *Quanto sei caro* — roześmiała się Massimina.

To właściwie frapujące, zauważył w duchu Morris, starając się odzyskać trzeźwość myślenia, na ile różnych sposobów można tłumaczyć fakt, że spędził ponad półtorej godziny poza pensjonatem i wrócił bez butów na nogach, za to ze Świętym Krzysztofem w kieszeni. Morderstwo mogłoby być po prostu koszmarem sennym.

- Żeby nas chronił w podróży - powiedziała z powagą Massimina, zakładając łańcuszek na szyję. Hm, nie rozpatrywał tego od tej strony. Właściwie było to nawet straszliwie à propos. Massimina przysunęła się, aby go ucałować w podzięce, jednak Morris, przypomniawszy sobie o plamach krwi na nogawce spodni i rękawie koszuli, zerwał się na równe nogi i odepchnął ją od siebie.

- Spociłem się jak świnia i pewnie cały cuchnę.

Pokój był typową dla pensjonatów małą, duszną klitką, z podwójnym łóżkiem, szafą, niewielkim stolikiem, nagą, drewnianą podłogą, umywalką w jednym kącie i zawieszonym nad nią lustrem. Morris odkręcił kurek, zsunął spodnie i rozpiął koszulę. Wrzucił ubrania do wody i szybko potarł o siebie nogawkę spodni i mankiet niebieskiej koszuli. Ślady zbladły i spłynęły niemal natychmiast. To tyle w kwestii „precz, przekłeta plamo”. Nic prostszego, niż zmyć z siebie odrobinę krwi.

Odwrócił się, żeby sięgnąć po ręcznik. Massimina stała tuż za nim, całkiem naga. Perłowszara spódniczka leżała zmięta u jej stóp, a obok czerwony T-shirt. Bielizny najwyraźniej nie zakładała dziś wcale. Bujna kępka włosów łonowych błyszczała poniżej pięknie sklepionego brzucha. Morris zamarł. Czuł się zbyt zmęczony, by stawiać czoła nowemu kryzysowi, tak szybko po tamtym. Powoli, metodycznie wycierał ręce, nie spuszczając wzroku z dziewczyny.

Pokój był mroczny. Budynki po drugiej stronie ulicy nie wpuszczały zbyt wiele światła. Massimina, piękniejsza i zbudowana jeszcze kształtniej, niż sobie wyobrażał, stała oblana łagodnym półświatłem. Głowę przechyliła na jedno ramię i uśmiechała się lekko.

- Morri, w tym nie ma nic złego. Sam przecież wiesz. Kocham cię. Jesteś dla mnie taki szczodry, przyniosłeś mi prezent. Teraz czuję się zupełnie bezpieczna...

Morris poczuł, że zaczyna się chwiać, i przymknął oczy.

- Morri?

Massimina wyciągnęła przed siebie szczupłe, brązowe ramiona, dłonie odwróciła do góry, w geście ofiarowania.

Pewnie wyobrażała sobie, że to takie cholernie romantyczne. Naśladowała te wszystkie bzdury, których naczytała się w książkach. Mimo to poczuł, że jego oczy wypełniają się łzami. Wzbierała w nim czułość, przewyciężająca dawny wstręt, obraz taty i Eileen na kanapie, wydawane przez nich odgłosy.

- Chodź do mnie, Morri. *Vieni, vieni.* - Massimina wystąpiła z leżącej na podłodze spódniczki. Jej ciało zafalowało, brzuch przylgął do jego torsu.

- Cara — wymamrotał, otaczając ją ramionami. - *Cara* Massimina.

Popołudnie dogasało leniwie i nawet muchy przycichły i poruszały się ospale.

- A właśnie - rzuciła wesoło Massimina. Siedziała teraz wyprostowana, przymierzając swój wielki, słomkowy kapelusz. - Rano, kiedy cię nie było, zadzwoniłam do domu...

- Co zrobiłaś?

- Zadzwoniłam do domu. Gospodyni powiedziała, że mogę korzystać z jej prywatnego telefonu i zapłacić później. Próbowałam cztery albo pięć razy, ale nikt nie odbierał.

Morris przymknął powieki, czując falę ogromnej ulgi. Pogrzeb babki, nic innego. Udusiłby Massiminę z rozkoszą.

Ich pociąg odjeżdżał o ósmej piętnaście. Morris wolałby oczywiście *rapido*, ale Massimina nawet nie chciała słyszeć o dopłacie, tak więc byli skazani na przedział wypełniony „plebsem”, jak by to określiła droga Sandra. Massimina siedziała na prawo od Morrisa i po przeciwnej stronie. Ilekroć odwracał ku niej głowę, przesyłała mu mały, słodki uśmiech, co było bardzo irytujące. Marzył o tym, by przeczytać gazetę, tymczasem nie mógł jej nawet kupić, w obawie by Massimina nie zobaczyła czegoś nieprzeznaczonego dla jej oczu. Usiłował wyobrazić sobie treść prasowej notki. To śmieszne, ale nie potrafił myśleć o morderstwie - ani o porwaniu, skoro już o tym mowa - nie używając sformułowań, jakimi posługiwali się dziennikarze, nawet jeśli sam to morderstwo popełnił. Podobnie w przypadku meczu piłki nożnej, debaty parlamentarnej czy teatralnej premiery; dopiero po lekturze sprawozdań komentatorów człowiek zyskiwał pewność, że dane wydarzenie istotnie miało miejsce.

Tego ranka Morris znowu czuł się sobą i w dodatku ogarnęła go dziwna (zaskakująca?) beztroska. No i co z tego, że zostawił gazetę w hotelu? Patrząc na to teraz, w jasnym świetle następnego dnia, doszedł do wniosku, że tylko geniusz potrafiłby dokonać prawidłowego skojarzenia i połączyć morderstwo z porwaniem Massiminy. A potem konieczny byłby jeszcze większy skok myślowy, by oba te wydarzenia skojarzyć z osobą Morrisa. Skoro Giacomo mieszkał w Wero-



nie, było zupełnie naturalne, że kupował „Arenę”, a kogóż mogło obchodzić, na której stronie gazeta była otwarta.

Ponadto Morris absolutnie nie czuł, by zaszła w nim jakaś istotna zmiana. Starannie przebadał swój umysł, w poszukiwaniu śladów traumy, horroru czy ogólnego zamroczenia mogącego stanowić rezultat wczorajszych wydarzeń, jednak nie odkrył w sobie nic niepokojącego. Nadal myślał czysto i klarownie. Jedynie, co go teraz niepokoiło, to że nie może w spokoju przeczytać gazety ani dyktować triumfalnego listu do ojca, podsumowującego jego spostrzeżenia. W końcu nie miał wcale zamiaru zabijać. W jego działaniach nie było premedytacji - wręcz przeciwnie. Został zmuszony do tego czynu przez głupiego, rozpustnego idiotę, który, nawiasem mówiąc, nie zasługiwał na lepszy koniec, więc byłby prawdziwym głupcem, gdyby się teraz tym zamartwiał. (Osądzając morderstwo, powinno się brać pod uwagę przede wszystkim wartość ofiary i jej prawo do życia, a nie ograniczać się do czysto akademickich rozważań, czy dana śmierć istotnie jest wynikiem zbrodni, czy też nie, a jeśli tak, to kto jej dokonał.)

Ponadto doświadczenie z Massiminą okazało się niezwykle obiecujące. Pod tym względem sprawdził się także, może nawet lepiej niż inni. W stosunku do dziewczyny czuł się teraz bardziej opiekuńczy, a w jej obecności nawet szczęśliwy, zupełnie jakby nowe doznanie całkowicie wymazało tamto poprzednie. Całą noc spał z Massiminą, przytulony do jej ciężkich piersi, i było to niczym noc spędzona z matką. Odczuwał nawet wielką pokusę, by opowiedzieć jej o wszystkim. Może przyjąłaby to zupełnie spokojnie?

- *Panino, Morri?* - Pociąg właśnie zatrzymał się na stacji Fano i wychylona przez okno Massiminą domagała się kanapki z wózka na peronie. Dopłaty do *rapido*, tak by mogli podróżować wygodniej, odmówiła, natomiast teraz żądała od niego, by wyrzucał pieniądze na obeschnięte kanapki od Cygana na peronie.

- Nie - odmówił zdecydowanie.

Poczekaj, aż dziewczyna pójdzie do toalety, a wtedy poprosi siedzącą naprzeciwko staruszkę o gazetę i szybko przeczyta to, co najważniejsze. Zauważył, że Massimina co chwila musi chodzić do ubikacji, i bardzo mu to odpowiadało. Postara się wlewać w nią jak najwięcej płynów.

- *Cara*, kanapki sprzedawane przez tych ludzi są naprawdę okropne, ale jeśli chcesz, kupię ci colę. Napój z puszką na pewno ci nie zaszkodzi.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała, siadając z powrotem i uśmiechając się słodko.

Niestety na kolejne wołanie natury musiał poczekać aż do Senigallii.

HORROR W HOTELU W RIMINI. TAJEMNICZE MORDERSTWO krzyczał nagłówek na pierwszej stronie, ale cały artykuł ukryty był dopiero na stronie czwartej. Morris poczuł przypływ adrenaliny w żyłach.

- To straszne - zauważyła drobna, krucha staruszka z naprzeciwka, mimo upału w przedziale otulona szalem, która była tak uprzejma, by pożyczyć mu gazetę. Morris uśmiechnął się łagodnie i lekko unióś w górę brew.

Policja przyznaje, że podwójne morderstwo dokonane wczoraj w *Albergo degli Ulivi* w Rimini stanowi dla niej kompletną zagadkę. Zwłoki mężczyzny i kobiety zostały odnalezione późnym wieczorem, kiedy recepcjonistka uświadomiła sobie, że Signor Giacomo Pellegrini i jego angielska towarzysząca, Miss Sandra Delaforce, nie odpowiadają na telefony, mimo że kilka godzin wcześniej udali się do swojego pokoju. Po otwarciu drzwi uniwersalnym kluczem znaleziono zwłoki obojga, zamordowanych bestialsko wielokrotnymi ciosami w czaszkę.

Eksperci policyjni ustalili, że użyto różnych narzędzi: ciężkiej, ceramicznej donicy i niezidentyfikowanego metalowego przedmiotu.

Zabawne, że nie wspomnieli o poduszce. Morris nigdy nie miał zaufania do gazet, jeśli szło o wierność szczegółom.

CUDZOŁÓSTWO MOTYWEM? brzmiał podtytuł. Aczkolwiek policja nie jest jeszcze pewna, ilu było sprawców i jakie mogą być motywy owej masakry, rozpatrywana jest hipoteza, iż podłożem zbrodni była namiętna zazdrość i chęć zemsty. (Jakież to typowo włoskie.) Giacomo Pellegrini był żonaty - od niedawna w separacji z żoną - i miał dwójkę dzieci.

„Ktoś mógł mieć powód do zemsty” - usłyszeliśmy ze źródeł policyjnych - „choć z drugiej strony brutalny sposób popełnienia zbrodni, zdaje się wykluczać premedytację”.

Policja znalazła krwawe ślady butów zarówno w windzie, jak i na schodach, co każe sądzić, że albo sprawców było dwóch albo też jeden sprawca opuścił pokój, a potem wrócił. Jeśli motywem była kradzież, mógł sobie uświadomić, że nie zabrał torebki Miss Delaforce, zawierającej, jak się okazało, 600000 lirów. Policja przypuszcza, że morderca zabrał portfel Signora Pellegrini i część jego ekwipunku fotograficznego.

- Morri.

Dwie minuty i już była z powrotem. Nie mogła przecież zdążyć...

- Morri, Ancona. Wsiadamy. - Rzeczywiście pociąg wjeżdżał właśnie na stację, a on nawet tego nie zauważył. - Było zajęte - szepnęła jeszcze Massimina, kiedy ściągali z półki walizki.

- *Veramente orrendo* - powiedział Morris do staruszki, oddając jej gazetę (dziś bardziej niż kiedykolwiek czuł się niczym aktor).

Kiedy zapytała, czy zechciałby być tak usłużny i pomóc jej, zdjął jej bagaż i podał rękę przy wysiadaniu. Starsi ludzie byli tacy dystyngowani, tacy uprzejmi. Przy nich człowiek mógł się czuć całkowicie bezpieczny.

Pomysł był zupełnie prosty. Przed wysłaniem listu z żądaniem okupu należało przejechać ze wschodniej części półwyspu na zachodnią, by jak najbardziej oddalić się od Rimini. Ponieważ żadne z nich nie widziało przedtem Rzymu, Morris podsunął, że ich wspólna wyprawa jest do tego doskonałą okazją. Po ślubie pochłonie ich urządzenie domu i Bóg raczy wiedzieć, kiedy znajdą czas, aby odwiedzić Wieczne Miasto. Tak więc wzięli najwcześniejszy pociąg z Rimini, z przesiadką w Anconie, gdzie mieli pół godziny czasu do odjazdu rzymskiego ekspresu. Massimina natychmiast popędziła do toalety. Morris postawił walizki na ławce i usiadł, żeby zebrać myśli. Nienawidził takiego sposobu podróżowania, zapyziałych przedziałów, brudu, który nie wiadomo w jaki sposób zbierał się wszędzie, pod paznokciami, pod pachami, w zgięciach łokci; długiego oczekiwania na wiecznie spóźniające się pociągi i wreszcie ustawicznego przepychania się zatłoczonymi peronami. Jeśli już człowiek musiał podróżować, powinien to robić z klasą. W przedziale z dostateczną ilością miejsca na nogi, z możliwością kupienia zimnego drinka, ilekroć poczuje pragnienie. Kiedy już skończy się obecny czyściec i rozpocznie prawdziwe życie, będzie musiał popróbować takiego sposobu podróżowania.

Zabawne, ale w tej chwili nie bardzo potrafi sobie przypomnieć, jak smakowało życie, zanim się to wszystko zaczęło.

Morris morderca.

Cztery kryte perony dworca w Anconie wypełniały tłumy urlopowiczów, usiłujących spośród trzasków i szumów megafonów wyłowić komunikaty o kolejnych opóźnieniach. Między peronami błyszczały oślepiająco długie wstęgi szyn. Po jednym z torów właśnie przejeżdżał pociąg towarowy, odprowadzany wzrokiem przez grupkę opartych na łopatach robotników naprawiających torowisko. Morris usiłował skupić się na tym, co go jeszcze czeka, dokonać logicznej analizy wszystkich kolejnych kroków, jednego po drugim, ale jego umysł zbuntował się nagle. Miał świadomość, że ryzykuje, ale naprawdę nie potrafił się przemóc, aby po raz kolejny przeanalizować każdy szczegół, poczynając od chwili obecnej, kiedy znajdował się w oku cyklonu, przez wszystkie możliwe permutacje, jakie jeszcze mogły nastąpić, zanim on, Morris Duckworth, będzie wreszcie mógł wieść spokojne, wolne od trosk życie pod swoim szpetnym nazwiskiem w jakimś wspaniałym apartamencie w Rzymie, Neapolu albo w Weronie. (Dlaczego właściwie nie miałyby wrócić do Werony, kiedy wszystko się powiedzie?)

Beztrósco zaczął rozwijać wizję przyszłości, ze wszystkimi detalami, czując się przy tym absolutnie szczęśliwy. Przede wszystkim napisze książkę - to na pewno. Jeśli mądrze i ostrożnie zainwestuje pieniądze, może stać go będzie na otoczenie mecenatem jednego albo dwóch młodych ludzi wywodzących się z biednego środowiska i myślących podobnie jak on - może się udać. (Stypendium Duckwortha, rok we Włoszech dla obiecujących młodych pisarzy - niezwykle zajmujący sposób poznawania nowych ludzi.) Rozkoszował się tymi planami niczym zimną, orzeźwiającą porcją lodów, natomiast jego umysł stanowczo odmawiał skupienia się na kilku najbliższych dniach i tygodniach, podczas których

miał dopiero zapracować sobie na wygodne życie. (A przecież kariera, Bóg wie jak wielu, stypendystów Duckwortha zależała od powodzenia jego najbliższych posunięć.)

Pochylił się, odpiął zamek błyskawiczny torby i wyciągnął dyktafon.

„Drogi tato, jeśli porównamy przyszłość twoją i moją, może się to okazać niezmiernie pouczające i wymowne.

Twoja biegnie prosto, niczym po kolejowych torach, praca, telewizja, piwo i rzutki i tak w nieskończoność. Dla ciebie śmierć będzie niczym wypadek, nagła czkawka, wypadnięcie z szyn i koniec. Ja - przeciwnie - ja moją przyszłość kreuję zupełnie świadomie, z każdym moim poczynaniem. Dla mnie życie stanowi labirynt, gdzie każdy wybór jest decydujący, a przez to twórczy (to było świetne sformułowanie!). Ten kontrast stanowi odzwierciedlenie naszego zasadniczo odmiennego nastawienia do wolności i odwagi. Ja mogę żałować..." - *Documenti per favore.*

Morris gwałtownie poderwał głowę. Wysoki, masywny carabinieri, z komicznym kalabryjskim wąsikiem i w białej, przepoconej koszuli właśnie legitymował dziewczynę o wyglądzie hipiski zajmującą tę samą ławkę. Dalej peronem szło jeszcze trzech albo czterech umundurowanych funkcjonariuszy, wrywkowo sprawdzając dokumenty podróżnych (akurat teraz, kiedy tak mu dobrze szło).

Instynktownie popatrzył w lewo. Po mniej więcej pięćdziesięciu metrach peron urywał się, zastąpiony płataniną torów. Morris wsunął dyktafon z powrotem do torby i zanurzył rękę w bocznej kieszeni, w poszukiwaniu paszportu. A więc ktoś jednak dostrzegł go w hotelu i przekazał policji jego opis. Albo nie w hotelu, tylko kiedy wrzucał torbę do wody. Albo nawet poprzedniego wieczoru, kiedy jadł kolację w towarzystwie Giacomina i Sandry (no jasne, policja znalazła w kie-

szeni Giacomina rachunek z restauracji i przepytala kelnerów). Sporządzili portret pamięciowy, a potem wystarczyło już tylko sprawdzić wszystkie wychodzące z miasta połączenia. Co mu strzeliło do głowy, żeby jechać pociągiem? Było to równoznaczne z dopraszaniem się o kłopoty. Co ma robić, jeśli go rozpoznają? Podda się natychmiast. Nie miało sensu szarpać się niczym idiota. Żeby go zastrzelili? Morris czuł już zimny dotyk kajdanek zatraskujących się na jego przegubach i słyszał siebie samego, przemawiającego przed sądem: „Ofiary wcale nie były ode mnie lepsze, Wysoki Sądzie. Signor Pellegrini uczynił szereg nieprzy- stojnych propozycji mojej *fidanzata*, które...” Chryste Panie, przecież jego *fidan- zata* to Massimina!

Policjant obracał w palcach niedużą, plastikową kartę, jednocześnie od stóp do głów lustrując posiadaczkę dokumentu. Na koniec kazał jej podnieść ręce i pokazać wewnętrzną stronę ramion. Dziewczyna uczyniła to posłusznie, a poli- cjan odchrząknął, nie znalazłszy tego, czego szukał.

- *Mio passaporto* - powiedział Morris z najszczerzym z uśmiechów i moż- liwie z najsilniejszym angielskim akcentem. Na widok szacownego, krótkowło- sego, spoglądającego przytomnie i z całą pewnością nienaćpanego cudzoziemca, południowa twarz *carabiniere* rozjaśniła się w wyrazie bezinteresownej służal- czości, a ręka odsunęła podawaną mu niebieską książeczkę.

- *Niente bisogno, grazie.*

Morris odegrał całe przedstawienie ze sprawdzaniem godziny i poszukiwa- niem drobnych po kieszeniach, po czy wstał i ruszył prosto w stronę toalet usytu- owanych bliżej głównego budynku. Musi zatrzymać Massiminę, zanim stamtąd wyjdzie i...

Ale było już za późno. Massimina spotkała go w pół drogi.



- Morri, policja szuka narkomanów, sprawdza...

- Czy pytali cię o dokumenty? Miałaś je przy sobie?

- Tak, pokazałam im dowód. Oglądają wszystkim ręce, żeby sprawdzić, czy...

Morris położył dłoń na ramieniu Massiminy i gorąco ucałował miękki policzek, zupełnie jakby nagradzał ją za to, że wykazała się nadzwyczajnym sprytem: oto pokazała *carabiniere* dowód tożsamości i nie dała się przy tym rozpoznać. Policja w Anconie najwyraźniej nie szukała ofiary werońskiego porwania. Nie spacerującej wolno po peronie. Było to zupełnie oczywiste, jednak wciąż nie mógł w to uwierzyć. Dla niego był to po prostu mały cud.

- Nasz pociąg stoi na peronie czwartym. Idź i zajmij miejsca, a ja pobiegnę jeszcze zadzwonić.

Dobrze było mieć współnika. Gdyby go aresztowano, przysięgłby, że uczestniczyła we wszystkim od samego początku, by pociągnąć ją za sobą. Obecnie badania potrafiłyby wykazać, że uprawiali seks w przeciągu ostatnich kilku dni. Dopiero dalby popalić Signorze Mammie z jej gadaniem o jej, och jak dobrze wychowanej, córeczce.

-Ale...

- Przypomniałem sobie, że w Rzymie mieszka mój przyjaciel, u którego moglibyśmy się zatrzymać. W ten sposób zaoszczędzilibyśmy trochę.

Budki telefoniczne znajdowały się w pobliżu kas biletowych. Morris zamknął się w jednej z nich, wyciągnął notes z adresami i wybrał numer. W tej chwili działał zupełnie instynktownie. Rzecz w tym, aby wszystko szło gładko, aby każde następne posunięcie wynikało z poprzedniego. Tak jak w życiu.

- *Signora Trevisani*

- *Si, chi parla?*

- *Sono io, Signora, Morris.*

- *Oh, dove sei?* — W jej głosie nie słyhać było ani zadowolenia, ani irytacji. Raczej zrezygnowanie.

- W An... w Bari - poprawił się szybko - Chciałem zapytać, czy są jakieś nowe wiadomości w sprawie Massiminy, to znaczy od jej... - zawiesił głos, jakby bojąc się mówić dalej.

- Nie - odparła Signora Trevisan. Wyraźnie starała się nie rozplakać, więc postanowił być dla niej łagodny. Mój Boże, przecież gdyby nie jej grubiaństwo wobec niego, byłby dla niej pełen szacunku, a obecna sytuacja prawdopodobnie nigdy nie miałyby miejsca. Mógłby nawet ożenić się z Massiminą, dodać tej rodzinie trochę klasy, nowej krwi, dobrych genów.

- Czy jest jakaś nadzieja, że to jednak nie porwanie, to znaczy...

- Policja uważa, że to wszystko wygląda dziwnie. - Teraz mówiła już szorstko.

- Jeślibym wrócił do Werony, czy mógłbym w jakiś sposób służyć państwu pomocą? Chciałbym...

Nie, Signora Trevisan naprawdę nie sądziła, by mógł im jakoś pomóc. Policja uważnie bada każdy trop, a jej brat i Bobo mieszkają teraz z nimi, by służyć radą i moralnym wsparciem.

- Rozumiem - powiedział Morris.

- Zawsze jednak może pan zadzwonić, jeśli pan chce - zakończyła dość opryskliwie, jak mu się wydawało.

- *Grazie infinite* - odparł ciepło i po zapytaniu o pozostałych członków rodziny odwiesił słuchawkę.

Jeszcze tylko telefon do Gregoria. Gdyby doszło do najgorszego i musiałby uciekać, gdzie będzie mu lepiej, niż na złotych plażach Sardynii?

Telefon dzwonił przez dłuższy czas, a kiedy ktoś wreszcie podniósł słuchawkę, nie był to wcale Gregorio tylko jakiś inny chłopak. Gregorio podszedł dopiero po chwili, chichoczący i wyraźnie podpity (ci *figli di papa*, wylegujący się na nasłonecznionych werandach i pijani już w południe). Morris wyjaśnił swoją sytuację krótko i zwięźle, bez przymilania się, bez żebrania o przysługę. Właśnie zatrzymał się w Bari, ale z powodów zbyt skomplikowanych, by opowiadać o nich przez telefon, postanowił zrezygnować z wyprawy do Turcji. Czy mógłby zatrzymać się na krótko na Sardynii, zgodnie z wcześniejszym zaproszeniem? Mniej więcej za tydzień.

- Ale mnie już tu nie będzie - powiedział Gregorio. Pierwszego lipca ojciec ma mieć operowany woreczek żółciowy, więc matka nalega, aby wrócił do Weroni, odwiedzać go w szpitalu i dotrzymać jej towarzystwa w domu, ponieważ od czasu tamtego włamania, kiedy ukradziono brązową figurkę, boi się przebywać sama w mieszkaniu, co jest zupełnie zrozumiałe.

Ale cholernie wkurzające, dokończył w myślach Morris.

- Och, rozumiem.

-Cóż...

- Widzisz, problem w tym, że podnająłem swoje mieszkanie. Wiem, że to było głupie, i teraz...

Zerknął na zegarek. Trzy minuty do odjazdu pociągu...

- Zawsze może pan zatrzymać się u nas w Weronie. Matka byłaby zachwycona. Przy gościu przynajmniej oderwałaby się od przykrych myśli. Matka uwielbia nowych ludzi.

- Dziękuję, zastanowię się jeszcze - powiedział Morris, starając się, aby w jego głosie słychać było nutkę rozczarowania. - Jest tylko jeden szkopuł, mianowicie ten, że będę z raczej bliskim przyjacielem.

Gregorio roześmiał się głośno i krzyknął coś do swojego towarzysza, znajdującego się w pokoju. Morris odruchowo użył określenia *amico*, a nie *amica* i okazało się, że to było bardzo trafne. W tle rozległy się kolejne wybuchy śmiechu, a potem Gregorio powiedział:

- Roberto proponuje, abym zostawił u niego klucze od domu, a on je panu przekaże po pańskim przyjeździe.

- Cóż... ale tylko w przypadku, kiedy jesteś pewny, że tak można. To znaczy, nie chciałbym...

Owszem, Gregorio był pewny i podyktował Morrisowi adres i numer telefonu Roberta.

- To przyjaciel z Werony? - zapytał Morris lekko.

- Roberto? Nie, mieszka tutaj. Jego rodzice mają hotel.

To dobrze. Morris odetchnął. Oczywiście powinien zapytać o wyniki egzaminów, ale czas naglił. Jeszcze nadarzy się okazja.

Przeciskał się zatłoczonymi korytarzami, wypatrując Massiminy. Pociąg był pełen żołnierzy, roześmianych, palących papierosy przy otwartych oknach. Morris nie znosił żołnierzy, a już zwłaszcza niechlujnych, tak że jego łokcie pracowały w sposób dość bezwzględny. Znalazszy Massiminę, opadł na siedzenie naprzeciw niej, bez tchu, za to cały w uśmiechach.

- Czemu tak późno? Już myślałam...

Dopiero teraz zauważył, że te kilka chwil w toalecie wykorzystała, żeby się umalować. Delikatna, różowa po-madka na wargach, na powiekach pastelowe cienie. Stanowczo zbyt atrakcyjna, biorąc pod uwagę tych wszystkich żołnierzy dookoła. Ale dodawała człowiekowi splendoru, to fakt. Trzeba jej tylko będzie kupić inny stanik. Coś mniej wyzywającego i rzucającego się w oczy.

- Mojego przyjaciela nie było, więc zadzwoniłem do Paoli.

- Do kogo?

- Do Paoli. Do twojej siostry.

- Och - Massimina odetchnęła z wyraźną ulgą. - A ja tak się bałam... Kiedy pociąg miał ruszyć, omal nie wysiadłam. Skąd miałam wiedzieć, że zdążysz?

Morris obdarzył ją uśmiechem z gatunku ależ-nic-się-nie-stało i rozejrzał się po przedziale. Biznesmeni, studentki, dwie wieśniaczki i żołnierz. Raczej nikt taki, kto zechciałby się wdać w jakąś niebezpieczną konwersację.

- Co mówiła Paola?

- Twoja matka i babka pojechały w góry do Selva di Valgardena. Doktor zalecił babce rekonwalescencję. Antonella i Bobo wybrali się z nimi.

- Och? To Paola jest w domu sama? - W głosie Massiminy pojawiło się powątpiewanie.

- Nie. Mieszka u przyjaciółki, tylko od czasu do czasu wpada do domu, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. To dlatego wczoraj nikt nie odbierał. Miałem szczęście, że ją zastałem.

- Pewnie nocuje u Giuseppiny - powiedziała Massimina. - To jej najlepsza przyjaciółka.

- Owszem. - Morris zauważył, że Massimina wygląda na trochę przybitą. - Tęsknisz za nimi? Za domem?

Pociąg zanurzył się w pierwszym z tuneli przecinających Apeniny. W całkowitej ciemności, jaka nagle zapadła, i w huku odbijającym się echem od ścian, Massimina pochyliła się do Morrisa, wsunęła mu dłoń między kolana, a potem wyżej, między uda.

- Nie przy tobie - powiedziała. Musiała prawie krzyczeć. - Nie po ostatniej nocy.

- Paola dała mi adres, żebyś mogła pisać bezpośrednio do Mammy - podjął Morris. - A może wspólnie napiszemy do niej długi, serdeczny list, żeby zobaczyć, czy zmieniła zdanie?

Napisali list na stacji w Terni, gdzie pociąg zdecydował się zatrzymać na całe dwadzieścia minut, na cytrynowo-żółtym papierze listowym z niebieskimi kwiatkami niezapominajek, zdobiącymi lewy margines, który Massimina kupiła w Rimini. Massimina streściła mu wszystko, co chciała w nim zawrzeć, ale to on, Morris, choć przebywał we Włoszech zaledwie dwa lata, wybierał wszystkie eleganckie, pocieszające sformułowania. List sprowadzał się do tego, że są bardzo,

ale to bardzo szczęśliwi i w osiemnaste urodziny Massiminy chcieliby się pobrać. Mają nadzieję, że Mamma wyrazi zgodę. Wszystkie wątpliwości zostały rozwiązane. Morris podpisał się także i dodał kilka zdań własną ręką, że niezmiernie żałuje nieporozumień, jakie zaszły w przeszłości, i bardzo pragnie, by sytuacja jak najszybciej wróciła do normalności. Najdziwniejsze było to, że pisał całkiem szczerze i że takie rozwiązanie wydawało mu się całkiem możliwe. Naprawdę robił wszystko, co w jego mocy, aby udobruchać swoją przyszłą teściową. Zupełnie jakby nic jeszcze nie zostało postanowione. .

O drugiej trzydziści pociąg ruszył wreszcie z Terni. Resztę podróży Morris spędził w stanie półhipnotycznym, wpatrzony w przesuwane się za okna pola złocistej, czerwcowej kukurydzy, poprzecinane rzędami winorośli. Jeśli człowiek nie ruszał oczami, żeby uchwycić jakiś szczegół, lśniąca zieleń liści na tle złotego dywanu ziarna miała efekt niemal usypiający. Kiedy krótko po czwartej pociąg zajechał wreszcie na stację w Rzymie, umysł Morrisa był kompletnie pusty, wydrenowany z wcześniejszych myśli i gotowy do dalszego działania.

Gdy tylko znaleźli się na peronie, wysłał Massiminę do kawiarni, żeby zamówiła cappuccino i kanapki i zajęła stolik, a sam poszedł kupić znaczki i nadać list. Obie walizki zabrał ze sobą. Kiosk znajdował się tuż obok przechowalni bagażu. Kupił wystarczającą ilość znaczków na przesyłkę ekspresową, nakleił je na kopertę z listem domagającym się okupu, letrasetem wypisał na niej adres Boba i wysłał. List Massiminy wrzucił do kosza na śmieci, drąc go uprzednio na strzępy.



Piątek, siedemnastego czerwca, wieczór. Od dnia, kiedy Massimina opuściła dom w Quinzano, dzielnicy na odległym przedmieściu Werony, upłynął dokładnie tydzień, niemal co do godziny, a jeszcze sześciu dni brakowało do chwili, kiedy rodzina Trevisan - zgodnie z instrukcjami zawartymi w liście żądającym okupu - włoży okrągłe osiemset milionów lirów do zwykłej torby podręcznej, którą zostawi na półce na bagaże w przedziale pierwszej klasy ekspresu Mediolan-Palermo opuszczającego Mediolan o 7:52. Potem przed Morrisem otwierały się dwie możliwości: łódź i podróż na południe i dalej na wschód, do Grecji, albo też prom na Sycylię i prawdziwy wypoczynek w domu Gregoria. A z początkiem jesieni, kiedy wszystkie ślady ulegną zatarciu, powrót do Werony. Kto wie, może nawet w pierwszym semestrze zdecyduje się na kilka godzin w szkole, żeby nie wzbudzać zbytniego zainteresowania.

Noc siedemnastego czerwca stanowiła dokładnie połowę drogi i wszystko układało się śpiewająco. Za to następnego ranka, w sobotę osiemnastego Morris obudził się z bólem głowy rozłupującym czaszkę, temperaturą sięgającą chyba stu stopni, ciałem słabym i skąpanym w pocie, oczami czerwonymi i piekącymi, uszami szumiącymi niczym nienastrojony radioodbiornik i jelitami dzwoniącymi na alarm. Był chory.

Poprzedniego wieczoru świętowali. Morris uparł się, że powinni jakoś uczcić pierwszą noc pobytu w Rzymie, tak więc zdecydowali się na pensjonat o nieco wyższym standardzie, mieszczący się w jednej z bocznych uliczek w pobliżu Piazza Quirinale. (I co z tego, że tym razem trzeba było okazać paszport? Do tej pory nikt nie sprawdzał miejsc jego pobytu. W poniedziałek zadzwoni na policję i powie, że zmienił plany i aktualnie przebywa w Rzymie.) Zameldowali się i przed szóstą byli już w pokoju z bagażami. Zaraz też opuścili pensjonat, żeby się przejść i zjeść kolację.

Wieczorne powietrze było balsamiczne i łagodne. Obejrzeni zdecydowanie szpetny pomnik Wiktora Emmanuela II na Piazza Venezia, następnie udali się na Via dei Fori Imperiali. Słońce rzucało długie, ostre cienie na rozgrzany asfalt, przydawało kolorów potężnym krzywiznom murów Koloseum rysującym się przed nimi. Morris pomyślał, że właściwie nie powinien był wyrzucać aparatów fotograficznych Giacomu. Zawsze chciał robić dobre zdjęcia. Tak, w dziedzinie fotografii z pewnością okazałby się ekspertem.

(To było zdumiewające, ale tamte morderstwa zdawały się być takie nierealne. Jeśli się dobrze zastanowić, świat prawdopodobnie pełen był morderców, zbrodniarzy wojennych i krzywdzicieli dzieci, którzy nie mogli uwierzyć w to, że faktycznie dokonali swojego czynu. Tymczasem prawda była taka, że nie istniały jednostki niezdolne do zbrodni, ludziom brakowało tylko zdolności do zaakceptowania tego faktu. Każdy kuchenny nóż stanowił mordercze narzędzie i w myślach każdy człowiek zabijał po tysiąc razy. Wszystko było wyłącznie kwestią zgrania dwóch rzeczy: pragnienia i okazji. „Tato, zdumiewa mnie, że ktoś obdarzony równie silnym charakterem jak ty, nigdy nikogo nie zabił”. Jednak czy rzeczywiście? W końcu taka Skinny Binny zniknęła z ich życia raczej nagle. Tak, ten wątek będzie kolejną strawą dla myśli i pożywką dla dyktafonu.)

Morris kupił przewodnik po mieście. Po zwiedzeniu Koloseum, wrócili na Forum Romanum i obejrzeni wszystko, co było tam do obejrzenia, a potem jeszcze przespacerowali się po Palatynie. Chodzili aż do dziewiątej, do zamknięcia tras turystycznych. Massimina paplała bez przerwy, wyrażając swoje kontynentalne zdumienie, co było irytujące, jednak nie aż tak bardzo, by zepsuć mu autentyczną radość ze zwiedzania tego starożytnego miasta. Zawsze pragnął je zobaczyć i oto miał je przed oczami: nieskończenie bardziej majestatyczne niż mizerne, zwietrzałe angielskie ruiny, kulące się gdzieś po kątach, przesłonięte jaskra-

wymi reklamami i brudnymi, betonowymi blokami, stanowiącymi świadectwa szaleństwa budowlanego lat sześćdziesiątych. W Rzymie wszystko wydawało się na swoim miejscu, wszystko było spójne i stanowiło jedność: szerokie, tętniące ruchem arterie, porośnięte drzewkami oliwnymi i pomarańczowymi ruiny i długie, błyszczące światłami ulice, których wspaniałe nazwy były niczym dumne sztandary z przeszłości: Via San Teodoro, Via Botteghe Oscure.

Massimina paplała bez przerwy, ale on nie słuchał. Uczył się tego, czego bez wątpienia każdy mąż uczy się w przeciągu kilku pierwszych dni wspólnego zamieszkania, że jest czas słuchania i czas zamykania uszu na kobiece gaworzenie, bez którego doskonale można się obejść. Uświadomił sobie jednak, że nawet w takich chwilach, kiedy ignorował Massiminę, cieszyła go jej obecność, będąca jakby obietnicą fizycznego spełnienia. Tak naprawdę ich wymuszone współżycie całkiem dobrze mu się przysłużyło (w końcu był otwarty na wszystko). Patrząc od strony czysto praktycznej, towarzystwo drugiej osoby gwarantowało, że nikt nie usiłował człowieka zagadnąć czy poderwać, jak by to z pewnością miało miejsce, gdyby był sam (choć w pewien sposób czuł się nieskończenie bardziej samotny niż kiedykolwiek, nie martwiło go to, gdyż jednocześnie miał świadomość, że ktoś przecież czeka w pobliżu).

Co więcej, dla Massiminy Morris był autorytetem w każdej dziedzinie - w porównaniu z nią był nim istotnie - i zasięgała jego opinii dosłownie o wszystkim, co oglądali, obojętnie, czy było to dzieło Michała Anioła czy koszula do kupienia. Nawet go to cieszyło. Wreszcie czyjeś uznanie. Byłoby zabawne, zabrać ją do Anglii i zaprezentować ojcu, niechby przeparadowała przed nim w najbardziej wyzywającym z wyzywających biustonoszy, tłumacząc mu swoją łamaną angielszczyzną, jakim to Morris jest geniuszem.

Wybrali restaurację na Piazza Navona i usiedli przy jednym ze stolików ustawionych na zewnątrz, na kamiennych płytach, jakimi wyłożony był plac. Zamówili tortellini z szynką i śmietaną, cielęcinę z sałata, a na deser jeszcze lody. Obsługa była szybka i wytworna, plac pełen młodzieży: dziewcząt na rowerach i zbitych w grupki chłopców, zerkających ku nim z pożądliwością albo rozmarzeniem i obrzucanych w zamian uważnymi spojrzeniami. Powietrze miało w sobie coś zdecydowanie południowego — temperaturę, zapach i tę charakterystyczną szczyptę anarchii. Morris poczuł się całkowicie spokojny i bezpieczny. Kto by go znalazł w takim mieście?

- Może powinniśmy tu zamieszkać - powiedział, omal nie dodając przy tym: - kiedy twoja mamusia wysupła forszę.

- Byłoby wspaniale - zgodziła się Massimina, pewnie rozważając, ile dałoby jej to okazji do zabłyśnięcia. Właściwie dlaczego nie, uznał łaskawie. W końcu urok Rzymu polegał także na tym, że tu można było błyszczeć. Nie będzie jej przecież tego zabraniał. Przedtem tylko musi ją nauczyć, żeby ostrożniej siadała, kiedy ma na sobie krótką spódniczkę.

Na Corso del Rinascimento, którędy wracali, grupki młodzieży tańczyły wokół Vespy do muzyki z magnetofonu kasetowego. Na tle atramentowoczarnych plam mroku i mocnych świateł ulicznych lamp ciała poruszały się z gracją. Massimina, która wypila sporo wina, uparła się, żeby do nich dołączyć. Morris sprzeciwił się stanowczo.

- Morri, w takim razie chodźmy do dyskoteki. Znajdźmy jakąś dyskotekę, proszę. Czy wiesz, że nigdy nie byłam w prawdziwej dyskotece? Mamma nie puszczała mnie nigdzie, twierdząc...

Morris odparł, że nie lubi tańczyć. Mimo późnego wieczoru, na dworze nadal było ciepło. Była to jedna z tych rzeczy, które zawsze przypominały mu, że znajduje się rozkosznie daleko od domu. Chciał się odprężyć, nasycić otaczającymi go wspaniałościami.

- Ale jak można nie lubić tańczyć? Po prostu poruszasz całym ciałem. To jest naprawdę fajne. Chodź, w tej okolicy musi być milion dyskotek...

Jednak Morris pozostał nieugięty.

- Założę się, że to dlatego, że nigdy nie próbowałeś - powiedziała Massimina protekcjonalnie. - Przez całe lata siedziałeś na uczelni po uszy zagrzebany w książkach i nigdy nie przyszło ci nawet do głowy spróbować.

- A kiedy Morris milczał, dodała jeszcze: - Chodź, nauczę cię, zobaczysz, jaka to przyjemność.

Kiedy minęli Panteon i skręcili w Via Seminario odezwała się ponownie.

- Morri? - Jej głos brzmiał teraz o wiele łagodniej niż poprzednio. - Morri, ty nie miałeś wielu dziewcząt przede mną, prawda?

Dokładnie tego typu rozmowy najbardziej działały mu na nerwy. Potrafiły zepsuć najwspanialszy nawet dzień. Nie będzie odpowiadał. Zignoruje.

- Mam na myśli, że kiedy ty, kiedy my... - Usiłowała przytulić się do niego, ale przyspieszył tylko kroku.

- Kiedy byliśmy ze sobą tamtego dnia, odnosiłam wrażenie, że dla ciebie jest to również pierwszy raz i...

- I co? - warknął. A niech ją diabli.

- I czułam się tak szczęśliwa. Morri, nie złość się, proszę. Naprawdę jestem szczęśliwa, że nie miałeś nikogo przede mną. To czyni naszą miłość taką czystą, ta-ka...

- To nie był mój pierwszy raz - powiedział ostro. Massimina zaczęła płakać.

Usiedli w barze na Piazza

Quirinale i Morris wypił dwie karafki Frascati prawie sam.

- Czasami potrafisz być bardzo okrutny, Morrees - powiedziała już po powrocie do pensjonatu, kiedy rozbierali się do snu.

Ich pokój był świeżo odmalowany, z ogromnym, starym, podwójnym łóżem, pachnącymi politurą meblami, krucyfiksem nad łóżkiem i Madonną na przeciwległej ścianie. Do tego wielkie, czyste okno, zaopatrzone w nowoczesne, funkcjonujące bez zarzutu żaluzje. Drobnny postęp.

- Czasami wcale nie jest z tobą łatwo - poskarżyła się Massimina

- Więc poświęć się - odparł. Pierwszy dzień w Rzymie, a ona musiała go zepsuć. - Albo wracaj do mamy, jeśli wolisz.

- Może wrócę - powiedziała. Istna farsa.

- Może wrócę - powtórzyła jeszcze. Akurat. Po jego trupie.

A teraz obudził się chory niczym pies. W pierwszej chwili pomyślał, że to efekt wypitego poprzedniego wieczoru wina. Wygramolił się z łóżka, wstrząsany gwałtownymi dreszczami, i pospieszył korytarzem do wspólnej łazienki. Biegunka. Po prostu świetnie. Doskonale wybrany moment. Zerknął do lustra. Szara, błyszcząca od potu skóra, ramiona pokryte gęsią skórką. Przemył twarz i wrócił do pokoju, z głową chwiejącą się na wszystkie strony, niezdolny myśleć, nie-

zdolny utrzymać się prosto na nogach. Byle tylko nie zwymiotować. Nie tutaj, nie na korytarzu, gdzie zwróciłby na siebie zbyt wielką uwagę.

W pokoju odsunął żaluzję do połowy. Widząc, że na dworze jest już całkiem jasno, spróbował się ubrać. Musi jakoś stanąć na nogi, skoro przez cały dzień ma pilnować Massiminy. Nie był w stanie; kiedy pochylił się ku walizce, by wydobyc świeżą koszulę, omal się przy tym nie przewrócił. Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do łóżka.

Massimina poszła kupić mleko i brioszki na śniadanie. Morris przełknął kilka łyków mleka, ale nie dał rady utrzymać jedzenia. Opadł na poduszkę i zaczął jęczeć.

- Mówiłam ci, żebyś tyle nie pił.

Bang. Strzał w głowę z bliskiej odległości. Tak, żeby ją rozwalilo na kawałki. To on tu umiera, skulony niczym embrion, nękany gorączką, a ta mu wstawia gadki o picciu.

Czy to kara zesłana przez Boga?

A może choroba weneryczna? Co będzie, jeśli...

Massimina poprawiła mu poduszki.

- Idę poszukać padrony. Wytłumaczę jej wszystko i poproszę o świeżą pościel, na pewno mi nie odmówi. Twoje prześcieradła są zupełnie przepocone.

- Nie - zaczął Morris - nie trzeba...

- Jesteś chory i będziesz robił, co ci każę - oznajmiła Massimina stanowczo, głosem, który zdawał się należeć raczej do jej matki niż do jej samej. Jego własnej matki także, jeśli się nad tym zastanowić, matki z tych rzadkich dni, kiedy



tatę powalało któreś z paskudnych przeziębień i kiedy mogła wziąć na nim odwet. „To dla twojego dobra” - archetypiczna kobieta, zajęta nieustannym pocucaniem. („Dla mnie byłoby najlepiej, gdybym umarł” - typowa odpowiedź ojca z lat sześćdziesiątych.) Massimina opuściła pokój. Morris czuł się zbyt słabo, by pójść za nią, mięśnie ramion nie przestawały mu drżeć. Ktoś mógłby zrobić fortunę na ubezpieczaniu przestępców od choroby podczas akcji, pomyślał nagle. Ogłoszenia w specjalistycznej prasie.

Chyba zdrzemnął się trochę, bo kiedy ponownie popatrzył na zegarek, była już prawie jedenasta. Massimina wyszła godzinę temu i ciągle nie wracała. Ogarnięty nagłym niepokojem, wsparł się na łokciu. Coś odkryła, ktoś jej coś powiedział, przeczytała coś w gazecie, poszła na policję. Musi się podnieść, musi wyjść. Nie dał rady wstać. Sięgnął tylko pod łóżko i macał przez chwilę, dopóki nie natrafił na swoją walizkę. Wciągnął ją, umazaną kurzem. (Człowiek pragnie żyć pięknie, godnie, z artyzmem, poruszać się z gracją wśród wykwintnych przedmiotów, snuć jasne, wyważone myśli, tymczasem czym to się kończy? Umiera na jakąś parszywą, południową chorobę w zatęchłym hoteliku, gdzie od miesięcy nikt nie zamiótł pod łóżkiem. A jemu się wydawało, że to miejsce jest trochę porządniejsze od innych.) Chwilę przewracał ubrania w walizce, wreszcie wyciągnął dyktafon i opadł na wilgotne prześcieradła.

„Drogi tato, jestem w Rzymie, gdzie poważnie zachorowałem”. Znowu złapały go dreszcze. Już samo mówienie, połączone z włączaniem i wyłączaniem dyktafonu, było wyczerpujące. Z włosów skapywał mu pot. „Kiedy myślę o najważniejszych wydarzeniach w moim życiu, zastanawiam się, ile...”. Zaraz, o co mu chodziło? Z pewnością chciał powiedzieć o czymś konkretnym. Miał to na końcu języka. O czymś, co tkwiło w nim naprawdę głęboko, o czym w gruncie rzeczy nigdy nie przestawał myśleć. On sam, ojciec, matka, kobiety, całe jego życie,

nadchodzący obecnie kres. Chciał mówić o czymś, co tłumaczyłoby jego postępowanie i o czym świat koniecznie powinien się dowiedzieć. Zawsze przecież jego przemyślenia były głębokie i warte nagrywania. Takie właśnie miewał w Cambridge (końcowe egzaminy były tylko czczą formalnością). A jeśli pisane mu było umrzeć tutaj na poważną chorobę - czuł to wyraźnie, poza tym wolał umrzeć, niż dać się aresztować (czy naprawdę wolał?) - no więc skoro już pisane mu było umrzeć i cała prawda miała wyjść na jaw, chciał, aby ta<sup>^</sup> śmy świadczyły w jego obronie, kiedy zacznie się gromadne potępienie. Ludzie będą się prześcigać, żeby go osądzić, skazać i potępić, zupełnie jakby był jakimś monstrum z innej planety, a nie kimś podobnym do nich samych. Wystarczyło popatrzeć, jak traktowali terrorystów. Zupełnie jakby żaden z potępiających nigdy nie sprawił jakiemuś rozpustnemu Giacomo solidnego lania, na które tamten w pełni zasługiwał.

Jeszcze raz przesłuchał ostatnie zdanie „...o najważniejszych wydarzeniach w moim życiu, zastanawiam się, ile...”. Cholera, baterie zaczynały się wyczerpywać. Jego głos brzmiał ciężko, słowa ciągnęły się komicznie. (Ostatni niewinny żarcik Fortuny? Zostawić go na łożu śmierci z rozładowanymi bateriami.) Spróbuje zakończyć w krótkich słowach. Czuł się coraz bardziej wyczerpany. Boże, przecież nie pisze doktoratu ani innej uczonej rozprawy, „...ile z nich było zrządzeniem losu, a ile wynikiem moich własnych wyborów. (Psychoanalityk mógłby na przykład zapytać, czy zabiłem Giacomą, gdyż jego seksualny promiskuityzm kojarzył mi się z twoim, tato, czy też uczyniłem to wyłącznie dla własnej wygody?) Przeznaczenie czy wybór? A może obie te rzeczy są w jakiś sposób sprzężone ze sobą, może to przeznaczenie zawsze podsuwało mi te wybory, jakich miałem dokonać, o których wiedziałem, że ich dokonam mimo wolności...”.

Usłyszał czyjeś szybkie kroki na korytarzu, a potem obracanie klucza w zamku. Zdażył jeszcze wrzucić dyktafon do walizki i położyć się z powrotem, kiedy do pokoju weszła Massimina, z dwiema torbami pełnymi zakupów i plikiem gazet i czasopism pod pachą. Piegowatą twarz miała ożywioną i pełną przejęcia.

- Włóż to pod język i poczytaj sobie gazetę. Ja idę po świeżą pościel. Padrona, która, nawiasem mówiąc, nazywa się Signora Ligozzi, powiedziała, że przywiozą ją najwcześniej o jedenastej. - Wepchnęła mu w usta termometr, a w dłonie egzemplarz „La Mattina”.

#### MORDERSTWO W RIMINI. NOWE ODKRYCIA. NOWE TAJEMNICE.

Artykuł zdawał się wręcz wyskakiwać na niego z prawego górnego rogu pierwszej strony, do bólu atakując bezbronne gałki oczne. Jak Massimina mogła go nie zauważyć? Czuł ogromną wdzięczność, że tak się o niego starała (wiedziała, że lubi czytać gazety, więc przyniosła mu kilka; czy ktoś kiedykolwiek tak dbał o niego?), ale jednocześnie wydawało mu się, że pogrąża się w koszmarze, uwięziony w przestrzeni, która z każdą mijającą chwilą, stawała się coraz gorętsza i bardziej duszna, coraz bardziej mroczna i krwawa. Skoro teraz nie mógł pilnować Massiminy po całych dniach, jedynym logicznym wyjściem było... Czuł mdłości, wszystko zamazywało mu się przed oczami. Trzymał gazetę w trzęsących się dłoniach, jednocześnie mocno zaciskając wargi na termometrze, podczas gdy Massimina poszła po czystą pościel. Przecież on naprawdę nie miał zamiaru nikogo zabijać.

Policja ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że okrutne morderstwo w Rimini było dziełem jednego tylko sprawcy.

Zmasakrowane ciała kochanków napastnik zostawił leżące w kałuży krwi w pokoju hotelowym w czwartek wieczorem.

W kałuży krwi, gruba przesada. Kochankami też nie byli z całą pewnością. Cudzołożnicy to o wiele odpowiedniejsze słowo, Kochankami byli on i Massimina.

Obecnie jest pewne, że morderca próbował wrócić na miejsce zbrodni, w niedługi czas po dokonaniu krwawego dzieła. Liczne odciski palców znalezione na drzwiach wskazują, że nie dał rady wejść do środka, gdyż opuszczając pokój zaraz po zbrodni, zatrzasnął za sobą drzwi. Pytanie, na jakie inspektor Rodari i jego zespół musi znaleźć teraz odpowiedź, brzmi...

Słyszając głosy w korytarzu, Morris szybko przewrócił gazetę na drugą stronę, omal nie odgryzając przy tym końcówki termometru.

Miał 41 stopni gorączki. Pomnożyć przez 9/5 i dodać 32. Nie, nie potrafił wykonać tego działania. Na pewno wysoka, zważywszy jak daleko słupek rtęci zawędrował od linii oznaczającej normalną ciepłotę. Wyższa niż kiedykolwiek miał od czasu, kiedy chorował na świnkę.

Padrona, Signora Ligozzi, grubokoścista, rzeczowa kobieta, ze spojrzeniem mimo-przeciwności-zawsze-z-pod-niesionym-czołem, piastująca w objęciach stos świeżo uprasowanych prześcieradeł, popatrzyła na swojego lokatora wzrokiem pełnym powątpiewania.

- Niech pan lepiej wezwie lekarza.

- Właśnie - przytaknęła Massimina i zaraz zapytała Morrisa, czy ma kartę ubezpieczenia medycznego.

Morris leżał na wznak, szklanym wzrokiem wpatrując się w muchy krążące pod sufitem. Udało mu się uśmiechnąć słabo do Signory Ligozzi, a ta — o dziwo — odpowiedziała mu pełnym macierzyńskiego ciepła uśmiechem. Widocznie Massiminie udało się zmiękczyć tę damę („Uciekliśmy z domu. W przyszłym miesiącu zamierzamy się pobrać".) i kobieta uznała, że może pozwolić sobie na pobłażliwość. Nie, nie zabrał karty ubezpieczenia medycznego i ani mu się śni wzywać lekarza. Ma na pieńku z lekarzami. Po prostu lekka biegunka, nic nadzwyczajnego. Może zjadł coś wczoraj albo złapał jakiegoś niegroźnego wirusa. Massimina przyniesie mu z apteki odpowiednie lekarstwo i wszystko będzie dobrze. Za dzień lub dwa choroba minie.

Massimina już miała oponować, ale Signora Ligozzi zmieniła nagle front i oświadczyła, że doskonale rozumie jego niechęć do lekarzy; te problemy, jakie miała z powodu drobnego polipa; odsyłali ją od jednego lekarza do drugiego, to na badanie, to po skierowanie na kolejne badanie, musiała wystawać w kolejkach po przychodniach i szpitalach, gdzie człowiek może złapać każdą możliwą chorobę; nabiegała się, naczekała, zmarnowała dobre pół miesiąca, zamartwiając się przy tym na śmierć, a na koniec ostatni z lekarzy, wielki konsultant specjalista powiedział, że to nic takiego, i przepisał zwykłą maść do kupienia w aptece, co mogła zrobić na samym początku.

Morris próbował wtrącić coś do tego monologu, jednak bez powodzenia. Kiedy on ostatnio był chory? Wieki temu. Tak, to musi być kara. Przypomniał sobie, jak głupie wydawało mu się podobne rozumowanie Raskolnikowa - tak, za wszelką cenę musi myśleć rozsądnie. W tym momencie złapał go atak kaszlu.

Signora Ligozzi podeszła bliżej i położyła mu rękę na czole (nie wiadomo po co, skoro miała już świadectwo termometru).

- Potrzeba ci świeżych prześcieradeł i pokrzepiającego snu, *caro mio* — zawyrokowała i w chwilę później Morris w wilgotnej piżamie i z ramionami owiniętymi kocem, maszerował do łazienki, gdzie siedząc na toalecie miał poczekać, aż kobiety prześcielą łóżko. Oczywiście cieszyła je ta zabawa w matkę, odwrócenie tradycyjnych ról; silny mężczyzna objawia słabość, drugie skrzypce ochoczo podejmują partię pierwszych (a Signora Ligozzi ma stałego lokatora przez kilka dni). Co tam, niech się bawią. Dla niego jedyną szansą jest teraz najdłużej odgrywać chorego, tak by trzymać Massiminę przy łóżku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w charakterze anioła stróża odpędzającego śmierć spod drzwi. Zagarnął więc plik gazet i posłusznie poczłapał do łazienki.

Massimina kupiła „La Mattina” i „La Stampa”. Żadna z tych gazet z pewnością nie zamieściła choćby wzmianki o porwaniu w Weronie, tego mógł być pewien. Oprócz tego kupiła też czasopisma. „Panorama” - sama polityka, „Europeo” - podobnie, „Gente” - głównie plotki i fotografie bogatych panien w towarzystwie słynnych piłkarzy i tym podobne (pewnie kupiła to dla siebie). A więc jest bezpieczny na wszystkich frontach. Usiadł na muszli, jeszcze raz przeczytał artykuł o zbrodni w Rimini, podarł go i spuścił z wodą. Jutro prawdopodobnie nie będzie na ten temat ani słowa. Policja odkryła już wszystko, co mogła odkryć, a bez nowych informacji po trzech dniach morderstwo jest warte tyle co nic. Zupełnie słusznie zresztą. Nawet on był nim już trochę znudzony.

Co się stało, to się stało, i tyle. Morris szybko przekartkował „Gente”, czekając na wezwanie z powrotem do łóżka, i już miał odłożyć magazyn i zrelaksować się (jego jelita były tak słabe i tak zdradzieckie), kiedy jego wzrok padł na drobną notkę w kolumnie poświęconej osobliwościom.

## OFIARA PORWANIA WYSYŁA KARTKĘ Z ŻYCZENIAMI POWROTU DO ZDROWIA.

Nowa nadzieja wstąpiła w serca rodziny uprowadzonej Massiminy Trevisan. W środę rano nadeszła napisana przez ofiarę kartka z życzeniami powrotu do zdrowia, adresowana do babki dziewczyny, która w dniu jej zaginięcia była poważnie chora. Kartka została nadana w Rimini i zawiera następującą treść: „Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. Wracam niebawem”.

Fakt jej wysłania pozwala wierzyć, że kidnapery zaczęli lepiej traktować Massiminę i nie zrealizują swojej groźby pozbawienia jej życia. Jest to pierwszy przypadek czysto kryminalnego porwania, kiedy porywacze zgodzili się na wysłanie listu do rodziny. Niestety babka Massiminy nie przeczytała już adresowanych do siebie słów, gdyż zmarła w niecały tydzień po zaginięciu wnuczki.

Ależ to kiepsko napisane, pomyślał Morris, potykając się na korytarzu po drodze do sypialni. (Wydawało mu się, że śni. Nie mógł w to uwierzyć. Nie potrafił potraktować serio całej sprawy.) Gdyby był dziennikarzem, potrafiłby z faktu nadejścia kartki zrobić o wiele lepszą historię. WIEŚĆ OD OFIARY PORWANIA - ZBYT PÓŹNO DLA UMIERAJĄCEJ BABKI. Coś w tym stylu. Ale kiedy ubiegał się o pracę w o wiele lepszych i o wiele gorszych gazetach na Wyspach Brytyjskich, odpowiedź była zawsze taka sama - odmowa. Kartka oznaczała także, że Massimina nie żywi żadnych podejrzeń. Sama ją przecież napisała i wysłała.

Jeszcze tylko tydzień.



Morris zadrzał w mrocznym korytarzu i położył dłoń na klamce. Stop. Czy policji nie zastanowiło, że kidnaperzy nie wiedzą o śmierci? Powinni przecież każdego dnia pilnie śledzić „Arenę”. A skoro wiedzieli, jak można było uznać za akt dobrej woli fakt, że pozwolili dziewczynie wysiać zmarłej kartkę? Chyba że to jakaś gra przeciwko niemu. A może na kartce było napisane coś innego? Może jej treść zdradzała go w jakiś sposób („Morris przesyła pozdrowienia”), i teraz policja tylko czeka na jego telefon ze sprzętem do nagrywania i śledzenia połączeń, żeby go zlokalizować, a potem zgarnąć. Na dodatek jeszcze stempel pocztowy z Rimini - z pewnością połączyli już śmierć Giacomina z egzemplarzem „Areny” otwartym na odpowiedniej stronie i leżącym na łóżku obok zwłok. Jak mogliby to przeoczyć?

Morris oddychał z trudem, opierając się o ścianę. Na czoło wystąpił mu pot, a żołądek zacisnął się w bolący węzeł. Zamknął oczy. A może on tylko majaczył? Może majaczy nadal? Powinien jeszcze raz przeczytać artykuł w „La Mattina”, niestety, spuścił go z wodą w toalecie. Przez moment z przeraźliwą jasnością wyobraził sobie żonglera, który w samym środku dawanego pokazu dostrzega jedną piłkę więcej, niż wydawało mu się, że wyrzucił w powietrze. Och, mieć dodatkową rękę, żeby ją złapać.

Za oknem sypialni szumiał Rzym. Wspaniała metropolia, na którą Morris ledwo zdołał rzucić okiem, kolebka kultury i dziedzictwa, do którego aspirował, którego tak bardzo pożądał - wszystko dosłownie o rzut kamieniem. Warkot samochodów na sąsiednich ulicach i uderzenia piłki tenisowej o ścianę tuż pod jego oknem. Nie dalej jak pół mili stąd został zamordowany Cezar. Święty Paweł wygłaszał własną mowę obrończą na dworze cesarskim. Michał Anioł pracował dosłownie na tej samej ulicy. Tymczasem on, Morris, zamiast rozkoszować się tym wszystkim, chłonąc w siebie niepowtarzalną atmosferę Wiecznego Miasta, leżał, dygocąc pod górą koców. W dodatku przez cały czas musiał wynajdować jakieś zajęcia dla Massiminy, pamiętać o fakcie, że Signora Ligozzi trzyma jego paszport, każdego dnia przeglądać gazety, zaczerwionymi, obolałymi oczami, sprawdzając, czy nie ma w nich czegoś, czego nie mógł pozwolić zobaczyć Massimini. Skrupulatnie badał każdą kolumnę, ale i tak kiedy Massimina brała do ręki gazetę i zaczynała ją kartkować, śliniąc palce o wymalowanych paznokciach („zawsze chcę wyglądać ładnie dla ciebie, Morri, nawet kiedy jesteś chory”), z trudem tylko powstrzymywał się, żeby ze zdenerwowania nie zacząć obgryzać własnych paznokci. Wcześniejsza pewność siebie odeszła go zupełnie.

Drugiego dnia Signora Ligozzi przyniosła stare, lampowe radio i postawiła obok łóżka, żeby miał czego posłuchać, skoro został uwięziony na dłużej, jak się wyraziła. Teraz więc musiał pilnować także i radia i bał się nawet zdrzemnąć, żeby Massimina przypadkiem nie usłyszała czegoś w wiadomościach. Starał się słuchać głównie muzyki klasycznej i opery, a z programów mówionych wyłącznie audycji wyborczej Partii Radykalnej i popołudniowych audycji Radia Moskwa, w których czytano Czarną Księgę Imperializmu. Gdyby najgorsze miało stać się faktem, właściwie nie miałby nic przeciwko pracy dla Radia Moskwa.

- Twoja matka głosuje na partię Chrześcijańsko-Demokratyczną? - zapytał Massiminię.

- Mój ojciec miał zostać posłem z ramienia partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, kiedy zmarł.

- Naprawdę? A ty?

Massimina odparła, że nie wie. Polityka jej nie interesuje.

- Z pewnością głosowałabyś na chadecję. Massimina siedziała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Morris zazdrościł jej nawet tego. Dlaczego zawsze jemu przypadało to najgorsze? Wszystko, co mógł zobaczyć, leżąc bezradnie, wstrząsany dreszczami, to drewniane stopy ukrzyżowanego Chrystusa (wykonane raczej niezdarnie), wiszące nad łóżkiem.

- Ty także zaczniesz głosować na Chrześcijańskich Demokratów, ponieważ bez nich wszystkie twoje pieniądze zniknęłyby w przeciągu kilku lat. Gdyby w tym kraju wprowadzić odpowiednie podatki i zmusić ludzi do ich płacenia, wówczas...

- Mamma zawsze płaci wszystkie podatki.

- Założę się, że płaci. - Najchętniej roześmiałby się głośno, ale bał się, że zwymiotuje.

Massimina nie chciała się kłócić.

- A ty jak byś głosował?

- Ja? Na komunistów. Za próbę stworzenia Nowego Porządku, równego i sprawiedliwego dla wszystkich - wytłumaczył, posługując się sformułowaniem

zasłyszany uprzednio w Radiu Tirana. - Tyle że po wyjściu za ciebie też będę pewnie głosował na chadecję. W końcu także będę miał własny biznes.

- Nie, Morri, jeśli uważasz, że należy głosować na komunistów, głosuj na komunistów. Mnie jest wszystko jedno, rozumiesz? Nie dbam o pieniądze. Jak długo możemy być razem szczęśliwi, nie dbam o to, co będzie dalej.

- Tak? To dlaczego tak kurczowo ściskasz portfel?

- Och, Morrees, dlaczego ty zawsze mówisz takie rzeczy. Nie znam się na polityce i na pieniądzach. Wiem tylko, że zostało nam mniej niż pięćset tysięcy i...

Tym sposobem doprowadził ją do placu. Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że jako Anglik i tak nie mógłby głosować we Włoszech.

Pensione Ouirinale zajmował trzy dość zdezelowane, ale nadal jeszcze nobliwe piętra. Prowadziła go owdowiała

Signora Ligozzi, mieszkająca ze swoją opóźnioną umysłowo córką. Syn przeniósł się do Londynu i pracował jako kucharz w dużej włoskiej restauracji w Clapham. Ze wszystkich możliwych miejsc akurat w Clapham. Gdy tylko Morrisowi polepszyło się trochę, Signora zaczęła wpadać od czasu do czasu do ich pokoju, żeby wypytać go o Anglię i o to, jaka pora jest najlepsza na dłuższą wizytę w tym kraju, ponieważ Franco miał teraz *fidanzata*, a Signora nie chciała, żeby się ożenił, zanim ona zdąży poznać tę dziewczynę.

Na wizytę w Clapham żadna, takie było zdanie Morrisa, ale głośno optował za wrześniem, pod niebiosa wnosząc uroki Clapham Community wczesną jesienią (promienie słońca igrające w mieniących się złotem koronach kasztanowców,

czarnoskórzy mieszkańcy dzielnicy mknący na rowerach, hindusi w turbanach, z głowami opuszczonymi ku ziemi, spieszący do spraw znanych wyłącznie hindusom w turbanach). Kwestię ugorów, psich gówień i innych wątpliwych pamiątek dawnej przemysłowej świetności okręgu, a przede wszystkim strasznych, naprawdę strasznych domów, które i tak się rozlecają, choćby jakiś niepoprawny optymista poświęcił oszczędności swojego życia na ich ratowanie, starannie pominął milczeniem. Nie o wszystkim można przecież mówić. Należało być uprzejmym. W końcu jeśli dama pielęgnuje w sobie jakieś nieszkodliwe złudzenia, nie będzie jej ich pozbawiał. To byłby okrutne.

- Clapham to przyjemna dzielnica - powiedział.

Tak, tak wie o tym. Franco jej opowiadał, przysłał nawet widokówki.

Widokówki? Z Clapham? Nawet tego nie komentował.

W ciągu kilku następnych dni Morris miał się przekonać, że Signora Ligozzi jest szczególnie dumna z faktu, że jej syn robi karierę właśnie w Anglii, zupełnie jakby kultura anglosaska stanowiła wyższy szczebel rozwoju, i że jej zdaniem Morris popełnił pożałowania godną pomyłkę, przyjeżdżając do kraju, gdzie panuje brud i nieporządek. Złapany przez Morrisa wirus jest tego najlepszym dowodem. Wciąż go też pytała, kiedy zamierza wracać i czym planuje się zająć po powrocie. (Czy będzie mieszkał może w pobliżu Clapham? Czy mógłby zabrać dla Franco puszkę *amaretti*?) On i Massimina powinni się pobrać jak najprędzej, gdy tylko Morris wydobrzeje, i od razu jechać do Anglii, taka jest jej rada. Po wyjściu Signory Morris wydawał z siebie westchnienie ulgi, a Massimina zaczynała chichotać. Oczywiście będzie szczęśliwa, mogąc pojechać z nim do Anglii, jeśli Morris tego pragnie...

Drugiego dnia choroby, kiedy gorączka Morrisa spadła do 101 stopni (i jednocześnie wróciła mu umiejętność liczenia w pamięci), Signora Ligozzi przeniosła ich do większego pokoju po drugiej stronie korytarza, z dala od prażącego słońca świecącego w południe prosto w okna. Morris opadł na wielkie, podwójne łoże, pod smutną fotografią mężczyzny w mundurze, oprawioną w pozłacaną ramkę, i zapatrzył się w błękitne niebo bez jednej chmurki. W tym właśnie pokoju sypiała z mężem, oświadczyła Signora Ligozzi w uśmiechem, zanim popieszyła do swojego prania. Pokój kosztował pięć tysięcy więcej za noc niż poprzedni.

W sumie w pensjonacie znajdowało się dziewięć pokoi, w większości zajmowanych przez cudzoziemców, i dzięki Bogu, bo to ograniczało prawdopodobieństwo, że Massimina wda się z kimś w niebezpieczną rozmowę. Jedyne prawdziwy problem stanowiła Signora Ligozzi, która nabrała zwyczaju proszenia swoich angielsko- czy amerykańskojęzycznych gości, aby byli tak uprzejmi i zajrzeli od czasu do czasu do Morrisa, żeby dotrzymać mu towarzystwa. I tak trzeciego dnia choroby zaraz z samego rana odwiedził go absolwent Yale i przez kilka godzin zanudzał pytaniami o wydział anglistyki w Cambridge i jego porównanie z Yale, a potem - i to już było najgorsze ze wszystkiego - przedstawił mu szczegółowo swoją magisterkę dotyczącą Strukturalnej Interpretacji Duchów w Narracji.

Massimina, z uśmiechem bawcie-się-dobrze, wyszła z pokoju na samym początku rozmowy (któż mógłby ją o to winić?) i przez bite dwie i pół godziny Morris nie miał pojęcia, gdzie się podziewała, co naraziło go tylko na błądzenie we mgle domysłów i otepiający ból głowy. Przecież policja pojawi się tutaj, żeby zakuć go w kajdanki, zanim Ronnie Guttenberg dobiegnie do końca swoich fonemów i fantazmów.

Dzięki Bogu, że nie skończył uniwersytetu; to już lepsze więzienie. On przynajmniej nie zanudzał ludzi na śmierć. Kiedy wreszcie Guttenberg triumfalnie obwieścił, jaką rolę pełnił ojciec Hamleta, jedyna uwaga, na jaką Morris potrafił się zdobyć, brzmiała, że prawdziwy duch z pewnością byłby bardziej interesujący niż taki, który okazuje się wyłącznie narracyjnym symbolem zastosowanym przez autora. (A gdyby tak Giacomo i Sandra, pokrwawieni i pobici, wyłonili się nagle koło jego łóżka? Ciekawe, czy potrafiłby to opisać, jako „kompleksowe wprowadzenie dodatkowego narratora do dramatycznej relacji”?) Na co Guttenberg od razu się zaciętrzewił i oświadczył, że dla niego jest to przykład typowej dla Cambridge antywspółczesnej postawy (widocznie wyraz „konserwatyzm” także wyszedł z mody). Po tej replice Morris zdobył się tylko na słaby uśmiech i oświadczył, że musi się zdrzemnąć.

Później okazało się, że Massimina poszła do kościoła przy Via Umiltà, pomodlić się za niego i zapytać księdza o dokumenty potrzebne do zawarcia małżeństwa. Czyli zabawa w Romea i Julię.

- Będziesz musiał pójść do *Questura* po *permesso di soggiorno* i świadectwo dobrego prowadzenia się.

- Gdy tylko poczuję się lepiej - obiecał Morris. Dobre prowadzenie się!

Jeszcze cztery dni.

Lipiec to początek sezonu na arbuzy, więc Massimina karmiła Morrisa wielkimi, soczystymi czerwonymi kawałkami tych owoców, schłodzonymi uprzednio w lodówce Signory Liggozzi, a później podawanymi mu wprost do ust jedną z należących do Signory łyżeczek. Zmieniała mu też prześcieradła, wcierała w niego balsam i odżywkę przeciwłupieżową, a każdego wieczoru czytała mu na głos



*I promessi sposi*. Pomysł, żeby kazać sobie czytać, a już zwłaszcza tę książkę, Morris uznał za potwierdzenie, iż jego umysł, aczkolwiek trawiony gorączką, nadal pracuje genialnie.

Po pierwsze, zawsze pragnął przeczytać *I promessi sposi*, których poznanie uchodziło przecież za *conditio sine qua non* zrozumienia włoskiej kultury. Po drugie, lektura trzymała Massiminę u jego boku. W dodatku uszczęśliwioną i to z dwóch powodów, raz, gdyż poruszała romantyczne struny w jej duszy, dwa, gdyż w jej przekonaniu dawała jej dostęp do tych obszarów jego osobowości, które najbardziej podziwiała, mianowicie do jego starannie uformowanego, gruntownie wykształconego intelektu. Po trzecie wreszcie, co okazało się prawdziwym zaskoczeniem, Massimina czytała nadspodziewanie dobrze. Jej zazwyczaj rozchichotany, chwilami wręcz piskliwy głos, wygładzał swoje brzmienie na długich, płynnych frazach opisów Manzonięgo. Massimina czytała z prawdziwym wyczuciem dramatyzmu i inteligencją, co z edukacyjnego punktu widzenia czyniło zastanawiającą jej porażkę w szkole. Kiedy już będzie miał czas i pieniądze, właściwie mógłby nawet spróbować zająć się jej wykształceniem. Tak więc byłby to naprawdę wspaniały sposób spędzania wieczorów, gdyby tylko dreszcze i gorączka nie męczyły go tak bardzo i gdyby nie wzdrygał się nerwowo na każdy dźwięk dzwonka na dole albo bardziej energiczne niż zwykle kroki na schodach.

Choroba Morrisa przerwała na pewien czas wszelką aktywność seksualną, ale jednocześnie z powodu upałów Massimina przez większą część dnia paradowała po pokoju odziana bardziej niż skapo, najczęściej w zielonej, płóciennej spódniczce, którą kupili w Weronie, i jednej z jego białych, luźnych koszul, rozpiętej z przodu od góry do dołu (zdumiewające, jak szybko straciła przy nim wszelkie poczucie wstydu i skromności). Leżąc w łóżku i z każdym dniem w miarę ustępowania gorączki czując się lepiej, Morris mógł z większą niż kiedykolwiek

uwagą śledzić poruszenia jej ciała, kiedy stąpała boso po podłodze, zmianę kształtu piersi, w zależności od tego, czy stała, pochylała się, siedziała czy leżała, ściągnięcie ust, kiedy koncentrowała się na czytaniu i wprawiający w drżenie sutki gest odrzucania do tyłu długich włosów (których przecież już nie miała). (Kiedy już zdobędzie pieniądze, stanowczo musi kupić aparat fotograficzny. A może nawet zacznie malować, niech to licho. Kto wie, jakie jeszcze talenty w nim drzemią?) Kiedy Massimina siadała po turecku na łóżku i marszcząc w skupieniu brwi zaczynała karmić go melonem, śledził wzrokiem delikatną skórę nóg, na kolanach białawą i napiętą i niknącą powyżej pod rąbkiem spódniczki. Wszystko to było dla niego nowością. Doszedł do wniosku, że właściwie z młodą, dobrze ułożoną kobietą mógłby spędzić resztę życia i wcale by mu to nie przeszkadzało.

Czwartego dnia, nadal w łóżku, ale już w pozycji siedzącej, namówił Massiminę, aby usunęła włosy spod pach, gdyż go denerwowały (czy ktoś kiedykolwiek widział wyrzeźbioną albo namalowaną postać z owłosieniem pod pachami?). Kiedy nie chciała ich ogolić, w obawie, że mogłaby się pozacinać, zrobił to sam, używając własnego nożyka do golenia, i nie zaciął jej przy tym ani razu. (Tak samo jest z dziećmi, pomyślał. Człowiek robi dla nich różne rzeczy, kształtuje je w pewien sposób. Dzieci to jedyna szansa biedaka na zostanie artystą. Jeśli kiedykolwiek uda mu się wyjść z całej tej sprawy obronną ręką...)

Wreszcie piątego dnia, w upalny czwartek, Morris musiał zanurzyć końcówkę termometru w herbacie, aby pokazała się gorączka. W chwilę później, czując się już niemal tak samo pewnie jak dawniej, włączył radio, po raz pierwszy odważając się wysłuchać ogólnych wiadomości. Właściwie dlaczego nie? W końcu cóż mogli mieć nowego po niemal dwóch tygodniach od porwania i sześciu dniach od tamtej sprawy z Giacomettem i Sandrą?

Godzina dziewiąta! Rosjanie odrzucili propozycję dotyczącą głowic nuklearnych; włoskie partie polityczne przystąpiły do ostatniego etapu kampanii przed niedzielnymi wyborami. Na głos odczytującego nagłówki spikera nałożony był nagrany na taśmie stukot maszyny do pisania, mający podkreślić ważność podawanych wiadomości. Związek zawodowy inżynierów ogłosił strajk dotyczący kontraktów; piętnastu członków mafii aresztowanych w Palermo — Morris upił łyk porannej herbaty — w związku z morderstwem popełnionym w Rimini policja poszukuje młodego jasnowłosego mężczyzny i towarzyszącej mu kobiety, mieszkających w pensjonacie niedaleko hotelu, w którym zatrzymały się ofiary. Mężczyznę widziano w hotelu na krótko przed morderstwem, prawdopodobnie jadł on też...

- Morri! *Come mai?* Co ty...?

Morris gwałtownym ruchem wyłączył radio i gramolił się z łóżka.

- Przecież masz gorączkę, całe...

Ale Morris już był na nogach i rozglądał się za koszulą. Jeszcze tylko dzisiejszy dzień i dzisiejsza noc. Jedna doba zaledwie. Jutro rano koło dziewiątej pociąg zajedzie na Stazione Termini. Odbierze pieniądze, złapie pociąg do Civitavecchia, potem prom na Sardinie, a tam... Nie, o reszcie zdecyduje, gdy już znajdą się na miejscu. Wcale nie musi myśleć o tym teraz. Teraz najważniejsze jest wydobyc swój paszport od tamtej kobiety na dole i zwinąć się stąd, zanim gazety wypełnią jego portrety pamięciowe.

Już ubrany, obejrzał się w lustrze. Podejrzana bladość, to oczywiste, włosy bardziej zmierzwił niż kiedykolwiek, twarz pozapadana, zwłaszcza w okolicach oczu, ale w sumie ujdzie. Jakoś da sobie radę.

Massimina stanęła za nim, kładąc podbródek na jego ramieniu. Ich twarze odbijały się teraz razem, jego wychudła, ostra i poważna, jej szeroka, owalna, z pełnymi, uśmiechniętymi wargami. Na szyi Massiminy mały, srebrny święty Krzysztof.

Morris spontanicznie pocałował dziewczynę w czoło, przyciskając jej miękkie ciało do swojego.

Co on by robił bez Massiminy?

- *Caro*, czy nie sądzisz, że powinienes wycpać choćby jeden dzień dłużej?

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy pojechać na plażę na cały dzień. Zaczepnąć trochę świeżego powietrza. Potem spróbowałbym zadzwonić do przyjaciela mieszkającego na Sardynii, który zawsze zapraszał mnie do siebie. Może udałoby się nam spędzić tydzień albo dwa nad morzem. Zanim się pobierzemy - dodał.

- Morri. - Massimina pocałowała go w ucho. - Myślałam, że chcesz zobaczyć Rzym.

- Nie, teraz chyba nie dałbym rady robić długich wycieczek po mieście. Czuję się zbyt słaby.

I rzeczywiście był słaby. Słaby w kolanach i w jelitach. Zbyt słaby, aby zejść na dół i załatwić formalności z Signorą Ligozzi, stając przed nią twarzą w twarz. Kto wie, co mogła usłyszeć w radiu albo przeczytać w gazecie, jakie portrety pamięciowe mogły wpaść jej w oko przy porannej kawie? Wysłał więc na dół Massiminę, a sam zaczął się pakować. Włączywszy radio, pospiesznie wkładał złożone ubrania do walizki. Nie mógł się już doczekać, kiedy kupi sobie nowe, modne ciuchy, takie, w których mógłby zabłysnąć, stanowiące jakąś odmianę po

nieśmiertelnych dwóch parach spodni i tuzinie T-shirtów. Dla Massiminy także. Bez wątpienia na Sardynii znajdzie się mnóstwo butików i wytwornych sklepów z ubraniami. A jeśli w rezultacie pieniądze wrócą do jej rodziny (kiedy się pobiorą i kupią sobie dom), w ogóle nie będzie mogło być mowy o przestępstwie.

Czekając na powrót Massiminy, Morris zaczął składać jej rzeczy na wierzch swoich. T-shirty, dwie spódniczki, majtki, staniki. Jak, u licha, należało poskładać biustonosz? To zabawne, być tak blisko kogoś, kto nosi zupełnie odmienne rzeczy, kto jest pod każdym względem inny. Czy potrafiłby sobie na przykład wyobrazić wbicie się w te mikroskopijne figi? Jak dziwnie by się czuł w okolicach krocza! Może byłoby nawet zabawnie, któregoś dnia zamienić się ubraniami, tak dla żartu, żeby zobaczyć... Do licha, co ona tam robi przez tyle czasu? Morris gwałtownie zasunął zamek torby i rozejrzał się po pokoju. Przecież czas nagli. Musi się stąd wynosić, a nie siedzieć i bawić w...

Gotowe. Zaczął znosić torby po schodach, ze zdumieniem odkrywając, że nadal czuje się słaby i wyczerpany. Na każdym podeście musiał przystawać, żeby złapać od dech. Niech to wszyscy diabli, był naprawdę chory. Co poniekąd usprawiedliwiało wszystko.

- *Buon giorno, Signor Duckworth, buon giorno, come va?*

Nie tak głośno z nazwiskiem, pomyślał Morris. W ciasnej klitce, gdzie Signora Ligozzi meldowała gości, tłoczyło się może trzech, może czterech nowo przybyłych. Pokoik wypełniała silna woń francuskich papierosów. Morris uśmiechnął się słabym uśmiechem rekonwalescenta i powiedział *buon giorno*. Gdzie się podziewała Massimina? Tak, może powinien był pozostać jeden dzień dłużej, ale bardzo chciałby pojechać nad morze, zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Ucałował starą kobietę w oba policzki, serdecznie dziękując jej za życzliwość.

- Pana młoda dama właśnie zapisuje mi swój adres, abyśmy mogli pozostać w kontakcie.

- Dobrze - jęknął Morris, odwracając się gwałtownie. Massimina stała przy prowizorycznej ladzie, skrobiąc coś zawzięcie.

- Zapisałam pod „T”. Trevisan - powiedziała. - Numer telefonu także.

Signora Ligozzi bez jednego spojrzenia odebrała od Massiminy czerwoną książkę adresową i wstawiła na jedną z półek za biurkiem.

- *Grazie mille*. Przed wyjazdem do Anglii dam wam znać i powiecie mi, co wam przywieźć.

- *Bene, bene, garazie infinite*.

Musi mieć tę książkę! Musi. Co innego jego nazwisko w księdze gości, a o innego nazwisko Massiminy w książce z adresami. To przecież jej nazwisko pojawi się w gazetach, zanim jeszcze dzień dobiegnie końca, nie jego. (Na litość boską, skąd w ogóle pomysł zostawiania adresu, skoro żadna z nich tak naprawdę nie miała najmniejszego zamiaru utrzymywać kontaktów z tą drugą? W końcu Rzym od Werony dzieliło czterysta mil.)

Kiedy znaleźli się na ulicy, powiedział:

- Mimi, kupmy jej kwiaty, była taka miła.

Massimina uznała to za doskonały pomysł. Oczywiście w żadnym wypadku nie zgodziłaby się na dopłatę do *rapido*, ale bez namysłu gotowa była wyrzucić pieniądze na każdą bzdurę, która pozwalała jej pławić się w aurze wspaniałości. Na Via 24 Maggio znaleźli kwaciarnię. Morris oświadczył, że nie zna się na kwiatach, więc wybór pozostawia Massiminie, a sam pójdzie trochę dalej do kiosku, żeby kupić gazetę.

Kiosk był niewielki, więc „Areny” nie dostał. Natomiast w „La Mattina” na czwartej stronie, w kronice policyjnej, znalazł spory artykuł o morderstwie w Rimini. Gwałtownie wciągnął powietrze. Portret pamięciowy stanowił idealne odwzorowanie jego samego. Oparty o światła sygnalizacji ulicznej, zaczął czytać, trzymając rozłożoną gazetę drżącymi rękami.

„...Signor Alfredo Todeschini, właściciel pensjonatu przy Via Fama, przyznał, że wynajął pokój mężczyźnie i kobiecie na trzy noce, bez sprawdzania dokumentów czy nawet odnotowania ich nazwisk w książce gości. Sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych, powiedział, zupełnie jakby uciekli z domu i pragnęli mieć czas wyłącznie dla siebie. Jasnowłosa mężczyzna mówił z wyraźnym obcym akcentem, jednak Signor Todeschini nie potrafił określić z jakim. W pokoju zajmowanym przez tę parę policja znalazła odciski palców odpowiadające odciskom zabezpieczonym na drzwiach pokoju, w którym dokonano morderstwa. Motywy odrażającej, brutalnej zbrodni wciąż pozostają nieznane, jednak policja przypuszcza, że jej sprawcą jest szaleniec albo co najmniej ktoś niezrównoważony psychicznie.

Wszystkie przejścia graniczne zostały zaalarmowane, gdyż zachodzi przypuszczenie, że morderstwo zostało popełnione przez zagranicznego turystę, który wkrótce może usiłować wrócić do domu. Zwrócono się także o pomoc do Interpolu, prosząc o dostarczenie danych o podobnych, nierozwiązanych przypadkach w innych krajach. Policja zastanawia się nad postawieniem oficjalnych zarzutów Signorowi Todeschiniemu i innym właścicielom pensjonatów, którzy nie dopełnili obowiązków meldunkowych”.



Wyraźnie obcy akcent. Gówno, nawet nie rozpoznał narodowości. „Odrażająca, brutalna zbrodnia”, kolejny dziennikarski komunał. A jakiego rodzaju zbrodni oczekują? W dniu dzisiejszym zostało popełnione miłe, łagodne morderstwo...

Jeszcze raz przestudiował swój portret pamięciowy. W okolicach oczu wyraźnie czegoś nie dostawało, a nasada nosa była odrobinę za wąska, ale poza tym podobieństwo zostało uchwycone całkiem niezłe. Oczywiście mógł zapuścić brodę, ale dokładnie tego pewnie się po nim spodziewali. Tygodniowy zarost zdradziłby go natychmiast. (A jeśli Signor Amintore Cartuccio od Guc-ciego zobaczy ten portret albo przeczyta coś o jasnowłosym mężczyźnie z obcym akcentem? Co wtedy?)

Wróciła Massimina z bukietem róż, które uznał za absolutnie nieodpowiednie, jednak wolał się nie ujawniać z tą opinią. Usiedli w małej kawiarence przy Via Mazzarino nad filiżankami cappuccino. Massimina powiedziała, że skoro czuje się chory, może powinni raczej złapać pierwszy bezpośredni pociąg do Werony. Tam Morris byłby u siebie, mógłby pójść do lekarza...

Ależ on przecież na nic się nie skarży, zaprotestował. Wcale nie powiedział, że czuje się chory. Ale wygląda tak blado i apatycznie, brzmiała odpowiedź.

Nie wrócą do Werony, dopóki nie będą małżeństwem, oświadczył Morris z mocą. Inaczej jej matka znajdzie jakiś sposób, żeby im to uniemożliwić. Massimina była bardzo poważna. Po zapłaceniu rachunku w pensjonacie pozostało im zaledwie dwieście tysięcy lirów, powiedziała, a to oznacza...

Przecież po przyjeździe na Sycylię nie będą już musieli wydawać ani grosza. Morris z trudem zachowywał cierpliwość. Czy ona naprawdę musi zawracać mu głowę tymi bzdurami?

Właśnie teraz?

To dlaczego nie pojedą na Sycylię od razu dzisiaj?

Ponieważ dzisiaj Morris nie czuje się na siłach, by odbyć tak długą podróż. (Jeszcze tylko jeden dzień i lup będzie należał do niego.)

Przettrzymał ich w kawiarni niemal do jedenastej, zanim zdecydował, że mogą wracać do pensjonatu. O tej porze Signora Ligozzi zwykle zabierała się za sprzątanie pokoi na górze. Tak było i tym razem. Morris został w holu na dole, a Massiminię wysłał z kwiatami na górę, żeby jej poszukała. Rozejrzył się szybko po ocienionym wnętrzu. Jacyś turyści siedzieli rozpostarci wygodnie w staroświeckich fotelach, z rozłożonymi na kolanach przewodnikami i obcojęzycznymi gazetami.

Morris sięgnął do półki, ściągnął książkę adresową, odszukał „T”, zwolnił zatrzask na sprężynce przytrzymującej kartki, usunął tę z adresem Massimini, zmiażdżył ją i włożył do kieszeni, wreszcie po ponownym zapięciu zatrzasku odstawił książkę z powrotem na półkę. Zaraz jednak przyszedł mu do głowy inny pomysł. Jeszcze raz otworzył książkę, wyjął z końca czystą kartkę, wpiął ją pod „T” i zaczął pisać: Massimina T... no, przypomnij sobie jakieś nazwisko zaczynające się na „T”, ale włoskie nazwisko. Do diabła, nie potrafił. Nie znał żadnego włoskiego nazwiska rozpoczynającego się na literę „T”. Tibaldo, Tramonto, Toloncino, wszystko to były jedynie jego wymysły; licho wie, czy takie nazwiska istnieją naprawdę. Boże, co teraz? W tym momencie przypomniał sobie artykuł w gazecie. Todeschini, właściciel pensjonatu. Szybko napisał Massimina Todeschini, a obok fałszywy adres i numer telefonu.

- Morri, Signora Ligozzi wyszła na chwilę. - Massimina stała u szczytu schodów w towarzystwie upośledzonej córki, która z wysiłkiem wykrzywiła twarz, żeby coś powiedzieć.

- Wyszła? (Żeby zadzwonić na policję?) -Tak.

Ale przecież w pensjonacie też jest telefon. Nie musiała wcale wychodzić.

- Co ty robisz?

- Sprawdzam, czy podałaś kod Werony przy numerze telefonu. Wiesz, ile to potem kłopotu, kiedy człowiek musi szukać - odparł, wsuwając książkę z powrotem na półkę.

Zostawili róże i bilecik na biurku i poszli na dworzec.

Massimina wolałaby co prawda, aby zamiast na plażę pójść do *Questura*, po dokumenty potrzebne Morrisowi do zawarcia małżeństwa, wytłumaczył jej jednak, że w Rzymie komenda będzie o wiele bardziej zatłoczona niż w jakiejś spokojnej miejscinie na Sardynii, a poza tym przy włoskiej biurokracji skompletowanie niezbędnych dokumentów zajmie kilka dni, więc to nie ma sensu, skoro jutro wyjeżdżają. Co było prawdą.

- Jesteś pewien, że chcesz tego małżeństwa, Morri? - Po kolejnej czulej przytulance, podobnej do tamtej, kiedy wspólnie stali przed lustrem, Massimina nie była już tak podejrzliwa.

- Tak - powiedział, całując ją w czoło. I naprawdę chciał.

Gdyby tylko było to takie proste.

- Na punkcie gazet masz prawdziwego bzika - zauważyła Massimina, już w pociągu, kiedy zagłębił się w „Arenie”, którą udało mu się kupić w ogromnym kiosku na stacji. O liście z żądaniem okupu nie znalazł ani słowa. Tym razem tak właśnie miało być.

- Ich czytanie daje mi poczucie, że jestem częścią tego wszystkiego - odparł i pokazał jej artykuł mówiący o pomysle rady miejskiej, aby nad potężnym, rzymskim amfiteatrem w Weronie rozciągnąć coś w rodzaju plastikowego namiotu. Pocziwa tradycjonalistka Massimina zareagowała prawdziwym oburzeniem.

Plaża w Lido di Roma była ogromna, morze błękitne, a pogoda tego dnia wyśmienita. Morris i Massimina wynajęli parasol w trzecim rzędzie. Morris położył się i przymknął oczy, podczas gdy Massimina czytała mu *Ipromes-si sposi*.

Morris słuchał jej tylko jednym uchem. Przyszło mu do głowy, że kiedy wreszcie będzie miał czas na przyjemności, właściwie sam mógłby napisać książkę pod identycznym tytułem, i to pewnie lepszą, której bohater z biedy i rozpaczki porwuje dziewczynę, a potem zakochuje się w niej, a ona w nim. Oboje postanawiają, że chłopak pójdzie na policję i przyzna się do wszystkiego, by później mogli się pobrać. Policja jednak aresztuje młodego człowieka, a sąd wymierza mu wyrok dożywotniego więzienia. Kochankowie mogą się widywać za ledwie raz w miesiącu, przez kratę w pokoju widzeń. Dziewczynie z żalości pęka serce, a młodzieniec pograża się w rozpaczki.

Intryga była tak subtelna i tak zabawna, że zaczął śmiać się głośnie, a kiedy Massimina zapytała go o powód tej wesołości, opowiedział jej całą historię (dlaczego nie?). Massimina przyznała, że pomysł jest rzeczywiście świetny, że powstałby z tego znakomita książka albo nawet film, że Morris potrafi znakomicie opowiadać i pisać piękne listy i jej zdaniem byłby z niego doskonały pisarz. Leżąc pod parasolem, zaśmiewali się do łez. Ale może akcję udałoby się jakoś wzbogacić, zauważyła w pewnej chwili Massimina. Podczas porwania nie wszystko ułożyło się gładko i młodzieniec przypadkiem kogoś zabił. Dziewczyna

zakochuje się w nim i z całego serca stara się mu wybaczyć, zrozumieć, że to wszystko z biedy i tak dalej, ale nadzieja na wspólne szczęście zostaje zniweczona.

Morris aż się poderwał, drżąc cały. Przecież ona nie wiedziała. Nie mogła wiedzieć.

- Dobry pomysł - powiedział i odchrząknął, żeby ukryć załamujący się głos. - I co dalej?

- Co dalej? - Massimina leżała na leżaku w swoim zielono-białym kostiumie kąpielowym. Ostatnio wyglądała jakoś doroślej. Morris przyglądał się jej udom, opiętym elastycznym materiałem.

- Cóż? - ściągnęła wargi w namyśle; piegowata twarz rozjaśniła się rozradowaniem. - Dziewczyna mówi porywaczowi, żeby odebrał okup i potem uciekał z pieniędzmi. Ona sama pójdzie na policję i zezna, że przez cały czas przetrzymywano ją z zawiązanymi oczami, tak że nawet nie widziała sprawcy porwania. Kiedy sprawa przycichnie, chłopak wróci i wtedy się pobiorą. Ale nim targają wyrzuty sumienia. Mówi, że nie jest jej wart, odmawia ucieczki i sam oddaje się w ręce policji. Zostaje skazany na śmierć i stracony.

- We Włoszech nie ma kary śmierci - powiedział Morris szybko. A może jest? Nie, nie ma, był tego pewien. Przecież człowiek czytałby o jakiś wykonywanych wyrokach. Terrorystów też nie stracili.

- Szkoda - roześmiała się Massimina. Boże drogi, ona naprawdę bawiła się wyśmienicie. - Ale zawsze możesz umieścić akcję powieści w takim kraju, gdzie mają karę śmierci.

- Ty okrutne stworzenie - skomentował Morris, kładąc się z powrotem. Pod zamkniętymi powiekami od prażących promieni wirowały mu czerwone i niebieskie kręgi.

- Morri, tak bardzo bym chciała, żebyś został pisarzem. Byłabym taka dumna.

- To się absolutnie nie opłaca - odparł.

Przez całe popołudnie przyglądał się bezkresnemu morzu ciał zalegających na całej szerokości plaży, uprawiających wędrówki po lody, do kąpieli czy do toalety; młodym, szczupłym dziewczynom, starszym, przysadzistym kobietom, szalejącym chłopcom wzbijającym fontanny piachu i podrygującym krągłymi, zwartymi pośladkami. Kto powiedział, że życie nie było zbyt dobre? A gdyby nagle z nieba opuściła się ręka i usunęła kogoś z plaży? Chociażby tego chłopaka rozdrapującego ślad po ukąszeniu komara. Czy ktoś w ogóle by się tym przejął? (Czy ktoś, poza nim samym, naprawdę szczerze opłakał jego matkę? Czy ktoś ją jeszcze wspominał? A czy on sam pamiętał ją jako osobę, czy też stanowiła dla niego jedynie część dawnego życia, uczucie, zapamiętane wrażenie?) A taka Azja? Pokazywane w dokumentalnych programach BBC ulice Kalkuty, te mury ciemnoskórych ciał, splątanych niczym robaki w rybackich skrzynkach z przyętą. Życie przypomina salę kinową ogarniętą pożarem. Jeśli człowiek nie wyrwie się z masy, zginie.

- Jeśli chcemy naprawdę zaoszczędzić, może prześpimy się na plaży? - zaproponował koło szóstej wieczorem.

Tak też zrobili. W niewielkiej restauracyjce zjedli pizzę z szynką i pieczarkami, potem do późna włóczyli się po mieście, przytuleni i szczęśliwi (naprawdę). Wreszcie niemal o północy wrócili na plażę, wyjęli schowane uprzednio pod le-

żakiem ręczniki i ułożyli się do snu. Co oszczędziło im konieczności meldowania się w hotelu i okazywania paszportów.

- Zastanawiam się, co porabiają teraz mama i babcia - szepnęła Massimina. Trzymała Morrisa za rękę i ścisnęła ją lekko od czasu do czasu. - Tak sobie dzisiaj pomyślałam, że może powinniśmy wracać prosto do Werony i mieć to już za sobą. Przecież teraz nic nam nie mogą zrobić. Kiedy zobaczą, jak bardzo jesteśmy ze sobą szczęśliwi.

- Jeśli naprawdę tego pragniesz - odparł Morris.

- Po prostu nie chcę, aby się martwiły. Roześmiał się z pobłażaniem.

- Dlaczego miałyby się martwić po tylu listach i kartkach, które im wysłaliśmy? Normalnie nie dostają tyle poczty przez cały rok.

- Wiem, jestem po prostu głupia - powiedziała Massimina z nerwowym chichotem."

- Kiedy już dotrzemy na Sycylię, znajdziemy telefon i będziesz mogła do nich zadzwonić - obiecał.

Morris z uznaniem oceniał swój plan. Jak dobrze, że nie spieszył się zbyt z przyjazdem na Stazione Termini, by potem tkwić tam całymi godzinami, usiłując



wy tłumaczyć Massiminie, dlaczego nie łapią pierwszego z licznych pociągów do Civitavecchia, skąd odpływały promy. Nie, on rozplanował wszystko idealnie. Lokalny pociąg, którym przyjechali z Lido, wjeżdżał na stację za kwadrans pierwsza, co dawało im piętnaście minut na kupienie biletów do Civitavecchia i sprawdzanie rozkładu kursowania promów, jako że mediolański ekspres przyjeżdżał o pierwszej. Natomiast ich pociąg odjeżdżał dziesięć minut później. Morris poczuł nawet nieoczekiwany przyływ wdzięczności do włoskich kolei, które ani razu go nie zawiodły. Podniecona perspektywą długiej przeprawy przez morze, Massimina kompletnie zapomniała o pomysle powrotu do domu. Kupując bilety w wielkiej, tętniącej życiem hali dworcowej, oboje czuli się jak na prawdziwych wakacjach, ona w wielkim słomkowym kapeluszu, on z lekką opalenizną po wczorajszym dniu na plaży.

Żeby dodatkowo zapełnić czymś kilka minut, poszli kupić okulary przeciwsłoneczne. (Dlaczego, na Boga, nie pomyślał o tym wcześniej?) Wybór Morrisa padł na największe, najbardziej okrągłe i najciemniejsze, jakie mieli w sklepie. Po drobnej sprzeczce o pieniądze (Massimina miała rację, kosztowały absurdalnie drogo, ale przecież sprzedawca tłumaczył im cierpliwie, że to markowy model), okulary zostały kupione. Kiedy wyszli ze sklepu i na powrót znaleźli się w hali dworca, megafon właśnie zapowiadał wjazd ekspresu Mediolan-Palermo na peron szósty. Idealnie. Morris zerknął na zegarek i powiedział Massiminie, żeby poszła na peron piętnasty, skąd odchodzi pociąg do Civitacchenia, i tam zaczekała. On skoczy jeszcze zatelefonować do przyjaciela na Sycylię, żeby poinformować go, o której mniej więcej ma się ich spodziewać.

Czując, że spogląda za nim, skierował się najpierw w stronę aparatów telefonicznych, tak jak tego oczekiwała. I tu po raz kolejny objawił się jego geniusz. Przecież do faktycznego wjazdu pociągu miał jeszcze cztery albo i pięć minut.

Tak, ten pomysł był świetny. Wszedł do budki telefonicznej i wybrał numer *Questura* w Weronie.

Inspektor Marangoni właśnie udał się na lunch, natomiast jego zastępca, Tolaini, był na miejscu.

- Żadnych postępów w śledztwie? - Signor Duckworth był wyraźnie rozczarowany.

- Nie, Signor Duckworth, nic ważnego się nie wydarzyło.

- A ten mężczyzna z autobusu?

- Nie udało nam się go namierzyć.

- Czegoś tu nie rozumiem. Przecież gdyby ktoś ją porwał, zażądałby okupu albo czegoś podobnego, to znaczy...

- Cóż... - młody policjant wahał się jeszcze, ale najwyraźniej miał ochotę na pogawędkę. W końcu zostawili go przy telefonie podczas długiej, samotnej, przerwy na lunch. - Oczywiście liczymy się z tym, że w każdej chwili może się pojawić żądanie okupu, ale jak dotąd — cisza. Zupełnie prywatnie podejrzewam, że porywaczowi udało się nawiązać kontakt z rodziną za plecami policji i że teraz rodzina układa się z nim, nie informując nas o tym.

- Och, rozumiem. Czy coś takiego jest normalne?

- O ile w ogóle porwanie jest czymś normalnym, to jak najbardziej. Matka jest zrozpaczona, rodzina ofiary, co dość naturalne, skłania się myśleć, że policja nic nie robi, że się nie stara, i tak dalej. Podobne zjawisko jest doskonale znane w psychologii.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić - zgodził się Morris. Teraz korciło go już, aby jak najszybciej pognać do pociągu. Nic nie wiedzą, nie mają o niczym pojęcia, a ekspres będzie tu lada chwila. Tylko wpaść i złapać forszę. Jednak spoglądając na zegarek, zmusił się do kontynuowania uprzejmej rozmowy z policjantem przez całe dwie minuty.

Na peronie szóstym panowało istne pandemonium. Tym lepiej dla niego. Na torze z prawej mediolański ekspres pokonywał dosłownie ostatnie metry, sycząc i posapując, na tor z lewej lada chwila miał wjechać *rapido* do Wenecji. Żołnierze, młodzież z plecakami, staruszki, ogromny, anonimowy tłum przetaczał się we wszystkich kierunkach jednocześnie, śmiejąc się, paląc papierosy, walcząc o jak najkorzystniejsze miejsce. Jedni żalowali, że nie wykupili wcześniej miejscówek, inni mieli nadzieję, że uda im się odnaleźć zarezerwowane miejsca. (Tyle godzin do Neapolu stojąc na korytarzu? Potworna mordega.) Dzieci popłakiwały, grupa uczniów pod opieką jednej tylko starej zakonnicy wymachiwała balonami. Morris poczuł nagle, że ogarnia go całkowity spokój. Był w swoim żywiole.

Pociąg zatrzymał się. Jeszcze tylko ostatnie, lekkie szarpnięcie i wszystkie drzwi otwały się szeroko, a skłębiona masa pasażerów - każdy z nieporęcznym bagażem, objającym się o nogi - wpadła na peron i zmieszała z drugą, równie chciwie pragnącą wdrzeć do środka. Morris, bez żadnej torby, szybko przedarł się przez całe zamieszanie, sprawdzając każdy przedział w poszukiwaniu nalepki pierwszej klasy. Pierwszą odnalazł w trzecim wagonie. Wsiadł do następnego wagonu, odczekał chwilę i ruszył korytarzem ku upatrzonemu celowi. Zanim tam dotarł, w sekcji pierwszej klasy w trzecim wagonie przerzedziło się znacznie; przedziały były w połowie puste, a na korytarzu stały może dwie osoby, paląc

papierosy. W razie czego trudniej będzie się ukryć. Jednak Morris nie przewidywał żadnych kłopotów.

Naprzeciw drzwi pierwszego przedziału stał mężczyzna w lekkim srebrnoszarym, garniturze, z rzedniejącymi, zaczesanymi do tyłu włosami, przyglądając się ludziom na peronie. Policjant w cywilu? Może zastawili na niego pułapkę? Oczywiście wiedzą wszystko, po prostu dla zmylenia wciskali mu kit przez telefon (a on absolutnie nie powinien nadawać listu w Rzymie, skoro tu planował odebrać okup).

Nie, nie wiedzą, skądże znowu. Nie mają prawa wiedzieć.

Drzwi przedziału były zamknięte, a zasłony pozaciągane starannie, tak że nie mógł nawet zerknąć do środka. Pułapka? Morris przygryzł zębami dolną wargę i napreżył się cały, gotując się do akcji. Ale mięśnie nadal miał straszliwie słabe. Podczas choroby stracił na wadze. Nie czuł się dobrze. Zresztą szarpanina i tak nie miałyby sensu. Jeśli wiedzą o nim, będą uzbrojeni. Jeśli wiedzą, jest już właściwie za późno.

Żeby otworzyć drzwi przedziału, musiał precyzyjnie przycisnąć się obok mężczyzny w garniturze. (Garnitur przy takiej pogodzie? Czy to rodzaj przebrania?)

- *Permesso.*

—*Pręgo, pręgo.*

Wstrzymując oddech, w każdej chwili spodziewając się kajdanek, czując je niemal, zatrzasujące się na przegubach, Morris otworzył drzwi. Przedział pograżony był w półmroku, tylko u dołu opuszczonych zasłon przesączała się wąziutka struga światła. W środku znajdowała się tylko jedna pasażerka, kobieta w

średnim wieku, siedząca w kącie, z głową odchyłoną do tyłu i szeroko otwartymi ustami, oddychająca chrapliwie. Powietrze było aż ciężkie od snu.

Oczy Morrisa powędrowały ku półce na bagaże, na której stały dwie potężne, identyczne walizy z marokańskiej skóry, ze lśniącymi zatrzaskami, pewnie należące do śpiącej kobiety i mężczyzny z korytarza. Widocznie para była małżeństwem. A nad głową kobiety nieduża, brązowa torba podręczna! Wyśnił ją sobie i oto pojawiła się. Przybyła niczym na zawołanie.

Obejrzał się przez ramię. Mężczyzna przy oknie nie poruszył się, zajęty zapalaniem cygara. Morris uczynił dwa kroki w głąb przedziału, zdjął torbę z półki i wycofał się ostrożnie, żeby nie otrzeć się o nogi kobiety. Nawet nie drgnęła, kiedy znalazł się na korytarzu.

- *Permesso*. - Morris zamknął za sobą drzwi. Mężczyzna w szarym garniturze przyglądał mu się uważnie znad palonego cygara. - Moja żona zostawiła tu torebkę, jeszcze w Mediolanie. - Znaczący uśmiech z gatunku wie-pan-jakie-są-kobiety. Mężczyzna wypuścił wielki kłęb dymu, ale nic nie odpowiedział.

Morris pospiesznie oddalił się korytarzem w kierunku, z którego przyszedł. Przyłapał się na tym, że pod nosem mamrocze bezgłośnie: „dzięki ci, Boże; dzięki ci, Boże; dzięki ci, Boże”, podobnie jak w szkole, kiedy stojąc pod drzwiami gabinetu dyrektora, odczytywał wywieszane wyniki egzaminów. Roześmiał się. Udało się. Tym razem naprawdę się udało. O ile, oczywiście, pieniądze są w torbie. Ale przecież muszą być...

Rozgorączkowany, przystanął na chwilę i balansując torbą na kolanie, niecierpliwie szarpnął zamek. Ubrania: T-shirty, bluzki, spódnice...? No jasne, przecież sam kazał na wierzch nakłaść ubrań. A pod spodem? Z najbliższego przedziału wyłonił się potężny mężczyzna w dresie, zawadził o Morrisa i posłał nie-

bezpiecznie balansującą torbę prosto na podłogę. Starannie poukładane ubrania rozsypały się dookoła.

- *Asino!* - wrzasnął mimowolnie Morris, rzucając się, żeby pozbierać walające się ubrania. Na korytarzu drugiej klasy stało wiele osób i ludzie zaczęli się odwracać ku niemu. Podobnie gbur w dresie. Szeroko agresywna twarz, niskie czoło, wyłupiaste oczy.

- *Dillo di nuovo e ti spacco la testa.* Powtórz to, a nakładę ci po gębie. — Gbur już szykował się do splunięcia. - *Nessuno mi chiama assimo!*

Widząc, że szykuje się awantura, ludzie dookoła ucichli. Usiłując upchać stłamszone ubrania, Morris zobaczył pliki pięćdziesięciotysięcznych banknotów owinięte gumowymi opaskami, leżące na dnie torby i doskonale widoczne teraz dla każdego. O Boże, szybciej zbieraj te łachy.

- *Mi scusi, mi scusi, colpa mia* - wychrypiał. - To całkowicie moja wina. Wie pan, jak to bywa w tłoku.

Podniósł się z klęczek. Niewiarygodne, ale nikt niczego nie zauważył. Tłum na korytarzu zaczął rzednąć. Tylko jakiś mały chłopiec spoglądał na niego, szeroko otwierając usta. Gbur w dresie zamruczał coś i poszedł dalej, a Morris kilka kroków za nim. Wysiadł najbliższymi drzwiami. Był wolny! Po zatechłym, gorącym wagonie, powietrze na peronie wydało mu się świeże i orzeźwiające. Wolny. Bogaty! Powinien był zabrać ze sobą jedną z walizek, zreflektował się, żeby przełożyć do niej pieniądze, a tych śmieci się pozbyć, bo inaczej Massimina znacznie się dziwić, skąd...

- Hej, człowieku, własnym pieprzonym gałom nie dowierzam. Morris, chłopie...

Rozejrzał się. To chyba jakiś koszmar. Wyraźnie słyszał glosy. Peron rozbrzmiewał wrzawą: pasażerowie sunęli szeroką lawą od pociągu przez cały peron aż do wyjścia, w odwrotnym kierunku parła druga fala, idących wzdłuż pociągu, sprawdzających, czy gdzieś znajdzie się jakiś mniej zatłoczony przedział. Po przeciwnej stronie ciągły dźwięk dzwonka zapowiadał rychły wjazd *rapido* do Wenecji. Tuż przed nim szedł mężczyzna popychający wózek z lodami i zimnymi napojami. Na moment skręcił w prawo i wówczas zza wózka ukazała się brodata, roześmiana twarz Stana.

- Człowieku, że też cię tu spotykam. Szansa jedna na milion.

A wszystko miało tak doskonale zorganizowane, tak przemyślane, zapięte na ostatni guzik. Człowiek przez całe życie musi zmagać się z przeciwnościami. A już on szczególnie.

- Cześć — powiedział, przywołując na twarz coś w rodzaju uśmiechu. - O, i Simonetta także. Co za niespodzianka.

Dopiero teraz zauważył, że Stan ciężko opiera się na ramieniu dziewczyny, a lewą nogę ma w gipsie niemal po biodro.

- Nieźle, co? Walnęliśmy mikrobusem w mur przy wyjeździe z autostrady. Marion prowadziła. Mikrobus skasowany. Ponad tydzień spędziłem w szpitalu i teraz Netty transportuje mnie do domu.

Niepozorna dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. Dawniej nie była taka jaśniejąca, przypomniał sobie Morris. Pewnie, wreszcie ma swojego ранego bohatera wyłącznie dla siebie.



- Co za pech - skomentował. Mógłby to powtarzać w nieskończoność. W głowie mu wirowało od szaleńczych myśli. Zabieraj się stąd jak najprędzej, na razie nie przydarzyło się żadne nieszczęście.

- A ty dokąd się wybierasz? Zabawne, spotkać cię tutaj, skoro...

- Na Sycylię - odparł. Mów prawdę, czemu nie. - Właściwie...

- Morrees! Morrees! Morreeeeeees!! - W stosunkowej ciszy, jako zapadła, kiedy przebrzmiał dzwonek, wysoki głos wybił się ponad zwykły gwar dworca. Po drugiej stronie torów, na które lada moment miał zajechać pociąg do Wenecji, stała Massimina, wołając go i wymachując rękami. - Morrees, zmienili peron. Nasz pociąg odjeżdża z dziesiątego. Chodź szybko, bo inaczej w życiu nie zdobędziemy miejsc siedzących.

- Idę - odkrzyknął. Pewnie pomyślała, że trzyma jeden z bagaży Stana i Simonetty. - Muszę pędzić.

- Co to za laska? - wyszczerzył się radośnie Stan.

- Chłopie, aż żal bierze, że nie mogę zabrać się z tobą. Ten pieprzony wypadek zepsuł mi całe lato, już nie mówiąc o tym, że forsa też przepadła. To ta sama, z którą widziałem cię wtedy na przystanku, prawda?

Ależ łajdak miał oko! Massimina stała od niego dobre dwadzieścia metrów, w dodatku kompletnie odmieniona. Widocznie gapił się wyłącznie na biust.

- Owszem, ta sama.

- A co się stało z tą drugą, tą, która została porwana? - zainteresowała się Simonetta.

Morris wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Zresztą — dorzucił nieskładnie - ja się z nią już nie spotykałem, kiedy tamto się stało.

- Zabrzmiało to straszliwie sztucznie.

- Wszyscy faceci to świnie - Simonetta zabawnie wykrzywiła, małą, szczęśliwą twarz. - Ciekawe, czy Stan zmartwiłby się choć trochę, gdybym to ja zniknęła. - Ale spoglądała przy tym na Massiminę, która wołała znowu:

- Morrees, no chodźże już.

- Ładna - ocenił Stan i dodał jeszcze, wyraźnie drażniąc się z Simonetta: - Szkoda, że nie możesz mi jej przedstawić.

Morris desperacko próbował oszacować niebezpieczeństwo zaistniałej sytuacji. Jego ciało, jeszcze przed chwilą tak cudownie chłodne i zrelaksowane, teraz płonęło od gorąca, swędzące strumyczki potu spływały między ciasno zaciśniętymi pośladkami. Czy ta dwójka rozpozna Massiminę, kiedy jej twarz ponownie ukaże się w gazetach? Wygląda na to, że całe lato przyjdzie im spędzić w Weronie, a z nogą w gipsie Stan niewiele będzie miał do roboty poza czytaniem gazet. Gdyby tylko nie spotkał ich obojga! Gdyby Stan był sam, pomógłby mu wsiąść do pociągu, wepchnął do toalety i tam udusił. Wycisnąłby życie z tego głupiego, hipisowskiego hipokryty (stracił forszę, rzeczywiście!). Tak samo postąpiłby z Simonetta; wyglądała tak delikatnie i krucho, że człowiek mógł ją udusić choćby jedną ręką. Ale oboje...

- Muszę już pędzić, bywajcie.

- Przyślij nam widokówkę - roześmiał się Stan. - I koniecznie przedstaw mnie tej lasce po powrocie do Werony.

Morris był już w połowie peronu.

- *Arrivederci!*

Odwrócił się jeszcze, żeby zawołać Massiminę i uspokoić ją, że już idzie, ale wjeżdżający właśnie w ogłuszającym huku pospieszny do Wenecji zasłonił widok na sąsiedni peron. W samym środku tłumu, miotającego się rozpaczliwie między odjazdem jednego i przyjazdem drugiego pociągu, Morris przystanął przy koszu na śmieci, z którego sterczała plastikowa torba. Wyciągnął ją. Pełna skórek pomarańczowych. Wytrząsnął skórki z powrotem do kosza i przykucnięty, przełożył paczki z pieniędzmi do plastikowej torby. Było ich tak dużo, że plastik niemal pękał. Na wierzch dorzucił żółty sweter (zawsze może przysięgać Massiminie, że to jego), upchał go po bokach, zawiązał ucha siatki i obejrzał ją uważnie, sprawdzając, czy z zewnątrz nie widać zawartości. Wszystko w porządku. Świetnie. Podręczną torbę i pozostałe ubrania zostawił na peronie, po czym pobiegł do Massiminy. Całkowitym przypadkiem spotkał dwójkę przyjaciół, wytłumaczył jej, doprawdy niesamowity traf.

Chłopak miał nogę w gipsie, więc pomógł im z bagażami. Właśnie jadą do Wenecji

- To szczęście, że cię zauważyłam - powiedziała Massimina.

Łódź sunęła po morzu błękitnym niczym na pocztówce, bez jednej zmarszczki, bez jednej chmurki na horyzoncie, bez żadnych straszliwych, północnych za-

wirowań, skłaniających Anglosasów do demonstrowania zupełnie bezsensownego heroizmu. Jego ojciec na przykład upierał się przy wysiadaniu na plaży, choć na dworze szalał niemalże sztorm, podrywający całe kłęby piachu i ciskający nimi gniewnie o ścianki wypożyczonego parawanu. Człowiek mógłby pomyśleć, że stanowią jakąś cholerną tylną straż w Dunkierce. Najdzielniejszy będzie ten, kto opuści plażę jako ostatni - marne szanse na wygraną, skoro wokół pełno było równie zwariowanych i zdeterminowanych Brytyjczyków, w tym nawet jedna dziewczyna z powiewającymi na wietrze cyckami, jak na owe czasy prawdziwa pionierka. Oczywiście matka co chwila spoglądała na ojca, żeby sprawdzić, czy aby nie przypatruje się zbyt długo pionierce. A potem, kiedy Morris zaczął płakać, bo był mokry po kąpieli („tak, musisz popływać na miłość boską!”) i drżał z zimna, ojciec eksplodował „maminsynkami”, „mazgajami” i „nie-długo zażadasz, żebym ci podtarł twoją drogocenną dupcię”. Matka nalewała zupę ogonową z płaskiego termosu, otulała Morrisa kolejnym ręcznikiem, a ojcu zwracała uwagę, żeby się nie wyrażał, bo Morris jest jeszcze zbyt mały, by słuchać takich rzeczy.

Z perspektywy czasu widział, że stygmat „mięczaka i maminsynka”, którym naznaczony był przez całe dzieciństwo i młodość, nie stanowił wyłącznie wymysłu ojca; również matka miała swój udział w jego powstawaniu, wieczne upierając się przy wyjątkowej delikatności syna, zarówno fizycznej, jak i psychicznej, która dawała jej pretekst do czuwania nad nim niczym kwoka i jednocześnie prowokowała ojca do wyśmiewania się z niego. (Czy aby nie czyniła tego umyślnie? Żeby pogłębić przepaść między nim i tatą?) Niegdysiejsze zahamowania Morrisa (obecnie całkowicie przewyciężone) stanowiły wyłącznie produkt uboczny wzajemnych stosunków między rodzicami i nie miały naprawdę nic wspólnego z nim samym. On był w porządku.

Z dwojga rodziców wolał oczywiście matkę, chociaż odumarła go w taki sposób, wystawiając go na bezlitosne podmuchy ojcowej, spartańskiej, idiotycznej żywotności. To prawda, że skończyły się wyprawy na plażę, pozostał jednak dom w Acton, gdzie nie domykały się żadne drzwi i gdzie okienko w łazience musiało być na stałe zabezpieczone w pozycji otwartej, jako że w Acton nie uznawano innej wentylacji, pozostały heroiczne wyprawy na ryby w niedzielne poranki, nad Wielki Kanał (Wielki Kanał, Wielka Brytania, wielka Wielka Brytania). Wschodzące słońce rozlewało się krwotokiem, nad ugorami Park Royal (Park Royal! Sunbeam Road!), ojciec z grymasem satysfakcji ogłaszał dobrą pogodę na ryby i w pół godziny później kulili się pod rodzinnym parasolem, w zimnej londyńskiej mżawce, z robakami wijącymi się na dnie puszek po margarynie i małym Morrisem ściągającym ramiona i zawzięcie ssącym obciążony wełnianą rękawiczką kciuk.

O tak, w ciężkich warunkach Brytyjczycy po prostu rozkwitali. (Wystarczyło popatrzeć, jakie zakłopotanie ogarniało ich we Włoszech, kiedy znaleźli się w tak pięknym kraju, jak przygarbiali się od razu, patykowaci, prawdziwie dickensowscy, mrużący nienawykłe do słońca oczy, jak przekonywali samych siebie, że tak naprawdę nie stać ich na luksus wakacji i powinni wrócić wcześniej do domu - „Naprawdę powinniśmy już wracać, Doris, wiesz przecież sama” - ponieważ ilekroć zaczęli się dobrze bawić, od razu czuli się winni.) Tak, rozkwitali w trudnych warunkach, z paskudnymi hipotekami i wietrznymi niedzielami, a jeśli zachłannie czytali o życiu bogaczy i wpatrywali się w telewizyjne znakomitości w każdy deszczowy wieczór („Wezmę tylko psa na krótki spacer dookoła bloku” - to ojciec zapinający płaszcz przeciwdeszczowy, niebiorący nawet kapelusza; Boże drogi, bez kapelusza w tę lodowatą mżawkę. - „Zaraz wracam, żeby zdążyć na Parkinsonów”), jeśli nie potrafili oderwać wzroku od „Sensacji z wyższych sfer”, jeśli oddaliby rok swojego lodowatego życia, żeby dowiedzieć się, czy

książę Karol robił to z Dianą jeszcze przed ślubem, to nie dlatego, że sami pragnęli się wzbogacić, Boże uchroni, ale dlatego, że w ten sposób mogli jeszcze bardziej rozkoszować się swoim ubóstwem i poświęcaniem - „Chłopcze rzuć w diabły ten cały uniwersytet i weź się lepiej do uczciwej roboty”. Ojciec, który całe swoje życie głosował na laburzystów, przerzucił się na Thatcher, ponieważ udowodniła, że Brytyjczycy nadal potrafią zatknąć flagę wśród szalejącej antarktycznej zawiei, a potem przemaszerować przez zlodowaciałe trzęsawiska lepiej niż jakakolwiek inna nacja na świecie. „I to 7000 mil od domu, chłopcze”. Kiedy pokazywano wiadomości z wojny o Falklandy, ojciec niemal przyklejał się do telewizora, podczas gdy Morris gryzmolił listy dla Milk Marketing Board. - O czym myślisz, Morri?

Łódź sunęła po morzu błękitnym niczym na pocztówce. Morris opłacił dwa leżaki na słonecznym pokładzie pierwszej klasy i teraz rozciągali się na nich pół leżąc, pół siedząc, wystawieni na palące promienie, utrwalając opalenizną kremem o wdzięcznej nazwie Wkrótce południe (w Anglii nazywałyby się pewnie Wkrótce zmrok) i trzymając się za ręce. Wokół nich pełno było eleganckich pasażerek pierwszej klasy, w skąpych kostiumach kąpielowych i wykwinnych, białych, skórkowych sandałkach ze złotymi sprzączkami, odsłaniających pomalowane paznokcie u nóg. Te paznokcie bardzo zainteresowały Morrisa. Będzie musiał namówić Mimi, żeby zrobiła to samo.

- O czym myślę? O niczym

- Tak w ogóle o niczym?

- *Niente di niente di niente.*

- Jesteś szczęśliwy, Morri?

- Straszliwie - powiedział, czekając na delikatny pocałunek za uchem. Dziś w nocy będą się kochać. Za tym też się stęsknił.

- Powinnaś pójść do pedicurzystki, Mimi - powiedział.

- Co takiego?

- Do pedicurzystki. Bardzo krótko obcinasz paznokcie. Powinnaś bardziej zadbać o stopy. Zobacz, jakie eleganckie stopy mają inne kobiety, na przykład ta w kapeluszu podobnym do twojego.

- Ależ Morri, wizyta u pedicurzystki kosztuje strasznie drogo...

- Stać nas - oświadczył z przekonaniem.

Morris Duckworth był bowiem człowiekiem bogatym. Bardzo bogatym. Morris Duckworth posiadał osiemset milionów lirów upchanych w plastikowej torbie wepchniętej do walizki stojącej teraz w najdalszym kącie luku bagażowego. Do tej pory nie miał nawet okazji ich przeliczyć, ale był pewien, że suma wynosi dokładnie tyle. Dlaczego miałoby być inaczej, jeśli pragnęli odzyskać swoją cenną córeczkę? Osiemset milionów. Oczywiście szkoda, że w lirach, zważywszy tutejszą inflację i skandaliczny kurs wymiany (starzy, poczciwi Brytyjczycy, zaciśkający pasa, byle tylko funt stał wysoko). Ale przecież i tak nie mógł pójść i próbować wymieniać takich sum na funty czy dolary.

Pieniądze trzeba będzie zainwestować, i tyle. Na przykład w obligacje rządowe, niepodlegające inflacji, dostępne w każdym włoskim banku. Albo po prostu kupi kilka domów, zamieszka w jednym, a pozostałe wynajmie. Ale tu od razu rodził się problem lokatorów. Czy będą płacili regularnie i bez opóźnień? Czy wyprowadzą się bez protestów, jeśli zechce sprzedać posiadłości? Nie, lepszym rozwiązaniem jest zwykła, bezpieczna inwestycja. Będzie żył z procentów, kupi



mieszkanie w centrum Werony, umebluje je odpowiednio, a potem zajmie się rozbiciem wyłącznie tego, na co zawsze miał ochotę. Trochę pisanie. Na początek drobne artykuły, o polityce, o kulturze. Włoska polityka zawsze go interesowała. Fotografia także. Album zdjęć *Kobiety Werony*. To by się nieźle sprzedawało. „Drogi czytelniku, jestem niezależnym fotografem, mieszkającym (komfortowo) we Włoszech i oto oddaję do twoich rąk...”. Brzmi całkiem nieźle.

Jedyny problem w tym wszystkim stanowiła Massimi-na, postanowił jednak nie zadrećcać się tym teraz, przynajmniej nie w czasie przeprawy promowej. Teraz zrobi sobie tak mu niezbędną przerwę. Będzie się cieszył życiem. Trzeba przyznać, że Massimina stanowiła niemal najlepszą jego część. Wystarczyło popatrzeć, jakim szacunkiem darzyli go inni, zwłaszcza mężczyźni (a już szczególnie mężczyźni w rodzaju ojca), kiedy pokazywał się z nią u boku. A oprócz tego jej towarzystwo było naprawdę odprężające.

Osiemset milionów lirów w walizce.

Siedzieli na tylnym pokładzie, popijając mrożoną cytrynową granitą, ich ulubioną. Morris pił już drugą. Massimina pozostała przy jednej, gdyż ona oczywiście musiała oszczędzać. Właściwie to i lepiej, skoro pieniądze należały do niego. Wyglądała na szczęśliwą. Szczęśliwą, bo płynęli na Sycylię, Morris był zdrowy i teraz czekały ich prawdziwe wakacje bez żadnych rachunków hotelowych do uregulowania. (Dlaczego nie ograniczyli się do Sycylii, koniecznie chciała wiedzieć.) Uśmiechała się szeroko, odsłaniając śnieżnobiałe zęby, a święty Krzysztof na jej piersi błyszczał w promieniach słońca. (Fotografia na obwolucie jego albumu? W hołdzie Giacomo Pellegriniemu? Dureń. Sam się dopraszał tego, co go spotkało. Żeby komuś ledwo poznanemu proponować wymianę dziewczyn! Jeśli się dobrze zastanowić, przy trybie życia, jaki prowadził, pewnie

był nosicielem wirusa HIV. Właściwie powinien mówić o szczęściu, że spotkał go krótki, bezbolesny koniec.)

O zmierzchu ukazały się skaliste, spowite w błękit brzegi wyspy. Po upalnym, leniwym dniu pasażerowie byli już zmęczeni i odbiór bagażu odbył się spokojnie i bez przepychanek. Wszyscy uciekali od miasta i od tłumów i teraz wreszcie mogli się zrelaksować i kochać swoich bliźnich. Jeszcze tylko odebrać bagaż, pokonać kilka malowniczych mil dzielących ich od willi czy hotelu i gotowe. Kilku hipisów i objuczonych plecakami turystów sprawiało wrażenie całkowicie niegroźnych. Potrafili nawet przeprosić człowieka, jeśli potrącili go przypadkiem. Przemiała atmosfera.

Morris zamienił kilka uprzejmych uwag ze starszawym dżentelmenem, który okazał się weneckim hrabią, posiadającym także sporu kawałek ziemi w Highlands, gdzie polował. Wspaniali ludzie z tych Szkotów, jak dzielnie sobie radzą w tym surowym klimacie. Wielkie bohaterstwo. On także zawsze podziwiał Szkotów, powiedział Morris. Właściwie to jego dziadkowie pochodzili ze Szkocji. Czy hrabia zna Renfrewshire? Nie? Szkoda. (Wspomnienia z egzaminu z geografii. Gdzie właściwie leży Renfrewshire, do cholery? I w ogóle co za nazwa? Przynajmniej dobrze, że nie Great Renfrewshire albo Renfrewshire Royal!)

- Pozwolę sobie przedstawić moją narzeczoną. Massi-mina, hrabia Verzi. -  
Lepiej nie ryzykować wymieniania nazwisk.

Zona hrabiego, atrakcyjna, przemiała kobieta po czterdziestce, była co najmniej piętnaście lat młodsza od swojego męża. Nie, to jest dopiero ich drugi pobyt na Sardynii, willę kupili w ubiegłym roku.

- Ale skoro wy, młodzi, nie macie samochodu, może was podwieziemy? Dokąd się wybieracie?

Morris podał im nazwę miejscowości.

Hrabia odparł, że ich willa leży trochę dalej. Nie, nie, to żaden kłopot, sama przyjemność, spotkać młodych ludzi, z którymi tak miło się rozmawia (Massimina nie odezwała się ani jednym słowem). A włoski Morrisa jest naprawdę znakomity. Od jak dawna mieszka we Włoszech? Od dwóch lat zaledwie? Godne podziwu.

Czterdzieści klimatyzowanych kilometrów dalej Morris i Massimina wygrmolili się ze srebrnego mercedesa na niewielkim placu w centrum Palau.

- Jesteście pewni, że nie chcecie, aby was podrzucić pod same drzwi?

- Ależ naprawdę nie trzeba. Na tę noc poszukamy sobie jakiegoś hoteliku, a jutro przyjadą po nas przyjaciele.

- W takim razie *arrivederci*. Wpadnijcie do nas, jeśli będziecie mieli ochotę.

Morris odparł, że z prawdziwą przyjemnością.

- Dlaczego zmyślasz? - zaprotestowała Massimina, kiedy wchodzili do baru. Z jakiegoś powodu wydawała się rozgniewana. — Przecież nie idziemy do żadnego hotelu.

- A co, miałem może pozwolić, żeby mój przyjaciel zobaczył nas zajeżdżających srebrnym mercedesem? Od razu pomyślałby, że jesteśmy bogaci i wcale nie musimy u niego nocować.

- Morrees, czy mogę coś powiedzieć? Nie obrazisz się? - Mocno wyduńnięte wargi wskazywały na prawdziwe zdeterminowanie.

- Co takiego? - zapytał zdumiony.

Zastanawiał się właśnie, jak ma potraktować przyjaciela Gregoria, który z pewnością spodziewał się pary homoseksualistów. Najlepiej chłodno od samego początku. Odebrać klucze, dać się dowieźć na miejsce i jasno dać chłopcu do zrozumienia, że nie życzą sobie więcej go oglądać. Do Mimi jak najczulej. Nie powinno być trudne.

- Naprawdę przesadziłeś z podlizywaniem się tamtym.

- Co takiego?

- Nadszkakiwałeś tamtemu człowiekowi tylko dlatego, że był hrabią i miał samochód i to było widać...

Morris zagotował się z gniewu. Jednocześnie poczuł lekki dyskomfort.

- Rozmawiałem z hrabią Verzi i jego żoną, ponieważ byli uprzejmi i kulturalni - odparł sztywno. - Czego niestety nie mogę powiedzieć o niektórych ludziach.

Nagle przypomniał sobie fragment z tamtego listu: „...jego kłamstwa biorą się z tego, że czuje się gorszy...” A to suka.

- Czy nie widzisz, że w ten sposób robisz z siebie głupca? Ze wstydu nie wiedziałam, gdzie się podziać. Ja...

- Czy dajesz mi do zrozumienia, że siedzenie niczym mumia, z kciukiem w gębie, to najwłaściwszy sposób zachowania się w towarzystwie?

Morris zamówił dwie kawy. Dochodziła jedenasta wieczorem.

- Morri, nie złość się. Chciałam tylko...

- Zamknij się. Idę zadzwonić do gościa, który ma nas odwieźć. I nie chcę już słyszeć ani słowa więcej na ten temat.

Gdyby tylko zdawała sobie sprawę, z jakim ogniem igra, z pewnością nie wyskoczyłaby z niczym podobnym.

Roberto pojawił się o jedenastej trzydzieści i wyglądał zupełnie inaczej, niż Morris go sobie wyobrażał. Wysoki, atletycznie zbudowany, stawiający zdecydowane kroki przyjaciel Gregoria był potężnym mężczyzną o szerokich barach, gęstych, zaczesanych do tyłu rudawych włosach i dumnym, lekko zgarbionym nosie. Miał głęboko osadzone oczy, którymi szybko omiół kawiarnię. Kiedy zorientował się, że Morrisowi towarzyszy Massimina, zdumiał się przelotnie, ale nie wykazał najmniejszego zakłopotania. Usiadł przy ich stoliku, w ciepłym, wieczornym powietrzu, leniwie rozpostarł ramiona, przez chwilę bębnił po stole długimi palcami, mierząc Morrisa od stóp do głów, wreszcie mrugnął do niego znacząco i zawołał do barmana:

- Enrico, trzy brzoskwiniowe grappy.

Ponownie zwrócił się ku nim, obdarzając ich szerokim uśmiechem. Wargi miał niezwykle szerokie, uśmiech przyjacielski, zmysłowy i złośliwy jednocześnie.

- Massimina - przedstawiła się Massimina. Roberto ujął drobną dłoń, spoczywającą na blacie, i ze śmiechem uniósł do ust, mrugając ponownie, tym razem do niej.

- *Piacere, Signorina* - powiedział, czyniąc żartobliwy ukłon.

Morris planował być oziębły wobec niego i czuły wobec Massiminy, zażądać natychmiastowego odwiezienia do willi Gregoria, i koniec. Ale wściekłość na dziewczynę spowodowała, że stracił wszelką ochotę na sam na sam z nią, nie

mówiąc już o jakichkolwiek czułościach. Poza tym Roberto od razu mu się spodobał: pełen humoru, bezpośredni, bez żadnych fochów. Tak więc bez protestów zgodził się na grappe, a potem na kolejną. Po chwili spostrzegł nawet, że się znakomicie bawi. Co z tego, że było to wbrew jego pierwotnym zamierzeniom, skoro teraz mógł zabłysnąć przed tym chłopakiem, pokazać, że w większym towarzystwie potrafi obracać się równie swobodnie, jak w obecności najbliższej mu osoby. Massimina chichotała, chowając nos w kieliszku. Morris nigdy przedtem nie widział jej tak rozbawionej i skłonnej do wypicia. Widocznie reakcja na ich drobną sprzeczkę.

Roberto pokpiwał sobie z niej, naśladując wydęcie warg i ściągnięcie brwi. Massimina zorientowała się, ale nie obraziła się wcale. Morris dołączył do tych żartów, czując się jednocześnie radosny i opiekuńczy.

Od czasu do czasu, co prawda, gdzieś tam dźwięczał alarmowy dzwonek, lekko zakłócający dobry nastrój. Kiedy Trevisani zorientują się, że nie odzyskają dziewczyny? Kiedy powiedzą wszystko policji? Co wtedy? Czy Marangoniemu uda się dotrzeć do pary jadącej w tamtym przedziale? Czy znajdzie torbę na peronie? Jeśli tak, będzie wiedział, że okup został odebrany w Rzymie. A jeśli policja od tamtego mężczyzny uzyska jego opis, w gazetach pojawi się kolejny portret pamięciowy, odpowiadający temu z Rimini. Nie mówiąc już o tym, że inspektor Marangoni zna go osobiście. (Czy wszystkie połączenia telefoniczne z policją są automatycznie rejestrowane? Jeśli tak, wiedzą już, że dzwonił z Rzymu, z dworca, i z łatwością dodadzą dwa do dwóch. Jakimż był głupcem, że w ogóle zachciało mu się tej rozmowy.) A już z czysto rutynowego punktu widzenia, czy nie było szaleństwem pozwolić, by Massimina tak długo przebywała w czyimś towarzystwie, by jej twarz utrwaliła się Robertowi w pamięci. Owszem, Morris słyszał dzwonki alarmowe, ale postanowił je zignorować, gdyż

dość miał już strachów i alarmów. W końcu cóż jest warte osiemset milionów, jeśli człowiek od czasu do czasu nie może się zabawić, pośmiać, pożartować. A tamten chłopak był taki zabawny.

Roberto zdjął drewniaki, postawił je na stole, wsunął dłonie do środka i odtańczył nimi mały taniec. Przedtem jednak opowiedział Massirninie dowcip o kobiecie, która pokazała biust goryłowi. Morris zrewanżował się dowcipem o kobiecie, która nie odezwała się ani słowem, stojąc w kolejce dawców spermy — jeden z bardziej świńskich z repertuaru ojca - a Massimina aż opluła grappą stół. Powiedziała, że gdyby wiedziała, jak potrafi świntu-szyć, nigdy by się z nim nie zadawała. Ale bawiła się wyśmienicie.

Była druga w nocy, kiedy wreszcie — pijani — znaleźli się w willi Gregoria, po szaleńczej jeździe przez klify. A dochodziła czwarta, kiedy Roberto udał się do domu.

W łóżku Morris powiedział, w ramach eksperymentu:

- Przepraszam, Mimi, że tak na ciebie naskoczyłem.

A Massimina pocałowała go tylko i powiedziała, że to wszystko jej wina.

(Odkrył w sobie jeszcze jeden talent - umiejętność postępowania z ludźmi.)

Morris lubił przyglądać się dobrze ubranym dzieciom. Spodenki do kolan, barwne koszule i starannie przygładzone włosy stanowiły jaskrawy kontrast z jego własnym dzieciństwem w brudnych szortach i obstrzępionych T-shirtach. Oczywiście tutejsze dzieci pochodziły w bogatych rodzin - inaczej przecież nie spędzałyby wakacji na Sardynii - ale trzeba też przyznać, że Włosi byli dobrzy w tego typu sprawach.



- Kiedy będę miał dzieci, chciałbym, aby były ubrane równie starannie jak te tutaj - powiedział.

Massimina z poważną miną i spódniczką obciągniętą na kolanach, siedziała po turecku, krojąc pomidory do kanapek. Teraz uniosła rękę i ostrożnie podrapała się pod brodą czubkiem noża.

- To może nastąpić prędzej, niż przypuszczasz.

- Jak to?

Uśmiechnęła się i lekko poczerwieniała pod świeżą opalenizną z kilku ostatnich dni.

- Nie udawaj niewiniątka, Morri. Przestań dobrze?

- Przestań, ale co? - zapytał z uśmiechem.

- Przecież nie używaliśmy niczego, prawda?

Popatrzył na nią ostro. Błogi uśmiech Massiminy rozlewał się po całej twarzy niczym roztopione masło. Dlaczego o tym nie pomyślał? Sam fakt, że to robi, zaskoczył go tak bardzo, że nie przyszło mu do głowy, by sięgnąć po jakiegokolwiek zabezpieczenie, o których tyle się przecież mówiło. Wziął do ręki niewielki, okrągły kamyczek i cisnął go do kiczowatego, oblewającego Sardinie morza, starając się, aby nie trafić w któregoś z bawiących się na plaży malców. On i Massimina siedzieli w niewielkiej, kamiennej wnęce u podnóża klifu, tuż poniżej willi Gregoria. Miejsce dostępne było jeszcze tylko dla dwóch innych rodzin, zajmujących sąsiednią, luksusową posiadłość. Ich dobrze ułożone, starannie ubrane dzieci bawiły się teraz w berka.

- Ale przecież nie możesz mówić o spóźnieniu — powiedział chłodno, uświadamiając sobie, że nie zna włoskiego odpowiednika słowa „okres”. - To było zaledwie tydzień temu.

- Owszem, ale jestem pewna, że się spóźni. - Uśmiechnęła się z powagą. Och, z jaką powagą.

Pewnie wyobrażała sobie, że to takie strasznie romantyczne, jeszcze bardziej niż *I prorriessi sposi*. Było wręcz widać, jak umiera z niecierpliwości, by upewnić się ostatecznie. Najchętniej już by się zrywała i gnała po test ciążowy, żeby mieć go pod ręką, gdy tylko okres opóźni się o dziesięć sekund, tak by zaraz zadzwonić do Signory Mammy i postawić ją przed faktem dokonanym i żeby dwie świętoszkowate siostrzyczki zawyły z zazdrości. A Morrisowi kazałaby natychmiast kompletować dokumenty potrzebne do zawarcia małżeństwa.

Z drugiej strony właściwie nie miałyby nic przeciwko temu. Bogata żona, dziecko, wszyscy odpowiednio ubrani, popołudnie na spacerze albo w teatrze, *la passeggiata*, on posiadający niezależne dochody, tak by nikt nie mógł go szantażować okupem, albo zarzucić, że wyzyskuje rodzinę.

Tyle tylko, że nie widział żadnej możliwości, by związać się z tą dziewczyną bez wkopywania samego siebie.

(Bierz forsę i zwiewaj. Czmychaj stąd jak najprędzej!)

Lunch jedli na dworze - wiadomości radiowe o pierwszej były czymś, czego należało unikać. Po posiłku wspięli się stromą ścieżką z powrotem do willi na godzinną sjęstę w wielkim, podwójnym łóżku w sypialni rodziców Gregoria. O trzeciej miał przyjechać Roberto i zabrać ich do Porto Torres, gdzie Morris miał nadzieję kupić jakąś gazetę. Od trzech dni nie miał dostępu do prasy.

Leżąc w półmroku, przy opuszczonych żaluzjach, z nagą Massimina drzemiącą u boku, usiłował zmusić swój umysł do poważnego rozpatrzenia nurtującej go kwestii. Tak naprawdę żadne gazety nie były mu teraz potrzebne. Obecna tęsknota za nimi stanowiła jedynie próbę wypełnienia czymś czasu. Teraz najświeższe doniesienia prasowe nic już mu nie pomogą. Miał pieniądze. Im dłużej będzie odwlekał powrót do Werony, tym trudniej będzie mu wrócić. Poza tym Massimina stwarzała coraz większe zagrożenie. W każdej chwili mogła usłyszeć coś w radiu, zobaczyć swoją twarz na ekranie telewizora albo po prostu podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić do domu. Powiedział jej nawet, że Gregorio zostawił im kartkę, w której pisał, żeby absolutnie nie dzwonili na stały ład. Wszystkie rozmowy są rejestrowane i rodzice od razu by się dowiedzieli, że pozwolił przyjacielom nocować w willi pod ich nieobecność. Gregorio istotnie zostawił notkę, ale z informacją, że prawdopodobnie uda mu się wrócić wcześniej, gdzieś koło pierwszego lipca, czyli za niecały tydzień. Morris poczuł się schwyty w pułapkę, w dodatku nie do końca zastawioną przez samego siebie.

Naprawdę nie przewidział problemu z Massimina. Uczciwie i szczerze. Nie zaplanował takiego rozwoju sytuacji.

Oczywiście mógłby ją namawiać na wspólną ucieczkę do Ameryki Południowej, ale ona od razu chciałaby wiedzieć, dlaczego i za czyje pieniądze.

Mógłby też zaproponować wariant z wyjazdem do Anglii, wówczas jednak z pewnością uparłaby się przy odwiedzeniu najpierw mamusi i siostrzyczek, żeby mieć swoją chwilę triumfu.

Chyba że udałoby mu się sfalszować potępiający list od Signory Mammy. Wydziedziczam cię, nigdy nie waz się przestępować progu mojego domu, itd. To jednak było zbyt naciągane, zresztą Massimina z pewnością doskonale znała charakter pisma matki.

Mógł też zbiec do Ameryki Południowej sam. To była możliwość całkiem serio. Niestety, nie miał najmniejszej ochoty na ucieczkę do Ameryki Południowej. Ani też do żadnego innego odległego, wespół cywilizowanego miejsca, jeśli już o tym mowa (taka Australia, na przykład, nie pociągała go w najmniejszym nawet stopniu). Podobny wyjazd równałby się przecieź porażce całego przedsięwzięcia, którego celem było zamieszkać w cywilizowanym, kulturalnym ośrodku i wieść cywilizowane, kulturalne, wysmakowane życie. Gdyby teraz miał uciekać i kryć się gdzieś w boliwijskich lasach albo paragwajskich moczarach wśród eksnazistów i mafijnych zbiegów, lepiej było niczego nie zaczynać.

W dodatku wcale nie chciał rozstawać się z Massimina. Chryste, naprawdę było to ostatnie, czego pragnął.

Dlaczego nie pozostał przy romantycznej ucieczce? Mógł się z nią ożenić i w ten sposób też zdobyłby pieniądze.

Zdjął szczupłe ramię ze swojego barku, wsunął lekko pod rozpląszczoną na prześcieradle pierś, po czy wstał z łóżka. Wyłożona białą terakotą podłoga przyjemnie chłodziła stopy. Założył szorty i przeszedł przez ogromne pomieszczenie. To doprawdy niewiarygodne, że zaprosili tu kogoś takiego jak on. Koniecznie musi wysłać list z podziękowaniami. Bogactwo, wystawność, aż po naj-

drobniejszy szczegół; w rogu salonu ogromny telewizor, biały, nowoczesny aparat telefoniczny, ozdoby, obrazy, na jednej ścianie tapiseria w głębokich czerwieniach i szafirach, wszystko z gustem, choć może odrobinę przeładowane. Dlaczego nie może pozostać tu na zawsze?

Przeszedł do sypialni Gregoria i ujął spoczywający na biurku przycisk do papierów. Zważył go w dłoni - idealną, szklaną kulę wielkości piłki krykietowej, ciężką i solidną. Gdy się nią obracało, kolorowe banieczki w środku zdawały się wirować. Do oczu napłynęły mu łzy. Odwrócił się do okna, które nie wychodziło na morze, tylko na skaliste pustkowie porośnięte kolcolistem. Jaskinie? Będzie musiał to zbadać.

W szafie Gregoria, za stosem porządnie złożonych ubrań (pożyczył sobie parę znakomicie skrojonych, płóciennych, letnich spodni) leżała plastikowa torba z pieniędzmi. Rozwiązał węzły - z torby nadal wydobywał się zapach pomarańczowych skórek - zdjął gumową opaskę z jednego pliku i wziął do ręki kilka pięćdziesięciotysięcznych banknotów. Przy szesnastoprocentowej inflacji cały majątek tracił 16/365 każdego dnia. A to oznaczało - koniecznie musi sobie kupić kalkulator - 0,25% dziennie. Właśnie. Jeden procent z ośmiuset milionów wynosił osiem milionów, czyli 0,25%... zaraz... policzmy... około trzystu, no tak jakieś trzysta dwadzieścia tysięcy. Czyli nie robiąc z forszą nic, w ciągu jednego dnia tracił mniej więcej tyle, ile w ostatnim roku zarabiał w dwa tygodnie. Opóźnienie powrotu do Werony, tak aby wypadł tuż przed przyjazdem Gregoria, spowoduje stratę ponad dwóch milionów. Dwumiesięczne zarobki przeciętnego człowieka. Nie, koniecznie trzeba zainwestować, i to szybko. Nie ma sensu, aby pieniądze gniły na dnie szafy, upchane w plastikowej torbie. Trzeba skoczyć na dzień do Mediolanu, znaleźć porządnego maklera i od razu wpakować w coś sto milionów, żeby zrobić dobry początek. Dziś po południu kupi kalkulator i nowe

baterie do dyktafonu, a w nocy przedyskutuje to wszystko sam ze sobą i wreszcie podejmie poważną, nieodwracalną decyzję.

- Morri, gdzie jesteś?

Massimina stała w holu. Jeśli ktoś stapał bosą po tych kafelkach, nie było go wcale słychać. Morris szybko wepchnął plastikową torbę za stos złożonych swetrów i wyprostował się gwałtownie, uderzając głową o górną półkę.

- Morrees - Massimina już była w drzwiach - naprawdę nie powinieneś grzebać w jego rzeczach.

Uśmiechała się, jednak z lekką zmarszczką dezaprobaty, jakby chciała powiedzieć: „kocham cię, ale pewne rzeczy w sobie będziesz musiał zmienić. Na przykład to podlizywanie się innym czasami”.

Na sobie miała jedynie majtki i biały T-shirt, w palcach obracała świętego Krzysztofa. Nagle zapytała:

- A skąd, na Boga, wzięły się te pieniądze? - Między kciukiem, a palcem wskazującym lewej dłoni Morrisa wciąż tkwiło kilka różnobarwnych banknotów.

Przycisk do papierów znajdował się zaledwie kilka stóp po lewej, dosłownie na wyciągnięcie ramienia, i nawet gdyby w pobliżu nie było żadnych jaskiń, to i tak okolica składała się z całych mil pustkowiec porośniętego kolcolistami. Mimo to Morris nie ruszył się. Kochał ją przecież. Jeśli kiedykolwiek kogoś kochał, to właśnie ją. Może znajdzie jeszcze jakieś inne rozwiązanie. Zresztą lada chwila pojawi się Roberto.

- Przymierzałem parę spodni Gregoria i natknąłem się na nie w kieszeni.

- Ależ nie powinienes - powiedziała szybko. - To znaczy nie powinienes przymierzać jego rzeczy, to trochę...

-Gregorio to mój dobry przyjaciel - odparował chłodno. - Na pewno nie miałby nic przeciwko pożyczeniu mi swoich ubrań. Pieniędzy także, gdybym ich potrzebował.

Był świadom, że niemal pragnie, by go rozzłościła.

- Przepraszam - powiedziała Massimina, przygryzając dolną wargę. Wyrażnie sprawił jej przykrość. - Morrees, dlaczego mówisz do mnie takim tonem? - Odsunęła się nieco, nie spuszczać z niego wzroku. Wytrzymał jej spojrzenie, starając się wyglądać normalnie. Musiał jednak mocno mrugać, bo oczy robiły mu się lodowate i szkliste. - Dziś rano, kiedy powiedziałam ci, że może jestem w ciąży, nie spodziewałam się, że zaczniesz skakać z radości. Wiem przecież, że to problem. Mogłeś jednak okazać mi choć trochę wsparcia, tymczasem ty nawet nie chciałeś o tym rozmawiać. Zachowywałeś się tak, jakby... Och, Morri, jak to się dzieje, że w jednej chwili jesteś dobry i kochający, a w następnej wydajesz się taki dziwny, taki odległy... - Wybuchnęła płaczem.

Morris zbliżył się do niej z wahaniem, otoczył ramieniem jej ciepłe ciało, jej kark...

- Massimina - zaczął - Mimi, ja naprawdę... - Szyję i ramiona miała tak pięknie uformowane, takie dumne. Jak wspaniale wyszłyby na fotografii, pod kątem czterdziestu pięciu stopni i nieco z góry (gdyby uklękła, na przykład), co podkreśliłoby długość szyi. - Mimi, ja naprawdę nie chciałem...

Może wszyscy kochankowie doświadczali tego samego: ciepło, uczucie, przyjaźń, seks, a pod spodem ukryte całkiem inne rzeczy, niewypowiedziane, horror rodzący się wraz z przywiązaniem, pragnienie, aby...



- Mimi, ja...

W tym momencie zabrzmiał klakson samochodowy. Przyjechał Roberto.

Ojciec Roberta był hotelarzem i posiadał trzy hotele stojące wzdłuż wybrzeża, na północ od Palau. Czasami latem Roberto pomagał w biurze albo - zupełnie okazjonalnie - w restauracji największego z nich, ale poza tym zupełnie nie przykładał się do rodzinnego interesu; nikt też zresztą tego od niego nie oczekiwał. Studiował medycynę na Uniwersytecie w Rzymie i tam spędzał większą część roku. Ze studiami nie spieszył się specjalnie, nie widząc jakiegoś szczególnego powodu, aby je jak najszybciej kończyć. Miał doskonałe układy w szpitalu w Sassari, gdzie praca i tak na niego czekała, więc bez sensu byłoby się zamęczać. Palił cienkie cygara i jeździł białym golfem z opuszczanym dachem, który teraz sunął łagodnie drogami wzdłuż klifu, mając po lewej niewysokie wzgórza porośnięte kolcolistem, a po prawej skalisty uskok, w niektórych miejscach dość gwałtowny. Morris pomyślał, że chciałby mieć dokładnie taki sam samochód. Zawsze podziwiał volkswageny golfy z opuszczanym dachem. Takie stylowe, z niską linią maski.

Massimina była trochę nie w sosie, powiedziała, że boi się, iż pęd powietrza do reszty zrujnuje jej trwałą, a tak się starała, żeby nie zamoczyć włosów podczas przedpołudniowego pływania. Od czasu do czasu odwracała się do Morrisa z wyrazem zafasowania na twarzy, pewnie myśląc o czekającym ją zażenowaniu przy zakupie testu ciążowego. Pochylił się więc i szepnął jej do ucha, że sam to załatwi, a Massimina uśmiechnęła się i pocałowała go, wyraźnie uspokojona.

- Och, nie - wykrzyknął, kiedy już oddalili się na bezpieczną odległość dwudziestu kilometrów - zapomniałem paszportu, a bez niego nie załatwię żadnych dokumentów.

-Ależ Morrees, przypominałam ci przecież...

- Słuchaj, zrobimy tak. Wezmę formularze i następnym razem przyniosę już wypełnione.

- A co to za dokumenty? — zainteresował się Roberto i Morris z miejsca uświadomił sobie swoją pomyłkę. Trzeba było szeptać dalej.

- Zamierzamy się pobrać - wystrzeliła szybko Massimina, wyraźnie rozradowana, że może powiedzieć to na głos.

Roberto był rozbawiony, zachwycony nawet i Morris już wiedział, że teraz zepsuje im całe popołudnie, nabijając się z nich przy każdej nadarzającej się okazji. Zresztą zaczął od razu.

- Ja bym tam nie wiązał się z takim.

- A to dlaczego? - Massimina z miejsca włączyła się do gry.

- Wygląda mi na cholernie podejrzanego typka.

- Nie, Morrees jest...

- Poza tym to Anglik. Wiesz, jacy są Anglicy. I w dodatku stary. - Roberto odwrócił się do Morrisa i mrugnął porozumiewawczo. — Powinnaś najpierw rozejrzeć się trochę, wypróbować młodszych mężczyzn, a nie od razu skazywać się na pierwszego, który ci się spodobał.

- Nie. — Massimina była cała w skowronkach. - Kiedy to on skazuje się na pierwszą...

- Zamknij się - rzucił Morris ostro.

Porto Torres okazało się gwarnym, nadmorskim miasteczkiem, wypełnionym urlopowiczami, którzy dryfowali między nowoczesnymi hotelami, ciągnącymi się wstążką wzdłuż nabrzeża, a starym, kamiennym labiryntem sklepików i restauracji, stanowiącym dawne portowe centrum. Morrisowi wydało się zbyt kolorowe i zbyt wulgarne; za dużo reklam tanich filmów do aparatów fotograficznych, za dużo balonów, za dużo pocztówek, zabawek plażowych i plastikowych chorągiewek.

W najbliższym kiosku kupił „Corriere delia sera” i „La Martina”, a potem poszedł jeszcze do trafiki po znaczki i kartki pocztowe, których domagała się Massimina. Jak długo pisała na mityczny adres w górach, pozwalał jej samej wrzucać listy do skrzynki, na wszelki wypadek jednak należało zachować ostrożność i być przewidującym.

- Tylko przypadkiem nie wysyłaj, bo też chciałbym się dopisać - ostrzegł Massiminę, kierując się w stronę apteki.

Roberto poszedł z nim, szukając specjalnego typu chodaków zalecanego dla lekarzy i Morris, bez żadnego specjalnego powodu, postanowił nie kryć się przed nim ze swoim zakupem. Massimina została na dworze. Siedząc na stopniach pomnika poległych w obu wojnach światowych, smarowała kartki do mamy i do babci.

- Chyba nie żenisz się z nią tylko dlatego, że jest w ciąży? - Ciemne oczy Roberta spoglądały z ożywieniem. Po wyjściu z apteki Roberto otoczył Morrisa ramieniem.

- Skądże, żenię się z nią, bo jest bogata.

- Żartujesz chyba.

- Cóż, skoro chcesz znać prawdę, to na razie nie żenię się z nią wcale. To ona nabiła sobie tym głowę. Wymyśliła, że spodziewa się dziecka, żeby mnie przynaglić. Jestem pewien, że wcale nie jest w ciąży. - Skąd miałyby być? Odkąd to robili, minęło zaledwie półtora tygodnia.

- Ależ nie broń się tak - powiedział Roberto, wciąż z lekkim rozbawieniem w oczach. - To przecież miła dziewczyna. Masz ochotę się żenić,żeń się. Sam nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie moje odmienne inklinacje.

W tym momencie Morris wyraźnie zobaczył dalszą drogę, zrozumiał, dlaczego właściwie pokazał Robertowi, co kupuje.

- Jasne, nie mówię przecież, że wcale nie zamierzam się z nią żenić. Nie widzę tylko powodu do pośpiechu, stąd ten zapomniany paszport. Chryste, ale się o to pokłócimy dziś wieczorem. Już to widzę. Będzie mi grozić, że natychmiast wraca do mamy, jeśli jej zaraz nie poślubię. Może nawet pozwolę jej na to, żeby pokazać, kto tu rządzi.

-Gdybyś potrzebował kogoś, kto odwiezie ją na prom... - i Roberto lekko uścisnął Morrisa, co nie było takie znowu nieprzyjemne.

- Dzięki, będę to miał na uwadze - powiedział Morris chłodno.

Siedzieli na plaży. Całe mile białego piasku. Żar lejący się z nieba. W pewnym momencie Morris poczuł, że ma absolutnie dosyć. Było mu za gorąco. I jeszcze to rozleniwienie. On chciał być na nogach, ruszać się, zajmować się czymś. I to nie sprawami w rodzaju pilnowania Mas-siminy, żeby nie wrzuciła

kartki do skrzynki albo nie zadzwoniła do domu; na litość boską, nie miał zamiaru spędzić reszty życia na niańczeniu tej dziewczyny. On pragnął inwestować, sprawiać, by pieniądze wreszcie zaczęły na niego pracować. Już go palce świerbiły, żeby z miejsca brać się do dzieła. Boże święty, gdyby tak miał tyle możliwości co Roberto, kupowałby hotele jeden po drugim, tworząc całe imperium tak szybko, jak to tylko możliwe, a nie wylegiwał się na dupie, udając, że studiuje medycynę.

- Nie, nie mam ochoty na ponowną kąpiel - powiedział do Massiminy. - Idź z Robertem. - (Kupili wielką, czerwoną piłkę do zabawy. Mój Boże, a on myślał, że chłopak zabierze ich na kulturalną wycieczkę po starym centrum albo do jakiś antycznych ruin; tyle się naopowiadał o tym „fascynującym miejscu”.) - Ja skoczę do miasteczka, dopóki sklepy są jeszcze otwarte.

Zarzykuje właśnie teraz, pomyślał. Jeśli Massimina się dowie, ucieknie. Jeśli nie, niech się dzieje, co chce. Wszystko w rękach losu.

W miasteczku podarł pocztówki i wyrzucił je do kosza na śmieci. Po namyśle doszedł do wniosku, że lepiej aby na fikcyjny adres w Górnej Adydze nie nadchodziło zbyt wiele kartek od jakichś Massiminy i Morrisa. Przygoda z czerwonym dressem nauczyła go, że nigdy nie wiadomo, co człowieka może spotkać.

Lektura prasy okazała się pokrzepiająca. W „Corriere della sera” była tylko krótka wzmianka, że okup został zapłacony, ale nadaremnie, bo ofiara nie wróciła do domu. Nie wspomniano, w jaki sposób pieniądze zostały przekazane (to komplement, pomyślał Morris, policja nie chce, by ktoś skopiował jego pomysł). Zdaniem gazety inspektor Marangoni mocno się niepokoił o życie dziewczyny. Zachodziła obawa, że Massimina może nie żyć już od dawna, że tajemnicza kartka do babki została napisana zaraz pierwszego dnia po uprowadzeniu, a wysłana

znacznie później, by wszyscy sądzili, że ofiara porwania nadal żyje. Ostatni akapit mówił jeszcze, że kartka okazała się zagadką także dla grafologów, którzy upierali się, iż nic nie wskazuje, by pisano ją pod przymusem. Spekulowano nawet, że być może sama dziewczyna mogła współuczestniczyć w mistyfikacji wymierzonej przeciwko rodzinie. Jednakże policja po przesłuchaniu członków rodziny i przyjaciół wyklucza podobną możliwość. W sprawie śledztwa w Rimini „La Stampa” nie napisała nic, widocznie cała sprawa spadła na ostatnie strony lokalnych gazet.

Morris zdecydował się na kalkulator firmy Texas Instruments. Sprzedawca zapewniał go, że to bardzo odpowiedni model dla kogoś, kto prowadzi rozległe interesy, pokazał mu także, jak się oblicza procent składany. Baterie do dyktafonu, które kupił w tym samym sklepie, były horrendalnie drogie. Może powinien zainwestować w przemysł elektroniczny? Ten zdawał się naprawdę kwitnąć.

Mijając automaty telefoniczne, zaczął się zastanawiać, ileż telefonów mógłby jeszcze wykonać. Pewnie nawet w *Questura* czekają, aż się odezwie. Teraz jednak czuł, że byłoby to zbyt wielkie ryzyko. Policja może śledzić automatycznie wszystkie połączenia. Osiemset milionów do stracenia to zbyt wiele, żeby bawić się w jakieś gierki.

Mówić Massiminie, czy nie mówić? Może przyłączyłaby się do zabawy? W końcu była dobrym dzieckiem i będzie mu jej brakowało. Może nawet uznałaby całą sprawę za znakomity żart? Oczywiście, pod warunkiem że sprzedałby jej okrojoną wersję wydarzeń.

Szedł gwarną ulicą Porto Torres, płonąc z niecierpliwości, by wreszcie zabrać się do dzieła, i jednocześnie wciąż roztrząsając stary dylemat. Słońce paliło niechętnie jego na nowo opaloną skórę. Od portu niósł się dźwięk rogu parowca

odpływającego do Genui (czemu nie znajduje się na jego pokładzie?). W witrynie sklepu z ceramiką uważnie obejrzał swoje odbicie. Wyglądał lepiej niż kiedykolwiek i to dodało mu nowego bodźca.

Roberto zebrał gdzieś trójkę przyjaciół (sami mężczyźni!) i wszyscy razem wybrali się na kolację; Morris z niemiłym przeświadczeniem, że zupełnie nie kontroluje wydarzeń. Ilość osób, które widziały Massiminę u jego boku, nieustannie rosła, a on nie potrafił nad tym zapanować. Nie czuł wcale głodu, więc zamówił tylko rybę z grilla, bez żadnych przybrań i dodatków. Jeszcze tydzień i będzie po wszystkim. Musi być. Wte albo wewte.

Mężczyźni omawiali wyniki wyborów z ostatniej niedzieli, o których Morris kompletnie zapomniał. Poczul się zaniepokojony, że Chrześcijańscy Demokraci stracili sześć procent, a komuniści uzyskali w sumie aż jedenaście. Kroiła się możliwość rządu lewicowego, odległa wprawdzie, ale na tyle realna, by spowodować dziesięciopunktowy spadek na giełdzie w ciągu jednego dnia. Chwała Bogu, że nie zainwestował pieniędzy w ubiegłym tygodniu. Z drugiej strony, dzięki tym politycznym przepychankom telewizja będzie miała się czym zająć.

Massimina wachlowała się nad homarem - wieczór był wyjątkowo parny i duszny - a kiedy jeden z przyjaciół Roberta zaczął ją podrywać (w typowy dla pedałów sposób, pomyślał Morris), Roberto roześmiał się i powiedział:

- Nie dotykaj jej nawet, bo oni się żenią. Kupił jej dzisiaj pierwszy test ciążowy - obwieścił z uśmiechem.

Massimina przybrała kolor homara, którego kawałek podnosiła właśnie do ust. Morris poczuł wściekłość, słysząc tak wulgarny komentarz. Najchętniej by się odgryzł, okazał swoje uczucie Massiminie, ale pomysł pocieszenia jej pod



spojrzeniem tych roześmianych, ciemnych, południowych oczu dziwnie nie przypadł mu do gustu. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to wyjść na głupca. W efekcie więc siedział sztywno i milczał.

- Brawo, brawo - zaczęli wołać pozostali. - Jak nazwiecie tego gościa?

Massimina zdumiewająco szybko otrząsnęła się z zakłopotania i zaczęła chichotać (to tyle, jeśli idzie o jej surowe, katolickie wychowanie). Obiema rękami przywarła do ramienia Morrisa i oparła głowę na jego barku. Jak go nazwą? - zapytała. Ona jeszcze się nad tym nie zastanawiała. O ile to oczywiście będzie on.

- Leonardo - odpowiedział odruchowo, rzucając imię własnego ojca, żeby wreszcie skończyć z głupimi żartami.

Jednak wszyscy uznali, że to jest dopiero zabawne - nowy Leonardo - a Roberto dorzucił, że wszak da Vinci był homoseksualistą, może nie? Na dodatek wykopywał ciała zmarłych mężczyzn i ciął je na kawałki.

Morris zobaczył przed oczami plamę czerwieni. Na przemian otwierał i zamykał powieki i wstrzymując oddech, usiłował pokonać wzbierającą falę mdłości. Udało się.

-Mój syn nie będzie robił żadnej z tych rzeczy - oświadczył zimno, na co Massimina dorzuciła idiotycznie: *Vero, Morrees* i pocałowała go w policzek, co tylko sprowokowało innych do dalszych braw.

Z powodu gwałtownej burzy upadł pomysł picia na plaży, więc Roberto odwiózł ich do domu. Z nieba lalo się obficie i wracali niemal w całkowitym milczeniu, siedząc na rozłożonych ręcznikach, bo nie zdążyli podnieść dachu, zanim zaczęło padać. Do domu dotarli już po jedenastej. Roberto wszedł na chwilę, żeby skorzystać z toalety. Rozpromieniona Massimina upierała się, żeby został jeszcze na drinka (z alkoholu Gregoria. I kto tu rozporządzał się cudzą własnością?). Zostawiwszy Morrisa w kuchni, przeszła do salonu, gdzie znajdował się barek, po drodze odruchowo włączając telewizor. Najwyraźniej pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła na ekranie, była jej własna twarz.

- Morrees! Morrees!

Ton jej głosu powiedział mu wszystko. W ułamku sekundy był w salonie, z butelką wody sodowej w ręku.

- Morrees, to przecież niemożliwe. - Massimina stała na środku pokoju. Jedną rękę zanurzyła we włosach, drugą miała niespokojnie fałdy spódniczki. — Morrees, ja tego nie pojmuję. Moją rodzina myśli, że zostałam porwana.

- Co takiego?

- Nawet zapłacili okup. To chyba jakiś pomyłka. Morris zdążył jeszcze zobaczyć znajomą fotografię, blednącą za plecami odczytującego wiadomości lektora. Przez moment przestraszył się, że zaraz ukaże się Signora Mamma z błagalnym apelem do porywaczy i Massimina wystrzeli do telefonu, zanim jeszcze zdąży pozbyć się Roberta. Na szczęście kamera zaczęła pokazywać pożar fabryki chemikaliów w Mediolanie.

- Ależ Morrees, skąd im się to wzięło, po tylu listach, które wysłaliśmy! A ty przecież nawet pojechałeś do domu, rozmawiałeś z Mammą. Nie, ja tego nie pojmuję.

- Ja także nie.

Drżąc na całym ciele, Morris odstawił butelkę z wodą sodową. Żar bił z niego wszystkimi porami skóry.

- Nie rozumiem tego - wyszeptał ochryłym głosem. Co zresztą odpowiadało prawdzie. To, że po niemal

trzech tygodniach jego nieustannej czujności udało jej się zupełnie przypadkowo zobaczyć swoje zdjęcie w telewizji, graniczyło przecież z cudem.

Massimina nie spuszczała z niego wzroku. Wiedział, że nie potrzeba dużo czasu, nawet przy jej powolnym umyśle, by prawda wreszcie zaczęła do niej docierać. Pokornie zwiesił głowę.

- Mimi, ja nie powiedziałem twojej matce, że jesteś ze mną. Zaraz ci wszystko wytłumaczę - dorzucił pośpiesznie. - Nie miałem pojęcia, że dojdzie do tego wszystkiego, przysięgam. Gdybym żywił choć najlżejsze podejrzenia... - Usłyszał szum spuszczonej w łazience wody i odgłos otwierania drzwi. - Zaczekaj, pozbędziemy się Roberta i porozmawiamy spokojnie. Wszystko ci wyjaśnię.

Trzymaj nerwy na wodzy, Morrisie Duckworth. Wypadł na korytarz. Roberto jeszcze ciągle stał w pobliżu łazienki. Morris zniżył głos i zaczął dramatycznym szeptem - na tyle cicho, by Massimina nie mogła go usłyszeć, i z takim przejęciem, by zrobić wrażenie na Robercie.

- Robbi, mówiłem ci, że dziś wieczorem między mną a Massimina z pewnością dojdzie do kłótni, pamiętasz? No więc właśnie się zaczęło. Nie sądzisz, że może...

Roberto wyszczerzył zęby w uśmiech.

- Jasne, jasne. - Mrugnął znacząco. - Pamiętaj tylko, żeby w tych okolicznościach nie być dla niej zbyt okrutny. Moja oferta jest nadal aktualna. Gdyby Massimina chciała...

- Dzięki - skwitował szorstko Morris, facet, który nie ma teraz nastroju do żartów.

- Zuch chłopak. *Ci vediamo!* - krzyknął Roberto w stronę salonu, a kiedy Massimina nie odpowiedziała, zrobił grymas, jakby chciał powiedzieć: „to aż tak źle?”. Lekko poklepał Morrisa po ramieniu. - One naprawdę nie są warte takich kłopotów.

Kiedy on się wreszcie wyniesie? No, idź już. Morrisowi wydawało się, że sły-  
szy trzask podnoszonej z widełek słuchawki. Omal nie wypchnął Roberta za  
drzwi.

- No to do jutra - pożegnał się wreszcie Włoch.

- Jasne, *ciao*. - Nie czekając nawet, aż Roberto zamknie za sobą drzwi, Morris  
wrócił pospiesznie do salonu, akurat w porę, aby wyrwać Massiminie słuchawkę,  
w której brzmiał sygnał łączenia.

- Chcę porozmawiać z Mamma, i to zaraz. Muszę jej powiedzieć. Morrees,  
przecież ona odchodzi od zmysłów. - Massimina rozplakała się, z gniewu, zde-  
nerwowania, desperacji.

Telewizor za jej plecami pokazywał reklamę jakiegoś gatunku koniaku. Mor-  
ris wziął Massiminę w objęcia, jednocześnie pilnie uważając na telefon.

- Najpierw pozwól, że ci wytłumaczę.

Uwolniła się z jego objęć i odsunęła nieco. W jej oczach malowała się teraz  
podejrzliwość, a nawet odrobina strachu. Postanowił jednak nie ustępować.

- Co mi wytłumaczysz? - zapytała.

Starał się, aby jego głos brzmiał najczulej i najłagodniej.

- Najpierw usiądź, a ja zaraz wszystko ci opowiem. Tylko obiecaj, że nie  
zrobisz niczego, dopóki nie usłyszysz ode mnie całej prawdy.

Warkot silnika samochodowego powiedział mu, że Roberto właśnie odjeżdża.  
Teraz byli sami. Najbliższa willa stała o dobre pół mili dalej, przy drodze, na któ-  
rej asfalt był już tylko wspomnieniem.

Morris wyłączył telewizor.

- Widzisz - zaczął - na samym początku pomyślałem, że jeśli powiem twojej rodzinie, że jesteś ze mną, natychmiast się pojawią, żądni naszej krwi, czy też raczej, mojej krwi, więc po prostu zataiłem to, w obawie, że zabiorą cię ode mnie, że rozdziela nas już na zawsze.

-Ale...

Morris usiadł w jednym z wielkich, białych, skórzanych foteli, naprzeciw Massiminy. Czuł, że wraca mu opanowanie, i wiedział, że najbliższą część rozegra prawidłowo. A potem trzeba będzie podjąć decyzję. Da dziewczynie szansę. Decyzja będzie należała do niej.

- Wtedy w Quinzano powiedziałem, że nie wiem, gdzie jesteś, a potem zniszczyłem wszystkie listy, które pisaliśmy...

- Co takiego...?

- Oczywiście po kilku dniach zacząłem tego żałować, zdałem sobie sprawę, że postąpiłem głupio, problem jednak w tym, że tkwiłem już po same uszy i nie mogłem się wycofać, bo zaraz by się wydało, że przedtem skłamałem. Widzisz, najgorsze było to, że kiedy rozmawiałem z twoją matką, akurat pojawiła się policja i wtedy nie miałem już wyjścia - musiałem im powiedzieć to samo, co powiedziałem jej i... Myślę, że to od tego byłem w Rzymie taki chory... pamiętasz moje nerwy i napięcie i...? - Zawiesił głos.

Massimina przyjmowała wyjaśnienia nawet lepiej, niż mógłby przypuszczać. Łzy jej obeschły, a na twarzy pojawił się tak znajomy wyraz zatroskania. Oczy spoglądały na niego badawczo. Kiedy milczał przez dłuższą chwilę, odezwała się:

- Boże, ale ty jesteś idiotą.

- Tak. - Przyjął to z pokorą.

- Na litość boską, dlaczego po pierwszych dniach, kiedy tak cię to dręczyło, nie przyszedłeś do mnie i nie wyznałeś całej prawdy? Coś byśmy wspólnie wymyślili. Mogłam wrócić do domu, powiedzieć, że uciekłam na własną rękę... Tymczasem teraz...

- Nie chciałem, żebyś wracała do domu - oświadczył z determinacją, wysuwając szczękę do przodu w wyrazie męskiego zdecydowania. - Kocham Cię. - (To była prawda. Właściwie zaczynał nawet dobrze się bawić. Massimina dawała się urobić.) - Chciałem odczekać do twoich osiemnastych urodzin, pobralibyśmy się i sprawa byłaby załatwiona. Skąd miałem przypuszczać, że potraktują twoje zniknięcie jako porwanie, co więcej, że pojawi się jakiś łajdak z żądaniem okupu? Na litość boską, toż to brzmi jak scenariusz kiepskiego filmu. Byłem przekonany, że pomyślą, że po prostu uciekłaś.

- Ależ we Włoszech niemal każde zaginięcie traktowane jest jako porwanie.

- Cóż, nie jestem Włochem - oświadczył Morris z goryczą. - W życiu bym nie pomyślał, że może dojść do czegoś podobnego. - Czy ma jej powiedzieć o telefonach na policję i do domu? Nie, lepiej nie, może przy jakiejś innej okazji. - Nie wiedziałem nawet, że twoja rodzina jest na tyle bogata, by ktoś mógł chcieć cię porywać - ciągnął ponuro. - A tak nawiasem mówiąc, ile zapłacili? Nie dosłyszałem, gdy w telewizji była o tym mowa.

- Osiemset milionów — powiedziała zdławionym szeptem.

- To niezbyt wiele.

- Niezbyt wiele! Osiemset milionów! Mój Boże!



- Głos się jej załamał, najwyraźniej przytłoczyła ją wizja takiej kwoty, a może też uświadomiła sobie bezsens swoich drobnych oszczędności. No cóż, ma za swoje.

- To okropne, wiem - podjął. - Cóż mogę powiedzieć? Przecież nie mamy sposobu, aby odzyskać te pieniądze, prawda?

- Nie wiem, może policja jakoś... Boże, nadal nie mogę uwierzyć w to wszystko. - Na moment opuściła ją cała odwaga i znowu zaczęła szlochać. - Dopiero teraz zaczyna to do mnie docierać. A byłam taka szczęśliwa, tak się wspólnie bawiłam. To jakiś koszmar.

Morris przesiadł się z fotela na kanapę, żeby ją przytulić. W tym momencie rzuciło mu się w oczy ich wspólne odbicie w szybie, za którą rozciągał się mrok. Powinien opuścić żaluzje, tak na wszelki wypadek.

- Och, Morrees! - Massimina ukryła twarz na jego piersi.

- Cara, posłuchaj, musimy po prostu zdecydować, co dalej. Jeśli wrócimy i powiemy całą prawdę, prawdopodobnie zamkną mnie w więzieniu. Nie wiem, za krzywoprzysięstwo albo coś podobnego i z pewnością nie pozwolą nam się więcej widywać. Mimi... - jego głos nabrał teraz miękkich tonów, choć nie starał się o to specjalnie - jesteś pierwszą dziewczyną, z jaką kiedykolwiek byłem, słowo honoru. Pierwszą, przy której czułem się jak w domu. Jeśli cię stracę...

Podniosła na niego zaczerwienione oczy.

- W takim razie co zrobimy?

- Musisz powiedzieć, że zostałam porwana i że właśnie cię zwolnili.

- Jak to?

- Musisz powiedzieć, że zostałaś porwana i że właśnie cię zwolnili - powtórzył.

-Ależ Morrees, to szaleństwo, nie możemy...

- Posłuchaj, jutro z samego rana pojedziemy na stały ląd, do Rzymu. Pójdziesz prosto na policję albo - lepiej jeszcze - zadzwonisz, z przedmieścia gdzieś w pobliżu autostrady, i powiesz, że porywacze przed chwilą wypuścili cię z samochodu.

Massimina milczała. Byłoby wspaniale, gdyby udało się ją przekonać, pomyślał.

- Powiesz, że przez cały czas trzymali cię z zawiązanymi oczami, w komórce albo w czymś podobnym, że nigdy nie słyszałaś ich rozmawiających między sobą, a do ciebie zwracali się wyłącznie wtedy, kiedy przynosili ci jedzenie. Wydaje ci się, że mówili z akcentem neapolitańskim. Potrafisz to zrobić. Po miesiącu wrócę do Werony, akurat na twoje osiemnaste urodziny. Pobierzemy się, nawet bez zgody twojej matki, jeśli będzie trzeba.

- A co będzie, złapią tego człowieka, który odebrał okup? - zapytała.

- Nie złapią - zapewnił z przekonaniem. -Ale...

- To jedyna droga, jaką widzę. W przeciwnym wypadku siedzę w tym po szyję, a ty prawdopodobnie także. Nigdy nie będziemy mogli być razem.

- A dziecko? A Leonardo? Tego nie wziął pod uwagę.

- Urodzi się w sześć albo siedem miesięcy po naszym ślubie i wszyscy będą wiedzieli, że zostało poczęte w czasie, kiedy jakoby byłam porwana.

- Na litość boską, przecież nie masz pewności, czy jesteś w ciąży, więc nie wyskakuj z tym teraz. Gdybyś faktycznie spodziewała się dziecka, byłby to prawdziwy pech, bo i bez tego mamy dość kłopotów.

- Jestem pewna.

- Jak? Nie możesz tego wiedzieć.

- Kobieta zawsze wie - odparła.

- Och, mowa-trawa. Nie możesz być pewna, dopóki...

- Ale ja jestem pewna.

- W takim razie powiesz, że cię zgwałcili - warknął. Zaczynał tracić cierpliwość. Massimina naprawdę posuwała się zbyt daleko.

- Powiesz, że stąd właśnie zwłoka między podjęciem okupu a zwolnieniem cię. Porywacze zagrozili, że cię nie wypuszczą, dopóki im nie ulegniesz. Opierałaś się przez tydzień, w końcu ustąpiłaś. Tym sposobem *cara Mamma* będzie nawet szczęśliwa, że żenię się z tobą, bo pomyśli, że nikt inny by tego nie zrobił.

- Nienawidzę cię - wyrzuciła z siebie Massimina, odpychając go od siebie i spoglądając dziko.

Morris nie dotknął jej nawet. Przede wszystkim spokój, przede wszystkim nie trać opanowania, Morrisie Duckworth. Szukając wzrokiem jej oczu, powiedział, że bardzo mu przykro, że ją obraził. W jego głosie brzmiała autentyczna szczerść i przekonanie. To wszystko z powodu tej desperackiej sytuacji, niech spróbuje to zrozumieć. Najlepiej będzie, jeśli teraz spróbują się przespać, ochłonać trochę, zwłaszcza po tej ilości wina, które wypili, a rano zdecydują. I odwrócił się, żeby opuścić żaluzje.

Położyli się do łóżka. Massimina pojękiwała cicho, usiłując zasnąć. Morris pieścił ją delikatnie. Rozgrzane prześcieradła lepiły się nieprzyjemnie, a w ogrodzie za domem cykady grały jak oszalałe. Morris naprawdę chciał wierzyć, że wszystko się powiedzie, mimo przeszkód, z jakimi przyjdzie im się jeszcze zmierzyć. Massimina była wspaniałą dziewczyną i nie brakowało jej odwagi, a sam pomysł był cholernie dobry. Poza tym z czysto finansowego punktu widzenia osiemset milionów to nie było wcale tak wiele. Owszem, spora sumka, ale z pewnością niewystarczająca na całe życie. Nie na takie życie, jakie zamierzał prowadzić. Bez wątpienia lepszym rozwiązaniem będzie ożenić się z resztą jej pieniędzy, których z pewnością było więcej niż jakieś nędzne osiemset milionów.

Oczywiście ta opcja miała też swoje wady. Oznaczała życie w ciągłym strachu, że coś się wyda, i całkowitą zależność od Massiminy, a jej dawała do ręki możliwość emocjonalnego szantażu. „Jeśli nie będziesz dla mnie miły, powiem wszystko”. Mogło też się zdarzyć, że Massimina coś chlapnie, wypiwszy za dużo podczas przyjęcia, wykazywała bowiem większe upodobanie do alkoholu, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać. Z tym jednak dałby sobie radę, czuł to. Poza tym przyzwyczał się do tego, że ma ją blisko siebie. Po raz pierwszy w życiu. A myśl, że miałoby jej zabraknąć...

Zarzykuje więc. Ożeni się z nią, zdobędzie szacunek, będzie miał rodzinę (test ciążowy już czekał w łazience, razem ze wszystkimi buteleczkami z chemikaliami, z których miały powstać jakieś okręgi czy coś podobnego). Wystarczy im pieniędzy na dostatnie życie, z niańką i służbą, mnóstwem interesów i rozrywek kulturalnych. Popatrzył na wygięte w luk plecy Massiminy.

- Mimi, śpisz? - Cisza. - Mimi? - Cisza.

W takim razie on też utnie sobie krótką drzemkę. Ale upał i duchota nie pozwalały mu zasnąć i właściwie cieszył się z tego. Czuł, że tej nocy nie powinien spać. Leżał wsłuchany w koncertujące cykady i odległe grzmoty, którymi rozbrzmiewał horyzont.

TLR

Następną rzeczą, jaką pamiętał, było przebudzenie w kompletnej ciemności. Z najwyższym wysiłkiem usiłował wyrwać się z objęć snu, ogarnięty szaleńczym niepokojem. Miejsce obok niego było puste. Macał wokół siebie w poszukiwaniu Massiminy, ale jego dłoń natrafiała wyłącznie na prześcieradła. Wyskoczył z łóżka, zanim jeszcze jego umysł zdołał wydostać się na dobre z ciemnej jaskini snu. Palce niecierpliwie szukały wyłącznika. Gdzie jest światło, do cholery? Uchem złowił dźwięk numeru wybieranego w telefonie. Wierne, godne zaufania uszy. Wybiegł na korytarz i wpadł do salonu, gdzie Massimina stała niemal w zupełnie ciemności, tak że tylko biel jej skóry zaprowadziła go do niej.

- Mamma, och mamma, jestem bezpieczna i... Wyrwał jej z rąk słuchawkę i rzucił na widełki.

- Obiecałaś, obiecałaś nigdzie nie dzwonić, dopóki nie znajdziemy się z powrotem na stałym lądzie.

- Niczego nie obiecywałam. Powiedziałam tylko, że prześpię się z tą decyzją.

- Ale dlaczego akurat teraz? Zadzwoń do niej, zlokalizują połączenie i jesteśmy załatwieni. Może już zlokalizowali. Dowiedzą się, że byliśmy tu przez ostatni tydzień, i już po nas.

- Ty zawsze masz w zanadrzu jakiś mały plan, prawda? - powiedziała Massimina zimno. Stała zupełnie naga, dygocąc z gniewu, aż podskakiwały jej wielkie piersi. - Przemyślałam wszystko. Wszystko, co się wydarzyło. To, tamto, owo. Ty zawsze masz jakiś mały, pokrętny plan, żeby wyszło na twoje.

- Ależ Mimi... - Bóg mu świadkiem, że to o jej życie teraz błagał. Odwrócił się i zapalił światło.

- Te wszystkie telefony, które jakoby wykonywałeś, listy, które kazałeś mi pisać i których potem nie wysyłałeś, adres w górach. Boże, jak ja mogłam...

-Ależ *cara*, wszystko to robiłem dla ciebie...

- Kompletnie nie dostrzegając, że moja matka na drugim końcu linii telefonicznej umiera z niepokoju. Jedyne, co muszę zrobić, aby jej pomóc, to podnieść słuchawkę i wybrać numer.

-Ale...

- Za dużo myślisz o sobie - przerwała mu stanowczo, wyciągając rękę do telefonu. - Jesteś egocentryczny i próżny.

- A więc opuszczasz mnie - rzucił tonem rozżalenia, opierając się o drzwi. Sam był zdumiony, jak bardzo go to dotknęło. Nie była skłonna dzielić z nim kłopotów. Choć z drugiej strony jej ostatnie słowa były dokładnie tymi, na które czekał.

Massimina podniosła słuchawkę, wydymając wargi.

- Nie, nie zostawiam cię. Po prostu mówię, żebyśmy wreszcie spojrzeli prawdzie w oczy, wyznali całą prawdę i uporali się z nią. Nie zamkną cię w więzieniu. W gruncie rzeczy nic przecież nie zrobiłeś. Może uda się im nawet odzyskać...

- Ale Mimi - niemal skamlał, jednocześnie nienawidząc siebie za to - Mimi, będą musieli...

- Nie pozwolę, aby ktoś myślał, że ojcem mojego dziecka jest obrzydliwy porwacz, który mnie zgwałcił. - Palce Massiminy spoczęły na przyciskach.

Morris poczuł się zdesperowany do granic wytrzymałości. Od gorąca cały aż dygotał.



- Jasna cholera, przecież ty nawet nie wiesz jeszcze, czy jesteś w tej pieprzonej ciąży... - Urwał, ale Massimina nawet nie popatrzyła w jego stronę. - Nie dzwoń, Mimi, proszę. Jeśli mnie kochasz, nie dzwoń, na miłość boską.

Massimina podrapała się po piersi i wróciła do wybierania numeru.

- Nie kocham cię. I nigdy cię nie pokocham, jeśli nadal będziesz się wydzie-  
rał, tak jak teraz.

Nawet na niego nie spojrzała. Nie kochała go. Od pokoju Gregoria dzieliły go tylko trzy kroki, a światło wskazywało drogę. Sięgnął do stojącego przy drzwiach biurka, ujął przycisk do papierów i zważył go w dłoni. Zanim jeszcze zdążyła dokończyć wybieranie numeru, był już z powrotem w salonie.

- Mimi, proszę, nie rób tego. Jeśli zadzwonisz, nigdy już nie będziemy mogli być ze sobą, zapewniam cię.

Uniosła głowę. Musiała dostrzec przycisk z wirującymi, różowymi banieczkami, ale niczego nie skojarzyła.

- Och, zamknij się.

Jej palec powrócił, by nacisnąć ostatni numer, i wówczas ją uderzył. Nieco powyżej lewego ucha, unosząc ramię wysoko nad głowę, by cios miał większą siłę. (Był nawet taki moment, kiedy cień tego ramienia padł na ścianę, jednak Massimina nie dostrzegła tego również.) Zacisnął zęby; szklana kula opadła z niewyobrażalną siłą. Massimina osunęła się na plecy na wykładaną płytkami podłogę, mocno uderzając o nią głową. Nawet nie krzyknęła, zresztą i tak nie miało to znaczenia.

Przewrócenie jej na brzuch i wepchnięcie pod twarz jednej z pokrytych czerwonym jedwabiem poduszek Ferronich zajęło mu dosłownie kilka sekund. Z pal-

cami wczepionymi w jej włosy cisnął, cisnął ze wszystkich sił, choć wiedział, że tak naprawdę nie ma takiej potrzeby. Jeden cios załatwił wszystko.

Znowu ogarnęły go ciemności. Na wszelki wypadek zgasił światło i siedział po ciemku wpatrzony w jasną, bielejącą smugę jej ciała. Tym razem czuł się inaczej. Słabo. Obco. Twarz miał mokrą od łez. Mimi! Dlaczego przynajmniej ten kielich nie został mu oszczędzony? Dlaczego nie była rozsądniejsza? To wszystko jej wina.

Być może tym razem załamał się kompletnie. Czuł to. Kiedy zamknął oczy, wielkie płachty ciemności zaczęły napierać na jaskrawe, ogniste światła, pulsujące mu pod czaszką. Plamy czerwieni i błękitu zamierały powoli, ginęły, zduszone nadciągającą zewsząd czernią. Kiedy ponownie odemknął powieki, zobaczył tylko blady, niewyraźny, pozbawiony życia kształt, wynurzający się z cienia. To nie była jego wina, że życie było tak kruche, że wystarczał jeden cios, by usunąć wszystkie problemy. Przecież nigdy nie planował jej zabijać. On chciał inaczej (powinien był nagrać tamtą rozmowę) i tylko czysty pech sprawił... musiał wstać i szybko pobiec do łazienki, gdzie zwymiotował nad umywalką.

Kiedy znalazł się z powrotem na korytarzu, nagle uderzyła go myśl, że może Massimina jeszcze żyje, więc ostatnie kilka metrów pokonał biegiem, gotów obrócić ją na plecy i tchnąć powiew życia w te małe, naburmuszone wargi. Ale gdy już znalazł się przy niej, zawahał się, a potem odwrócił. Jej nagość wystraszyła go. Trzeba się jej pozbyć, i to jak najszybciej. Wywieźć zwłoki o mile stąd. Najlepiej zniszczyć, gdyby się dało. Nie wiedział jeszcze, jak ma to zrobić. Ale pokonywanie konkretnych problemów postawi go z powrotem na nogi. Gdyby przestał na siedzeniu i wgapieniu się w ciało, byłby załatwiony.

Była piąta rano i na dworze zaczynało szarzeć. Morris ubrał się szybko i wyszedł na zewnątrz. Obszedł dom i otworzył drzwi niedużej szopy ogrodowej, usytuowanej na skraju zaniedbanego skalniaka. Zaglądał tu już wcześniej i zauważył wielkie plastikowe worki, wypełnione jakimś użyźniaczem, mieszanką potasową czy czymś w tym rodzaju. Jeden opróżniony już worek leżał na kosiarce, trzy pełne stały oparte o ścianę. Wytaszczył na zewnątrz jeden z pełnych worków, otworzył i wysypał jego zawartość. Niebieskie kryształki ułożyły się w spory wzgórek. Z dwoma pustymi workami wrócił do domu. Nadal potrzebował światła elektrycznego, ponieważ nie podniósł żaluzji i nie miał zamiaru tego robić. Przed drzwiami wytarł starannie nogi, po czym przeszedł do salonu, gdzie leżały zwłoki.

Nie będzie potrzeby obracania jej na plecy i oglądania twarzy. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał nawet wiele jej dotykać. Wyszarpnie poduszkę i od razu nasunie worek, tak daleko, jak się tylko da. A jeśli Massimina jeszcze żyje? Jeśli jęknie, poruszy się, otworzy oczy? Nie, ona nie żyje. Morris pochylił się nad martwą dziewczyną, wciągnął powietrze i zrobił, co do niego należało. Szło mu niezdarnie; ramiona nie chciały wejść do środka, tak samo piersi nie chciały się zmieścić i przez chwilę już mu się wydawało, że nic z tego, że worek okaże się za wąski, ale nie, wystarczyło mocniej przycisnąć, a wszystko poszło gładko. Naciągał worek coraz dalej, unosząc ciało lekko do góry i obciążając plastik. Starczyło go do pasa. Spoglądając na wystającą resztę, poczuł nagły przypływ uczucia. Zaprzagnął przyklęknąć i ucałować krągły pośladek. Wytrzymał jednak. Nie wolno mu się rozklejać. W żadnym wypadku. Sięgnął po drugi worek. Miał go naciągnięty już do kolan, kiedy rozdzwonił się telefon.

Dźwięk dzwonka uderzył w niego niczym pocisk, ogłuszył go zupełnie. Telefon w czwartek o szóstej rano? Może policja zlokalizowała, skąd dzwoniono, i

teraz oddzwania? Nie, przecież nie telefonowaliby w ten sposób. Od razu przysłałoby dziesięć samochodów pełnych uzbrojonych policjantów. Na wszelki wypadek jednak lepiej nie odbierać. Nie jest wystarczająco opanowany. Po mniej więcej dziesięciu sygnałach dzwonienie ustało.

Teraz pracował jak w gorączce. Dzwoniący telefon wprowadził go w nastrój walki. Czuł się niczym ścigane zwierzę, wokół którego zatrzaskuje się pułapka. Podobne wrażenie towarzyszyło mu przez całe niemal życie i w pewien sposób nauczył się je nawet lubić. Szybki, sprawnymi ruchami naciągnął drugi worek, aż zaszedł na ten pierwszy, po czym wrócił do sypialni, żeby posprzątać.

Zgarnął wszystkie ubrania Massiminy, majtki, biustonosze, kostium kąpielowy, dosłownie wszystko, nie wyłączając brudnych rzeczy, które zostawiła w łazience. Plus torebka, oczywiście. Zaraz, gdzie ta torebka? O, jest. Z całym naręczem wrócił do salonu i zaczął upychać poszczególne przedmioty po bokach worka. W pewnym momencie przypomniał sobie o świętym Krzysztofie. Czy powinien zdjąć go z jej szyi? A jeśli policja odnajdzie ciało i zidentyfikuje medalik, co wtedy? Nie, nie zidentyfikuje, musieliby przecież wiedzieć, że został skradziony wraz z portfelem Giacoma. Nie popadaj w paranoję. Zapomnij. Zresztą i tak nie ściągnąłby już worka. Za nic w świecie.

Kiedy wszystkie ubrania, buty i inne drobiazgi znalazły się w środku, odwrócił ciało twarzą do góry, uniósł ten koniec, gdzie były nogi, i złożył zwłoki w pół, tak że stopy dotykały twarzy. Przytrzymał własną nogą, odpiął pasek spodni, omotał go wokół szyi i stóp i mocno zawiązał. Gotowe. W środku trochę się rozłąziło, ale tym zajmie się później. Przede wszystkim musi pozbyć się jej z domu i powymywać tu wszystko. Złapał końce obu worków, po czym powłókł pakunek korytarzem do wyjścia, potem po schodkach w dół, krzywiąc się, ilekroć głowa uderzyła o kamienny stopień, i wreszcie za szopę.

Do diabła, co zrobić z nawozem? Z tym cholernym, lśniącym, błękitnym wzgórkim? Nic. Przerzuci go łopataą za składzik i tam zostawi. Nikt go nawet nie zauważy. Gregorio z całą pewnością nie, a rodzice w tym roku już się tu nie pojawiają, skoro ojciec był operowany. A w przyszłym roku, kiedy ktoś natknie się na niewiadomego pochodzenia kopczyk, potraktuje go jako jedną z drobnych domowych tajemnic, jakie życie podsuwa nam niemal każdego dnia - wielka kupka brudu pod drzwiami łazienki, owinięty w bibułkę bibelot, którego człowiek nigdy przedtem nie widział, znaleziony na dnie szafy w pokoju gościnnym. Podobne rzeczy zdarzały się, i tyle. Nikt nie zacznie nagle podejrzewać morderstwa, tylko dlatego, że zostanie górkę nawozu nie wiadomo jakim cudem usypaną za ogrodową szopą. Szybko przeniósł błękitne kryształki za szopę i zamiótł ścieżkę miotłą z witek. Worek także zatargał za szopę. To tylko chwilowe rozwiązanie. Teraz przede wszystkim musi skupić się na domu.

Wrócił do sypialni i zabrał się do metodycznego sprzątania, tak aby nie pozostał po niej ani jeden ślad. O, proszę, przedtem przeoczył lakier do paznokci, pudełko tamponów, cążki do paznokci spoczywające na serwetce na nocnym stoliku (po tym, jak powiedział jej, żeby zapuszczała paznokcie!). No i oczywiście test ciążowy. Jak to się mogło stać, że o nim zapomniał? Przystanął na moment, żeby przeczytać instrukcję na opakowaniu, ale okazała się zbyt skomplikowana, a on nie miał czasu. Zresztą teraz i tak było to nieważne. Zebrał wszystkie drobiazgi do woreczka, wyniósł na dwór i wepchnął w otwartą paszczę worka po użyźniaczu. Później jakoś to porządnie zwiąże. Musi się rozejrzeć za kawałkiem liny.

Koło ósmej trzydzieści mył podłogę w salonie ciepłą wodą z alkoholem, pogwizdując, gdyż robota miała się ku końcowi, a nawet podśpiewując chwilami „W noc żalości i zwątpienia zastęp pielgrzymów rażno kroczy”, kiedy nagle me-

lodia przycichła, zgłuszona warkotem silnika zajeżdżającego pod dom samochodu. Pisk hamulca, zgrzyt opon na żwirze, trzask zamykanych drzwiczek, czyjeś pospieszne kroki.

TLR

Nie ściągając nawet nałożonego do sprzątanania fartuszka Signory Ferroni, pośpieszył ku drzwiom, układając wargi w pierwsze słowa wyznania. Teraz już nie miało sensu zaprzeczać. Czemuż nie pojawili się godzinę albo dwie wcześniej, żeby go powstrzymać? Nagle poczuł się straszliwie samotny i bliski łez. Droga Mimi. Gdyby tylko przyjechali wcześniej.

- *Ciao*, Morris. A więc jednak jesteś tutaj? To dlaczego nie odbierałeś, kiedy dzwoniłem, co?

Po schodach wbiegał Gregorio. Z krótkich szortów, wyglądały długie, atletyczne, pięknie opalone nogi. Podobnie opalona była twarz pod grzywą kręconych włosów. Och, jak to wspaniale być tu znowu. Właśnie przyszły wyniki egzaminów. Zdał wszystko, czy to możliwe? Gregorio wybuchnął śmiechem. Osłupiały Morris cofnął się w głąb kryjącego się w półmroku wnętrza. Czy Gregoria też będzie musiał zabić?

- Z angielskiego *buono*. *Buono*, wyobrażasz sobie? Mama omal nie zemdląła.

- Moje gratulacje - wychrypiął Morris. Moment później pomagał chłopcu wnieść bagaże.

- Wiem, że dzwoniłem wcześniej, ale mogłeś odebrać, ty śmierdzący leniu. Płynąłem nocnym promem i miałem nadzieję, że przygotujesz śniadanie.

- Pojawiłeś się wcześniej, niż zapowiadałeś. - Głos Morrisa brzmiał niemal oskarżycielsko.

- Wiem, ale papę wypuścili wcześniej ze szpitala, więc... A coś ty, na Boga, robił w salonie? Zmywałeś podłogę o ósmej rano?

- Właśnie miałem wyjeżdżać. - Morris starał się mówić z całkowitą swobodą.



Odstawił trzymaną w rękę torbę i pospiesznie podciągnął żaluzje, żeby rozpuścić ponurą, mroczną atmosferę.

A zapach, zaniepokoił się nagle. Czy w tym pokoju śmierdzi? Pewnie tylko alkoholem zawartym w środku czyszczącym.

- Wyjeżdżasz?

- Tak, właśnie dlatego przegapiłem twój telefon. Widzisz to wszystko jest trochę skomplikowane. Najlepiej chodźmy do kuchni. Zrobię kawy i przy okazji opowiem ci o wszystkim. - Jego głos brzmiał równie naturalnie jak aria z Wagnera. Na szczęście był cudzoziemcem i to przemawiało na jego korzyść. Gregorio złożył wszystko na karb jego angielskiej wymowy. Może by tak dodać trochę akcentu?

Usiedli na kuchennych stołkach, czekając, aż kawa się zaparzy. Gregorio jadł herbatniki, a Morris opowiadał, jak to była z nim dziewczyna i...

- Dziewczyna? Wydawało mi się, że miałeś przyjechać z facetem.

- Naprawdę? Skąd ten pomysł?

- Przez telefon powiedziałaś *amico*.

- Tak powiedziałem? - Morris wbił w Gregoria niewinne spojrzenie i wytrzymał tak długo, aż zobaczył, że chłopak czerwieni się lekko pod opalenizną. - Nie, nie, to była dziewczyna. W każdym razie...

- Ta, z którą widziałem cię na Piazza Bra? W czerwonym dresie?

- Która? Ach nie, moja prawdziwa dziewczyna. - Spróbował uśmiechnąć się lekko i chyba mu się to udało. — W każdym razie wczoraj wieczorem pożarliśmy się jak diabli - mamy się pobrać jak najprędzej, ubzdurała sobie, że jest w

cięży i różne takie. Kiedy odmówiłem, uparła się, że wraca do domu, natychmiast, pierwszym porannym autobusem. Skończyło się tym, że musiałem odprawić ją do wioski, niosąc wszystkie bagaże.

- Ależ ja dzwoniłem o szóstej, o tej porze z pewnością...

- Wioska jest o dobre pięć kilometrów stąd, a pierwszy autobus do Olbii odjeżdża o siódmej dziesiątej. - Morris nie miał pojęcia, o której odjeżdża pierwszy autobus, ale tak samo nie miał o tym pojęcia Gregorio. Jedyne autobusy, jakie zauważał, to te, które wyprzedzał na drodze, pędząc jednym z samochodów papy. Morris poczuł miłe podniecenie na myśl, że niedługo sprawiedliwości stanie się zadość. On też wkrótce będzie miał samochód. (Cholera, musi przecież wyjąć forszę z szafy Gregoria!)

- Tłumaczyłem jej, żeby zaczekała do dziewiątej, to zadzwonimy po Roberta, ale wiesz, jakie są dziewczyny. Powiedziała, że jestem łajdakiem i chce uwolnić się ode mnie jak najprędzej. Stało na tym, że „łajdak” musiał drałować całe pięć kilometrów z jej bagażami, a potem z powrotem.

Potrafił wyobrazić sobie tę scenę, poczuł się nawet niesprawiedliwie potraktowany.

- W każdym razie, kiedy wróciłem, pomyślałem, że posprzątam i też będę się zbierał, bo samemu nie bardzo chciało mi się tu siedzieć.

Tak naprawdę nie miałby nic przeciwko temu, żeby posiedzieć tu w spokoju przez kilka dni.

Gregorio zdawał się łykać całą historię, podobnie jak łykał zaparzoną przez Morrisa kawę. Zanim skończył pić, Morris powiedział, że musi skoczyć do toalety, po czym przemknął do sypialni Gregoria i bezszelestnie wyciągnął torbę z

pieniężmi z za stosu swetrów. Znakomicie. Wrócił do swojego pokoju i włożył torbę do walizki. Czy aby niczego nie zapomniał? Czy nic nie pozostało, co mogłoby go zdradzić? Przycisk do papierów umyty i odstawiony na miejsce. Ślady krwi na umywalce? Niema. Zresztą krwi nie było prawie wcale. Podłoga czysta, wszystkie jej rzeczy zabrane. Gotowe.

- Ale skoro przyjechałem, chyba zostaniesz jeszcze kilka dni? - Głos Gregoria za jego plecami sprawił, że zamarł na moment.

- Może z dzień lub dwa. Też mi trochę spieszno do powrotu. Muszę rozejrzeć się za jakąś pracą, zanim skończy mi się forsa.

Ile potrwa, zanim zwłoki zaczną śmierdzieć albo Gregorio z jakiegoś powodu zawędruje w okolice szopy?

- Co robisz dzisiaj? - zapytał chłopca, niby obojętnie.

- Nic, leniwy dzień na plaży z Robertem, potem może fryzjer.

Ci ludzie tutaj nic nie robią, tylko wylegują się na plaży. A że przepuścili go z angielskiego to już naprawdę skandal. Widocznie matka musiała znać egzaminatora. Poszedł za chłopcem do łazienki i przyglądał się, jak tamten zaczyna się golić.

- Zastanawiam się, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

Wy tłumaczył, że podczas przeprawy promem poznał bogatego przemysłowca, zdaje się, że jakiegoś hrabiego, który zaoferował mu posadę w biurze w Vicenzy, i prosił, aby Morris odwiedził go w La Caletta. Planował pojechać autobusem, a potem od razu na prom, ale skoro ma zostać jeszcze parę dni, musi tu jakoś wrócić, więc...

- Jasne, bierz samochód - powiedział Gregorio, zbierając białą pianę z szyi.

Morris zauważył paczkę staroświeckich ostrzy, leżącą na szklanej półeczce w rogu łazienki. Istoty ludzkie były tak bezbronne, wręcz absurdalnie bezbronne.

- W takim razie najpierw do Roberta. Zostanę u niego, a ty weźmiesz samochód.

Jedyny problem polegał na tym, że aby wrócić do willi i załadować Massimianę do samochodu, musiał zawrócić i przejechać koło hotelu Roberta, obierając zupełnie przeciwny kierunek do tego, gdzie rzekomo się udawał. Innej drogi nie było. Czy mogą nabrać jakichś podejrzeń? Mogą. Jednak Morris zdążył się już nauczyć, że tam, gdzie nie było wyboru, należało nie przejmować się niebezpieczeństwem związanym ze zrobieniem kolejnego kroku, tylko po prostu go zrobić. Tak więc przejechał spokojnie obok białego hotelu, ostrożnie, bez przyspieszania czy innych ryzykownych manewrów, a kiedy już zniknął z pola widzenia, zawrócił w stronę willi. W jednej z szaf widział starą linę wspinaczkową, którą będzie mógł się posłużyć.

Zaparkował samochód tuż przy szopie, po czym udał się do domu po linę, ale drzwi okazały się zamknięte, a on przecież nie miał klucza, bo oddał go Gregoriowi. Cholera. No nic, kupi linę, przejeżdżając przez Palau. W nadmorskim miasteczku nie powinien mieć żadnego problemu z jej nabyciem.

Kiedy zbliżał się do szopy, coś się za nią poruszyło. Morris zamarł. Ptak. Na pewno ptak.

I rzeczywiście, był to wróbel, kręcący się w pobliżu worków. Morris zaczął ciągnąć pakunek. Przedtem wyobraził sobie, że ciało musiało już zesztynnieć w zgiętej pozycji, tak jak je zostawił, i teraz będzie mu łatwiej je poruszyć. Nic z tego. Miękkie, sflaczałe zwłoki zachowywały się tak, jakby za wszelką cenę chciały wydostać się z worków. To tyle, jeśli idzie o *rigor mortis*. Ledwo mógł

sobie poradzić. Pragnął potraktować dziewczynę z szacunkiem, tymczasem po prostu nie mógł. Oparł pakunek o tylny błotnik i zaczął przebierać w kluczykach. Cholera, przecież któryś z nich musi pasować do bagażnika. Spokojnie, wypróbuj wszystkie jeszcze raz. No, nareszcie. Bagażnik był straszliwie zagracony: stare buty, dżinsy, jakieś narzędzia, akcesoria narciarskie. Nóż. Morris poupychał to wszystko do tyłu i poderwał zwłoki do góry. Ale operowanie nieforemnym kształtem znajdującym się w workach oraz wszystkimi wystającymi z nich ubraniami i innymi drobiazgami, zdradzającymi tendencję do ustawicznego wypadania, okazało się nie takie proste. Nie potrafił nawet powiedzieć, za co właściwie chwyta. Na dokładkę rozsypał się pasek przytrzymujący razem głowę i stopy i całe ciało zaczęło się prostować. Worek z głową był już w bagażniku, natomiast ten kryjący nogi zaczął się obsuwać, obnażając białe pośladki.

Morris zagotował się z gniewu. Czuł wściekłość na dziewczynę, która — choć martwa — nadal nie przestawała się buntować. Przecież w każdej chwili ktoś mógł nadjechać. Ktoś mógł spoglądać w dół ze wzgórza. Cholera i jeszcze raz cholera. Uderzył ją z całej siły. Skórę miała zimną niczym marmur. „Ładuj się do środka, na miłość boską!”. Podniósł nogi, upchał je w bagażniku i zatrzasnął klapę. Para niebieskich majtek sfrunęła mu do stóp. Nie. Podniósł je, ponownie wyszukał odpowiedni kluczyk (nie wolno mu, za żadną cenę nie wolno mu zatrzasnąć kluczyków w bagażniku albo uczynić czegoś równie głupiego), wepchnął majtki do worka, co na jedną nieprzyjemną sekundę naraziło jego dłoń na kontakt z zimną skórą, i ponownie zamknął bagażnik.

Wreszcie wyprostował się i oddychał głęboko przez pełne dwie albo trzy minuty.

Dziesiąta. Opuścił biegnącą wzdłuż wybrzeża drogę i skierował się na południowy zachód *route 133*. Wczorajszy deszcz spowodował, że wokół wszystko lśniło i pachniało. Samochód pokonywał strome wzniesienia, porośnięte kwitnącym kolcolistem. Od czasu do czasu wymijał gęstsze zarośla, stado owiec, na wpół zrujnowane farmy czy nowoczesne letnie wille. Sardynia nie była aż takim rajem, jak się to mogło wydawać turystom, pomyślał Morris.

Upłynęło dużo czasu, odkąd siedział za kierownicą, więc teraz musiał uważać, zwłaszcza prowadząc tak potężny wóz. Jego dotychczasowe doświadczenia ograniczały się do starego 1100 ojca. Włączył radio, próbując złapać wiadomości albo jakiś raport dotyczący gospodarki, ale wszędzie nadawali wyłącznie muzykę rozrywkową, a Morris niczego bardziej nienawidził niż lekkiej muzyki. Nie pozostawało mu więc nic innego tylko napawać się widokami. W okolicy jeziora Coghinas znowu wyjechał na główną drogę, a niedługo później, w Oschiri, zatrzymał się i kupił niemal wszystkie gazety, jakie wpadły mu w ręce. Z samochodem zaparkowanym w zasięgu wzroku po przeciwnej stronie ulicy usiadł w małej, brudnej kawiarence i zaczął je przeglądać. Nic. Połączenie telefoniczne z pewnością trwało zbyt krótko, by zdołano je zlokalizować. Gdyby im się udało, byłby załatwiony.

Już miał zamówić drugą kawę, gdy nagle przyszło mu do głowy, że przy tym słońcu, prażącym bezlitośnie na samochód, ciało lada moment zacznie śmierdzieć. Z niewiadomych powodów smrodu obawiał się bardziej niż czegokolwiek innego. Wydawało mu się, że jeśli raz poczuje zapach rozkładających się zwłok, będzie go on prześladował do końca życia. Zerwał się więc, zapłacił i wypadł na

ulicę. Około stu metrów dalej znajdowała się czynna stacja benzynowa. A może kupić kanister benzyny i urządzić niedużą kremację? - zastanowił się przez moment. Nie, w ten sposób ściągnąłby tylko niepotrzebną uwagę. Z tego samego powodu odpada wykopanie grobu.

Dziesięć kilometrów dalej, w Ozieri, znowu porzucił główną drogę i ruszył boczną, wijącą się zygzakowato zboczami wzgórz otaczających Biti. Znajdował się w sercu Sardynii - raju bandytów: owce, pasterze, dzikie, ponure pustkowia ciągnące się całymi milami. Żadnych turystów, żadnych wspaniałych rezydencji czy piechurów pokonujących wytyczone turystyczne szlaki. Uważnie przyglądał się dróżkom odchodzącym od szosy po obu stronach, wypatrując najbardziej zarosniętej, nieużywanej już od dawna.

Wybrał jedną, o kilka kilometrów od Nuoro. Grunt był wilgotny, co nie było specjalnie fortunate. Zostaną ślady. Spokojnie, przecież na razie nie trwają żadne poszukiwania. Zmienił bieg na dwójkę i bardzo powoli ruszył zboczem pod górę, pokonując zarośla, dopóki gałęzie drzew z obu stron nie zaczęły ocierać się o maskę. Wsiadł i przeszedł pieszo kilka kroków. Krzewy, zarośla, ani śladu ścieżki. Niczego lepszego nie znajdzie.

Wyszarpał ją z bagażnika, teraz już sztywną niczym w podręczniku medycyny. Lina, zapomniał kupić linę. Znowu będzie ją musiał taszczyć, trzymając za krawędzie worków i łamiąc sobie paznokcie. Jakoś tego dokonał, wlokąc ją przez krzaki i pokrzywy. Do diabła z okazywaniem szacunku. Trochę za dużo nałamał gałęzi, ale co miał poradzić? Wystarczy dzień albo dwa, a natura sama się podniesie. Potrzeba mu odrobiny szczęścia. „I z tą odrobiną, i z tą odrobiną...” zanucił. Nie, musi uważać i oddychać tylko przez usta, na wypadek, gdyby już śmierdziała, i odwracać wzrok, gdyż dolny worek nieustannie się obsuwał, obnażając pośladki. Czuł się niczym długodystansowiec, wyczerpany, ale widzący już



kres udręki. Byle wytrzymać jeszcze trochę. Po kilkuset metrach znalazł szczególnie gęsty krzew. Pochylony wciągnął ciało pod gałęzie, pojękując i pocąc się z wysiłku, dygocąc z zimna i jednocześnie oblewając się warem.

Dziesięć minut później, już w samochodzie, uświadomił sobie nagle, że zostawienie ubrań i pozostałych drobiazgów w workach, było najgłupszą rzeczą, jaką mógł uczynić. Przecież prędzej czy później zwłoki zostaną zidentyfikowane; w dzisiejszych czasach policja potrafiła dokonywać prawdziwych cudów. Dysponując metkami, odtworzą trasę porwania aż po każdy najdrobniejszy szczegół i tym sposobem dostaną do ręki ślad, którego było im potrzeba.

Zatrzymał samochód na poboczu i zawrócił, czując prawdziwą dumę, że nie brakło mu odwagi, aby ponownie udać się w tamto miejsce. Jeszcze większą dumę poczuł, widząc, jak szybko i sprawnie radzi sobie ze zsuwaniem worków i pakowaniem do nich ubrań, butów i pozostałych drobiazgów. Ani widok ciała, ani nawet lekki zapasek nie przeszkadzały mu wcale. Pomyślał, że właściwie powinien zmasakrować twarz lewarkiem samochodowym. Ale nie, istniały jednak jakieś granice. A święty Krzysztof? Zostawi go. W końcu był to prezent, który dostała od niego, więc powinna go zatrzymać. Przecież nikt nie będzie łączył medalika z osobą Giacomo. Kolejne wyzwanie, pstryczek w nos losowi, podobnie jak skradziona Gregoriowi statuetka pozostawiona na stoliku do kawy w mieszkaniu w Weronie.

Wyjeżdżając ponownie z bocznego traktu na główną drogę, omal nie potracił wędrującego o kiju wieśniaka.

- *Scusi, mi scusi, Signore, buon giorno* - powiedział przez otwarte okno, najswobodniej jak tylko potrafił. Spoglądał staruszkowi prosto w oczy. Dziś wieczor-

rem zaszaleje z Gregoriem i Robertem, upije się nawet, a jutro albo pojutrze do Werony.

- *Buon di* - padło wreszcie z pomarszczonych warg staruszka z laską.

Wracał przez Genuę, co oznaczało trzynastogodzinną podróż. Płynął nocą, w jednoosobowej kabinie, trzymając się z dala od innych pasażerów. Zanim jednak zszedł pod pokład, przez dłuższą chwilę stał przy relingu, obserwując pełny, ciepły, śródziemnomorski księżyc, jasno oświetlający drogę leniwie sunącego statku. Nawet najmniejszej fali. Morze gładkie niczym jezioro. Obejrzał się do tyłu na ostatnie, migocące światła Sardynii i zaczął podliczać straty i zyski.

Opakowanie tamponów, znalezione przez Gregoria przy szopie, w dość dziwnym miejscu na gubienie podobnych rzeczy. Szybkie odkrycie i zidentyfikowanie zwłok, po którym w sardyńskich gazetach pojawią się fotografie, na tyle wyraźne, by Roberto albo Gregorio mogli ją rozpoznać. Co innego za miesiąc, wówczas obaj będą już z powrotem na stałym lądzie. Była jeszcze kupka użyźniacza i dodatkowe dwieście kilometrów na liczniku alfa romeo Gregoria. Był Stan, który widział dziewczynę na stacji w Rzymie i wiedział, że Morris wybiera się na Sardinie. Był Signor Cartuccio, który mógł natknąć się w gazecie na pamięciowy portret podejrzanego w sprawie o morderstwo w Rimini, nie mówiąc już o policji, która mogła zlokalizować, skąd dzwonił, i w każdej chwili wpaść na pomysł sprawdzenia, czy faktycznie przebywał w Bari, z kim się tam wybrał i gdzie nocował. Przeciw tym wszystkim niebezpieczeństwom on, Morris, dysponował jedną tylko kartą i teraz musiał się modlić, by okazała się jego asem atutowym. Jak do tej pory stał poza wszelkimi podejrzeniami, a prowadzącym śledztwo wyraźnie brakowało niezbędnej w takich przypadkach przenikliwości.

Zaraz po powrocie do Werony wybierze się do inspektora Marangoniego na szczerą rozmowę o wszystkim, zwłaszcza o tym ostatnim, dziwnym połączeniu telefonicznym, które - jak doniósł wczorajszy numer „Corriere” - okazało się zbyt krótkie, by zlokalizować miejsce, skąd dzwoniono. Zapyta policjanta, czy jest coś, co mógłby zrobić, czy istnieje jeszcze nadzieja. Może rozszłocha się nawet albo uderzy pięścią w stół. Niemal już widział siebie, czyniącego taki gest.

W kabinie pierwszej klasy, z butelką spumante dla uczczenia sukcesu, popijał powoli, układając w myślach dalsze plany - inwestycje, fotografowanie, książka (koniecznie musi kupić maszynę do pisania) - wreszcie sięgnął do walizki po dyktafon. Gdzie włożył nowe baterie? Do zasuwanej na zamek kieszeni? Są.

Wymienił baterie i wyciągnął się na koi. O czym on to ostatnio mówił? Przewinął taśmę do tyłu i włączył dyktafon: „...wybory, jakich miałem dokonać, o których wiedziałem, że ich dokonam mimo wolności...”. Tu zdanie urywało się zniechęca i słychać było jakiś trzask, a potem obcy głos kobiety:

*„Che cosa mai dici in tutti questi nastri, Morri? Non capisco un cavolo. Sei così misterioso sai”.*

Głos zamarł. Czując serce niemal w ustach, Morris przewinął taśmę ponownie. To nie był jej głos. Z powodu umierających baterii, tych samych, które wymienił przed chwilą, każde słowo przeciągało się i rwało. To było coś niczym jęk, westchnienie z za grobu. *„Che cosa mai dici... Morri... Co mówisz na tych taśmach? Jesteś taki tajemniczy”.*

W ułamku sekundy był z powrotem na pokładzie i ciskał dyktafon jak najdalej od siebie, do oświetlonego księżycem morze. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby z wody nagle wyłoniła się kobieca ręka i chwyciła go. Pograżał się w szaleństwie. Przez dłuższą chwilę stał przy relingu, szlochając cicho.

Był jeden z ostatnich dni sierpnia i wyraźnie zanosilo się na burzę. Morris, pocąc się w nowym, czarnym garniturze, z szacunkiem kroczył na końcu żałobnego orszaku, za trumną niesioną do rodzinnej krypty. Nagle czyjaś ręka opadła lekko na jego ramię.

-Czy mógłbym zamienić z panem słowo, Signor Duckworth?

Inspektor Marangoni, masywny i poważny, stał obok swojego żylastego, wąsatego asystenta.

- Może zostawmy rodzinę podczas tych ostatnich obrządków i pojedźmy do *Questura*, gdyż jest parę kwestii, które pragnąłbym z panem przedyskutować.

A więc złapali go w końcu. Za którą ze zbrodni? Musi trzymać język za zębami, dopóki się nie dowie, ile naprawdę wiedzą.

We trójkę zawrócili na wysypanej żwirem cmentarnej ścieżce. Samochód policyjny czekał przed bramą. (A może powiedzieć, że spadła i roztrzaskała sobie głowę?)

- Ale zostałem zaproszony na stypę - zaryzykował, żeby wybadać grunt.

- Niech się pan nie martwi, nie zajmiemy panu zbyt wiele czasu.

Czy w głosie inspektora słyhać było cynizm? Morris wsiadł do samochodu, identycznego alfa romeo, jaki posiadał Gregorio. Czuł się zdumiewająco zrezygnowany. Dobrze, że przynajmniej go nie bili.

- Po prostu jest kilka drobiazgów, które w żaden sposób nie pasują do całej sprawy - powiedział inspektor Marangoni.

Była to jedyna uwaga, jaka padła w samochodzie podczas krótkiej jazdy na posterunek.

Usiedli w niedużym, prawie pustym pomieszczeniu. Tolaini wyszedł po coś. Pewnie po magnetofon, aby nagrać jego przyznanie się do winy.

Mimo dwóch słonecznych miesięcy inspektorowi jakoś nie udało się opalić. Jego łysa czaszka widoczna we fluorescencyjnym świetle, kiedy pochylił się nad stołem, była zupełnie blada.

- Czy Massimina, którą pan znał, miała zwyczaj regulować brwi?

- Nie, nie wydaje mi się. - Nie wolno mu wiercić się niespokojnie. Powinien zachować idealne opanowanie.

Wrócił asystent, niosąc jakieś metalowe pudełko, które postawił na stole i otworzył.

- To - powiedział Marangoni, wyjmując ze środka pukiel rozjaśnionych henną włosów. - Czy powiedziałałby pan, że są to jej włosy?

- Nie - odparł Morris. - Mimi miała włosy bardzo ciemne, niemal czarne.

- Czy nosiła naszyjniki?

- Czasami.

- Pamięta pan dokładnie któryś z nich?

- Nie. - To nie był sposób, w jaki on, Morris, poprowadziłby przesłuchanie. Poczł, że ogarnia go ciekawość.

- A to? - Inspektor uniósł do góry łańcuszek ze świętym Krzysztofem.

Morris obejrzał go niemal spokojnie.

- Nie, nie przypominam sobie.

- Signor Duckworth, młoda dziewczyna znaleziona na Sardynii, regulowała sobie brwi, miała włosy w tym kolorze i nosiła tę ozdobę. Ponadto...

- W takim razie to nie mogła być ona - powiedział Morris szybko. - To musiał być ktoś inny...

- To ona, Signor Duckworth. Raport dentystyczny rozstrzygnął to w sposób całkowicie jednoznaczny.

Morris czekał. Czego od niego chcieli? Ile wiedzieli naprawdę?

- Co więcej, znaleziona na Sardynii dziewczyna była w ciąży...

- Och, nie - zawołał Morris.

Inspektor Marangoni uciszył go gestem uniesionej w górę ręki.

- jakiś tydzień, może trochę dłużej. Mogła nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. Jednak dziecka spodziewała się z całą pewnością.

Morris siedział nieruchomo niczym głaz.

- Połączmy to wszystko z innymi, dość nietypowymi faktami w tej sprawie. Czerwony dres wyrzucony na dworcu w Vicenzy, kartka z życzeniami powrotu do zdrowia dla babki wysłana z Rimini, odebrany w Rzymie okup, tajemniczy

telefon do matki, zdaniem anatomopatologów wykonany najprawdopodobniej na krótko przed zgonem, może nawet w ostatnim dniu życia, i wreszcie odnalezienie zwłok akurat na Sardynii. I jeszcze jedno. Na krótko przed atakiem choroby, babka dziewczyny pobrała z konta trzy miliony lirów, prawdopodobnie na prezent ślubny dla najstarszej wnuczki. Tych pieniędzy nigdy nie odnaleziono.

Trzy miliony, nie dwa, pomyślał Morris. Nigdy nie wierz nikomu. On też pewnie by nie zaryzykował.

- Tak więc, Signor Duckworth, co pańskim zdaniem, otrzymamy, dodając to wszystko?

Morris popatrzył inspektorowi prosto w oczy. Otrzymamy dożywocie, oczywiście. Potrząsnął tylko głową.

- Nie wydaje się panu, że to raczej dziwne porwanie, podczas którego dziewczyna zaczyna regulować brwi, farbować włosy i jeszcze zachodzi w ciążę? A na dodatek porywacze wykazują się takim brakiem czujności, że pozwalają ofierze wysłać kartki i telefonować do domu?

- Owszem - przyznał Morris z pokorą. Tyle, że to nie był brak czujności. Po prostu nie sposób było dopilnować wszystkiego w pojedynkę. A potem zaryzykował: - Gdybym nie znał jej tak dobrze, powiedziałbym, że zabrała pieniądze i uciekła z kimś.

Powiedział to i zamilkł. Inspektor obserwował go z uwagą.

- Czego chcielibyśmy dowiedzieć się od pana, to kim był ów ktoś - odezwał się w końcu. Nastąpiła pełna udreki pauza, zanim inspektor podjął ponownie: — Problem w tym, że rodzina absolutnie nie dopuszcza do siebie podobnej możliwości, nie chce sporządzić listy przyjaciół i tak dalej, odmawia nawet uznania



wyników badań medycznych dowodzących ciąży. Gdyby więc pan mógł powiedzieć nam coś o jej przyjaciółkach, zwyczajach, miejscach, które odwiedzała... gdyby mógł pan dyskretnie wyciągnąć coś od rodziny, byłibyśmy...

I policjanci odwieźli go na stypę.

Morris spodziewał się popiołów i prochów, ciężkiego, żałobnego milczenia, oznak rozpacz i przerażenia. Zamiast tego dom Trevisanich rozbrzmiewał śmiechem i paplaniną. Wszędzie stały koktajle i pikantne przekąski ułożone na srebrnych tacach. Poczul się oburzony. Człowiek miał prawo oczekiwać przynajmniej trzeźwości.

Przystąpił do Signory Trevisan, aby z szacunkiem uścisnąć jej dłoń, ale ta objęła go i przycisnęła do piersi.

Płakała, jednak bez szlochów, po prostu kiedy mówiła, w jej oczach błyszczały łzy. Powiedziała, że to było straszne, naprawdę straszne, że będzie ją to prześladowało do końca życia, ale teraz przynajmniej jest już po wszystkim, teraz znają przynajmniej okropną prawdę, a lekarze powiedzieli, że zginęła od jednego ciosu, prawdopodobnie nie zdając sobie z tego sprawy. Może nawet we śnie. Ona sama i reszta rodziny, uczynili wszystko, co w ich mocy, policja, jej zdaniem, również. Sumienia mają czyste, nie mają sobie nic do zarzucenia i o tym powinni teraz pamiętać. Nie mają powodu czuć się winni, a zemstę należy pozostawić Panu. Pan z pewnością znajdzie i ukarze morderców.

Pewnie dziękuje Bogu, że padło na biedną, głupiutką Massiminę, a nie którąś ze starszych córek, pomyślał Morris.

- A przy okazji, Morris, czy później mogłabym zamienić z panem słowo? Chciałbym prosić pana o drobną przysługę. - I Signora Trevisan uśmiechnęła się przez łzy.

Morris zgodził się uprzejmie, bez śladu ciekawości. Ostatecznie może wyświadczyć przysługę tej kobiecie, pod warunkiem że nie zajmie mu to zbyt wiele czasu. Miał naprawdę wiele spraw do załatwienia, a w dodatku chciał jeszcze wyskoczyć na tydzień lub dwa do Anglii, kupić ojcu mieszkanie i pokazać mu, komu udało się odnieść sukces.

Usiadł na twardym krześle z boleśnie sztywnym oparciem, starając się trzymać jak najdalej od małej grupki krewnych i przyjaciół. Ku jego zdumieniu Paola, średnia z sióstr, przysiadła się do niego i zaczęła rozmowę. Massiminy nie wspominała ani jednym słowem. Mówiła o rychłym ślubie Antonelli i Boba, o tym, ile wyniesie koszt samej uroczystości i urządzenia ich nowego mieszkania w centrum i jak trudno będzie o radość po... tamtym. Zatrzepotała rękami, ale jej oczy pozostały suche. Morris zapytał, czy ma *fidanzato*, czy też po zamążpójściu siostry pozostanie sama.

Paola zaczerwieniła się - delikatnie i słodko, tak samo, jak by to uczyniła droga Massimina. Nie, odpowiedziała, nie ma narzeczonego. Jej oczy, brązowe i łagodnie, wytrzymały jego spojrzenie. Policzki miały ten sam kształt co policzki Massiminy. Brakowało tylko piegów.

Morris dolał sobie Verdicchio i skosztował grzybów.

— W przyszłym tygodniu wyjeżdżam na pewien czas do Anglii - podjęła szybko Paola, spuszczać powieki, tak by mógł teraz podziwiać jej długie rzęsy. - Żeby jakoś pozbierać się po tym wszystkim. Będę studiowała angielski. To właśnie jest ta przysługa, o którą Mamma chciała pana prosić. Słyszałyśmy, że

wraca pan do Londynu i mama pomyślała, że może mogłabym pojechać z panem. - Paola uśmiechnęła się. - Po tym, co się wydarzyło, ona biedna umiera z niepokoju, ilekroć któraś z nas wyjdzie gdzieś sama.

— Oczywiście - powiedział Morris serdecznie.

O ileż większe wrażenie zrobi, pokazując się u ojca z dziewczyną, a w końcu człowiek nie może opłakiwać zmarłych w nieskończoność.

TLR